

Anna Strzelec



Akwarele i lawendy

Anna Strzelec

Akwarele i lawendy



Moim przyjaciołom - z podziękowaniem za inspirację, wspomnienia i serdeczność.

Anna Strzelec

Jesteśmy jedni dla drugich pielgrzymami, którzy różnymi drogami zdążają w trudzie na to samo spotkanie.

Antoine de Saint-Exupéry

Kubek z reniferem

Czy jest na świecie ktoś, kto lubi poświąteczną atmosferę? Gdy prezenty są rozpakowane, a śliczne kolorowe papiery częściowo podarte od niecierpliwości z jaką otwarte już paczki i paczuszki leżą wokół nas? Gdy ciekawość została zaspokojona...

Widzę to, jakby było wczoraj.

Marysia i Marika siedzą na podłodze i wybierają co ładniejsze kawałki świątecznych opakowań obiecując głośno, że wszystko może się jeszcze przydać do stworzenia pięknych zakładek książkowych. Tak właśnie mówi Marysia: - stworzenia, nie zrobienia, a ja pomagam im zwijać wstążki, pakować do kartonów kokardy i inne radosne, choinkowe zawieszki, które straciły już swoją aktualność. Czas zwraca nam jeszcze raz uwagę na nieuchronne zjawisko przemijania, którego ja często do mojej świadomości próbuję nie dopuszczać.

Po kilku dniach trzeba rozebrać choinkę i odzieranie jej ze świątecznej elegancji jest dla mnie szczególnie przykre. - Znów coś się kończy - mówiła Marysia zdejmując z gałązki ostatnią, zapomnianą gwiazdkę.

W ubieraniu świątecznego drzewka towarzyszyła nam nadzieja, oczekiwanie na uroczysty blask świec, na pachnące miłością i radością dni. Nie zapominając oczywiście o innych zapachach, które przyfruwały do nas z kuchni. Jak Marika w świątecznej sukience, która co chwilę przybiegała nas poinformować, co jej mama wyjęła właśnie z piekarnika i, że to się wcale nie przypaliło, bo super wygląda i smacznie pachnie. Strucla z makiem i bakaliami, ale po polsku.

Manfred mówił, że Steffi w Remscheid upiekła podobną. Pamiętam. Pisała mi o tym, że ciasto pysznie się udało... Były to ich ostatnie święta Bożego Narodzenia: Steffi, Jurgena i Manfreda. No i Helene, ale żona Manfreda wtedy już nie miała miejsca w jego sercu.

Manfred przyjął moje zaproszenie i przyleciał z Niemiec dzień przed Sylwestrem tak, jak miał zaplanowane. Jeszcze nie wydarzyło się nic inaczej, niż według Manfredowego planu. Jedynie utrata Steffi...

Spotkanie z Iwoną odbyło się miło i dyskretnie. On jednak ma klasę.

Jest styczniowe przedpołudnie. Rozpaliłam ogień na kominku, pokiwałam ręką wiewiórcę skaczącą po naszym zaśnieżonym tarasie i skarciłam Sally, która nie wiadomo dlaczego na nią się rozszczękała, co było raczej do niej niepodobne. Czyżby psu też udzielił się nastrój podobny do tego, z jakim ja zaczęłam dzisiejszy dzień?

Popijam imbirową herbatę z czerwonego kubka, na którym zatrzymał się świąteczny renifer. Marysia pozwoliła mi na to przed wyjazdem, mówiąc:

- Wiem babciu, że on ci się podoba. Możesz go używać, a wtedy pomyślisz o mnie.

Nie tylko kubek z reniferem...

Siedzę w moim bujanym fotelu i refleksyjnie kołyszę wspomnienia ostatnich tygodni, jakie przeżyliśmy razem w naszym zimowym Port Jefferson.

Pamiętacie Rachel Thompson? Kilka dni po świętach moja ciocia, którą po ujawnieniu się przy tajemniczym udziale Steffi nie zdążyłam wcale się nacieszyć - odeszła. Rachel roztaczająca ciepło i poezję, częstująca mnie gorącą czekoladą i tęskniąca za jeszcze jedną miłością w swojej jesieni życia...

Rachel Thompson z notesem aforyzmów, tak bardzo podobna do mnie - odeszła o świcie. Jak w moim wierszu, który ją pewnego dnia zachwyił:

Odwołani odchodzimy nie zdążymy kwiatów podlać i nakarmić kota... bez listu pożegnalnego, maila, esemesa odchodzimy...

Jej kot Felix został poprzedniego wieczoru nakarmiony przez Allisson, bo Rachel mówiąc, że czuje się dziwnie zmęczona i zrzucając winę na niskie ciśnienie oraz prosząc za oknem mokry śnieg, postanowiła położyć się wcześniej spać... dla mnie znicza nie zapalaj wspomnień pachnących kadzidełko snuj miast chryzantem pierzastych jesienną różę mgłą otul szronem rannym, zamyśleniem posrebrz - w nich będę.

Podczas naszej pierwszej wizyty Allisson lub Rachel, nie pamiętam już która z nich powiedziała, że Felix jest magicznym, bardzo inteligentnym kotem. Coś w tym sensie potwierdziło się o świcie, gdy Rachel Thompson odchodziła... Feliks śpiący na jej fotelu zeskoczył i pobiegł do sypialni Allisson zanosząc jej tę smutną wieść...

Róże w ogrodzie Racheli stoją otulone śnieżnymi etolami, a Felix nawet polubił wylegiwać się na moich kolanach. Bez większego protestu przyjął propozycję przeprowadzki do naszego domu, gdy okazało się, że Manfred cierpi na kocią alergię.

Kilka dni po pogrzebie Racheli zima zawitała do nas na dobre, a Jacques niespodziewanie otrzymał wiadomość z Kalifornii o nagłej chorobie swojego kolegi muzyka, również skrzypka w orkiestrze, w której razem występowali. Simon grał partie solowe w jednym z utworów które nie były synowi Jeremiego obce. Pozostało więc tylko wracać do

San Francisco i zastąpić kolegę, bo odwołanie koncertu nie wchodziło w rachubę.

I wtedy Jeremi przedstawił propozycję, którą ucieszył wszystkich. Z wyjątkiem mnie.

Zima nastrajała romantycznie, a nadchodząca miała być szczególnie cudowna i przytulna: trzaskający ogień na kominku, biel za oknem, czytanie książek, spacer i zabawy na śniegu z dziewczynkami, pstrykanie zdjęć do kolejnych, moich publikacji, gorąca herbata z rumem i... mój narzeczony, Morelowy, któremu w tym roku oddam swoją rękę. Miało być baśniowo i wierzyłam w to... Jeszcze tydzień temu.

- A co powiecie na moją propozycję, gdybyśmy tak wszyscy razem polecieeli do San Francisco?

Uśmiechnięty Jeremi z satysfakcją obserwował zaskoczenie na naszych twarzach.

- To daleko? - zastanowiła się głośno Marysia.

- Autem czy samolotem? - chciała wiedzieć Marika.

- O Kermit! Jeremi mówi, że polecieeli, to chyba samolot, nie?

Swojej roli starszej i mądrzejszej siostry, Marysia nie odda za żadne skarby świata. Siedzieliśmy wtedy wszyscy przy popołudniowej kawie, gdy Jacques odebrał wiadomość o konieczności powrotu, a pomysł Jeremiego też wystrzelił zaraz po niej niczym korek spóźnionego szampana.

Allisson spojrzała ku Manfredowi i zwracając się do Jeremiego, powiedziała trochę zmartwionym tonem:

- Niestety, my mamy inne plany. Jedziemy na kilka dni do Nowego Meksyku. Chcę pokazać Manfredowi miejsca mojego dzieciństwa i okolice, w których mieszkałam z rodzicami.

Przypomniałam sobie, że taki był plan Rachel. To my mieliśmy wszyscy razem tam pojechać. I do Guadalupe też. Poczułam złość na niesprawiedliwość losu, która nami kieruje, zmienia bieg naszych dróg i one, zamiast spotkać się na rozstajach rozwidlają się coraz bardziej, a nasze plany pryskają jak bańki mydlane.

Jeremi przytaknął Allisson, mówiąc, że to dobry pomysł i Rachel, jeśli słyszy teraz w zaświatach, jest z decyzji córki bardzo zadowolona. Marika miała ochotę coś powiedzieć, co miało być z pewnością a'propos, ale Marysia widząc zamiar siostrzyczki szturchnęła ją w bok i Marika zamknęła buzię razem z kawałkiem makowego ciasteczka pozostałego nam ze świąt.

- To cóż, a reszta chciałaby jechać? Zwiedzilibyśmy San Francisco, posłuchalibyśmy twojego koncertu... Tak, synu?

- Ależ oczywiście tato, zapraszam serdecznie!

Jacques odgarnął swoje loki z czoła tym bardzo sexy ruchem, który z pewnością podoba się kobietom, gdy jako pierwszy skrzypek po zakończeniu koncertu stoi przed orkiestrą, kłania się i potrząsa swoją kasztanową grzywą. Nic dziwnego, że Iwona prawie zwariowała na jego punkcie. Próbuje tego nie okazywać, ale ja przecież znam moją córkę najlepiej.

- Nie pomyślałeś o zwierzętach.

Spojrzałam na Jeremiego ze zdziwieniem i wyrzutem w głosie. Zapanowała cisza. Widziałam, że Jeremiemu zrobiło się przykro, a ponieważ absolutnie tego nie chciałam, więc spontanicznie i głośno zdecydowałam:

- Wy lećcie i bawcie się świetnie, ja zostaję.

San Francisco

Sala koncertowa DAVIES SYMPHONY HALL w San Francisco powoli zapełniała się zaproszonymi gośćmi i pozostałymi wielbicielami muzyki poważnej. Iwona z Jeremim i dziewczynkami zajęli zarezerwowane wcześniej przez Jacquesa miejsca, w niezbyt odległym rzędzie G, które numerowane były alfabetycznie i niezbyt blisko estrady. Jak to zwykle bywa, przybyli słuchacze rozkładali programy, czytali nazwy utworów, które miały być wykonane i nazwiska wykonawców. Uczestnicy orkiestry wychodzili niosąc i dźwigając swoje instrumenty, by po chwili stroić je w odpowiednich do utworów tonacjach. Przygotowania te zawsze umiały wyczarować wśród gości nastrój oczekiwania.

Marysia przeglądnęła po raz drugi folder i wzrok jej zatrzymał się na krótkim opisie muzycznych osiągnięć i zdjęciu Jacquesa Morelly.

- Dziwne to zdjęcie, w rzeczywistości wygląda inaczej.

- To znaczy lepiej czy gorzej? - uśmiechnęła się Iwona.

- Dziesięć razy lepiej - stwierdziła Marika zaglądając siostrze przez ramię.

- A co będą grać? - zmartwiła się. - Bo nic nie znam.

- Zaraz ci przeczytam. Marysia przewróciła kartki programu na właściwą stronę, informując siostrę półgłosem:

Pierwsza część koncertu: Tchaikovsky (Capriccio Italiano op. 45 i Violin Concerto.

Druga część koncertu: Vivaldi Four Seasons, Autum.

- Piękny program - wtrąciła Iwona biorąc program od Marysi.

- Tak, a Jacques kiedy gra? Dopiero po przerwie?

- Nie, jest solistą w Violin Concerto, w drugiej części też, a teraz już ciii, bo zaczynają.

Koncert zapowiadała atrakcyjna, młoda konferansjerka. Marysia pomyślała, że jej zazdrości, bo cóż to trudnego z programem w ręce przedstawić utwory, które dziś będą grane. Przecież i tak są wydrukowane, więc wystarczy przeczytać. Najpierw iść do fryzjera, założyć długą sukienkę i gotowe. Ciekawe, czy ona w ogóle umie grać na jakimś instrumencie?

- Chciałabym mieć takie włosy? - szepnęła Marika do siostry.

Pani moderator miała ciemną burzę włosów i była Mulatką.

- Nieee, mnie się moje podobają.

- Ja bym chciała - westchnęła Marika. - I w ogóle fajnie jest być tak na zawsze

opalonym, nie?

Jeremi siedzący obok Mariki położył palec na ustach i dziewczynka uśmiechnęła się na znak, że już zamilknie.

Kobieta zapowiedziała występ Jacquesa Morelly i artysta wszedł na scenę, a wszyscy zaczęli klaskać, więc Marika z Marysią na wyścigi, która głośniej, ale zaraz nastąpiła cisza i wyraźnie zmiana kolejności wykonania utworów, bo zaczęło się od Czajkowskiego. Marysia pomyślała, że ktoś tu coś pokręcił i usiadła wygodniej, a Marika oparła główkę na ramieniu Jeremiego, który poczuł się wzruszony. Nie tylko zachowaniem córki Yvonne. Talent syna, na którego występ w San Francisco tak spontanicznie zdecydowali się zachwycał do głębi serca. Myślał, że Jacqueline z pewnością podzielałaby jego uczucia. Nie było jednak im, rodzicom dane cieszyć się wspólnym życiem aż do starości i osiągnięciami jedynaka. Los czy też Bóg pokierował inaczej ich drogami... Leni? Ona należała do pięknej terażniejszości i oby trwała jak najdłużej...

Iwona też słuchała muzyki Jacquesa z zachwytem. Kochała nie tylko jego talent. Ogarniała ją duma, że ten wspaniały mężczyzna należy do niej i nikt z jego fanów nie wie, jak cudownie erotyczny potrafi być z nią w ich prywatnym życiu. I jak czarująco i rodzinnie minął świąteczny czas w Port Jefferson...

Oklaski obudziły Marikę. Podniosła głowę z pytaniem:

- Już? Idziemy do domu? Jeremi uśmiechnął:

- Nie, Cherie, teraz nastąpi przerwa w koncercie. Wyjdziemy, napijemy się czegoś pysznego i wrócimy na drugą część.

Marysia wstała z zadowoloną miną i powiedziała bardzo poważnie:

- Tak sobie myślałam... może ja też zajmę się skrzypcami?

Iwona roześmiała się:

- Nie miałabym nic przeciwko temu. Przyjdzie czas, że porozmawiamy o tym. A teraz idziemy do baru lub kawiarenki? Zobaczymy czym nas tutaj ugoszczą?

Pytania były skierowane do Jeremiego, który po wyjściu do foyer₁ powiedział:

- Naturellement, zapraszam na kieliszek szampana chyba, że wolisz espresso? Dziewczynkom stawiam sok pomarańczowy!

Wśród słuchaczy, którzy także wyszli z sali koncertowej i witali się teraz ze znajomymi, wymieniając pierwsze wrażenia, pojawił się Jacques. Iwona zauważyła go pierwsza, gdy z uśmiechem oddawał niektórym ukłony. Pomachała do niego ręką, on wyciągnął też swoją w górę na znak, że ich dostrzega, ale już został zatrzymany przez

młodych ludzi, którzy chcieli zamienić z nim kilka słów. Jeremi z Iwoną czekali popijając szampana, dziewczynki sączyły przez słomki sok, a głośnie siorbanie obwieściło puste ich szklaneczki.

- Czy młode damy tak się zachowują? - zdziwił się Jeremi. Odgłosy ustały, a Marika zapytała:

- Możemy się trochę przejść po tej poczekalni?

- Boziu, ja nie wytrzymam z tobą! - westchnęła Marysia. - To jest foyer! Poczekalnię masz u lekarza.

- Obejrzyjcie sobie plakaty tam, po prawej stronie. To zwiastuny następnych koncertów - pozwoliła Iwona.

Rozglądając się i nie widząc Jacquesa wśród stojących słuchaczy, poczuła się dotknięta. Pomyślała, że bywają w życiu momenty, w których poznaje się prawdę... Można znać i kochać ciało mężczyzny - artysty, ale pewnie nigdy nie ogarnie się jego duszy.

Druga część koncertu w San Francisco miała podobnie wspaniały przebieg i dostarczyła słuchaczom wielu wzruszeń.

Jacques bisował grając skrzypcową wersję Yesterday z repertuaru Beatlesów, a widownia, szczególnie ta młoda nagrodziła go gromkimi brawami.

- Muszę się tego nauczyć grać! - stwierdziła Marysia wstając.

Powoli skierowali się w kierunku szatni, a Jacques odbierał kwiaty, podpisywał płytki i programy dzisiejszego koncertu, które mu podsuwano, rozdając swoim fanom i fankom czarujące uśmiechy.

Czekali jeszcze parę minut, gdy zjawił się z uszczęśliwionym uśmiechem i pachnącym, kolorowym naręczem, które podał Iwonie, całując ją w policzek Marysia oszołomiona przebiegiem wieczoru, patrzyła zachwycona na zadowoloną minę matki i myślała, że kiedyś też będzie grać, jak Jacques i dostanie tyle róż i białych orchidei, a wszyscy będą jej klaskać i zazdrościć. Marika trzymała za rękę Jeremiego i ziewała co chwilę, starając się dzielnie to ukryć, żeby Jeremi znów nie zwrócił uwagi, że młode damy nie powinny się tak zachowywać.

- Wracamy do hotelu. Zjemy tam kolację - zadysponował Jeremi.

- Ja tylko małe co nieco, jestem zmęczona - już jawnie ziewnęła Marika.

- Oczywiście, mieliśmy dzień pełen wrażeń. To mówiąc, Iwona przytuliła się do Jacquesa. Jeszcze parę godzin i znów go nie będzie... Miała wrażenia, że więcej mieli pożegnań w życiu niż powrotów, chociaż nie byłoby to logiczne, bo powinno być proporcjonalnie do ilości, ale teraz? Nie wiadomo na jak długo? Czekala na znak, na jego

słowa, które będzie mogła wziąć w drogę na pamiątkę, niczym bilet opłacony na powrót.

- Cieszę się, że jesteście zadowoleni z pobytu w San Francisco - powiedział i pocałował ją w policzek. - Jutro wracamy do szarej rzeczywistości. Mój normalny dzień pracy, a wasz odlot do domku.

* * *

- Nie myję się, nie mam siły - zaprotestowała Marika po odbytej wspólnie kolacji, wchodząc do hotelowego pokoju, który dziewczynki zajmowały razem z Iwoną.

- Ja tylko zęby i pupę - zdecydowała Marysia.

- Obie myjcie buzie, zęby i całą resztę, ale już! I do łóżka! - zdecydowała Iwona.

- Chyba przyśni mi się dzisiaj ta muzyka... Marysia leżąc w szerokim łóżku obok Mariki, patrzyła z rozmarzeniem w sufit. - To może być bardzo przyjemny sen, rano opowiedz mi o nim, dobrze? Poza tym jutro zrobimy jeszcze drobne zakupy, bo chcieliśmy przecież coś dla babci przywieźć, prawda? A teraz śpijcie już.

- A ty mamo? Dokąd idziesz?

- Zamienię jeszcze kilka słów z Jacquesem, zaraz wrócę. Zostawiam wam małą lampkę zapaloną, zasypiajcie. Jutrzejszy dzień z pewnością, też będzie ciekawy. Dobranoc!

Ze strony Mariki nie było odpowiedzi. Równy oddech córeczki wskazywał na jej odpłynięcie w krainę Kubusia Puchatka, którego kochała najbardziej, a wczoraj bardzo żałowała, że nie zabrała przytulanki w podróż. Dzisiaj zmęczenie zwyciężyło. Marysia wyciągnęła ramiona do matki:

- Tylko nie bądź długo!

- Oczywiście, tylko parę minut.

* * *

- Entrez!

Usłyszała odpowiedź Jacquesa na jej ciche pukanie do drzwi. Moment ten przypomniał zdarzenie sprzed kilku miesięcy, gdy przyleciał do Port Jefferson na zaaranżowane przed Bożym Narodzeniem ich spotkanie w hotelu Danfords. Czy dziś będzie podobnie? Czy spodziewał się, że przyjdzie, czy pragnął jej podobnie, jak ona jego?

Jacques, leżący już w łóżku podniósł się na jej widok.

- Czekałem... spodziewałem się, że coś wymyślisz.

- Chciałam się z tobą pożegnać - powiedziała i roześmiali się.

W półmroku pokoju i świetle ulicznej lampy spojrzenie miał jak wtedy, piękne, bursztynowe... I te niesforne loki, które znów przykryły prawie twarz Iwony gdy całował, zsuwając jej podomkę z ramion, a ona czuła podniecenie, jak wtedy, gdy wtulała się w jego ramiona... i całą słodycz ich pragnienia. Nic się nie zmieniło, dzięki ci Boże, można powtórzyć momenty zbliżeń, gdy dwoje ludzi tęskni za sobą tak samo i tak bardzo.

Znów ciepło jego ust i zachwycenie... Jeszcze trochę, jeszcze moment... Jakże okropne są rozstania...

- Mamo!

W drzwiach pokoju, w świetle padającym z hotelowego korytarza, niczym nocna zjawą stała Marysia w długiej, błękitnej koszulce i z rozwianymi włosami.

- Obiecałaś, że zaraz przyjdiesz.

Jacques nie krępując się obecnością dziewczynki, trzymał przez chwilę jej matkę w ramionach, po czym pocałował i odsunął od siebie. Zanim zapalił światło w pokoju, Iwona drżącymi rękami zarzucała na siebie podomkę.

- Kochana Marie - powiedział do dziewczynki. Musieliśmy pożegnać się przed waszym odlotem.

Zachęcona jego łagodnym tonem, Marysia weszła do pokoju.

- A ja nie mogłam zasnąć i też chciałam z tobą porozmawiać.

- Olala, to musi być chyba coś bardzo ważnego, jeśli nie mogłaś poczekać do rana - powiedział siadając na łóżku.

- Nie mogłam, bo jutro będzie szybko, szybko, ty pewnie będziesz bardzo zajęty, a my odlecimy i nie wiadomo, kiedy się znów spotkamy.

Iwona usiadła koło niego, myśląc, że „szybko, szybko” to było przed chwilą i oboje z Jacquesem mieli dużo szczęścia, że nie wprowadzili dziecka w większe zakłopotanie.

- Mów proszę, córeczko, co masz na sercu, a potem pójdziemy spać.

Marysia usiadła po drugiej stronie łóżka:

- Wiesz, Jacques, gdy słuchałam dzisiaj twojego koncertu... pomyślałam sobie, że... bardzo chciałabym się uczyć gry na skrzypcach i musiałam koniecznie przyjść poprosić cię o radę. Jakie skrzypce powinnam kupić na początek, bo przecież one nie są dla wszystkich jednakowe, prawda?

To była cała Marysia! Konsultacje prawie w środku nocy, niecierpliwość budzącej się w niej artystycznej duszy.

Jacques popatrzył na nią poważnie, następnie z uśmiechem na jej matkę i powiedział:

- Tak, to bardzo poważny zamiar, ma Cherie. Pozwolisz jednak, że przemyślę go do jutra i dam ci odpowiedź?

- O, dziękuję! Wiedziałam, że mogę na ciebie liczyć! - Marysia klasnęła w ręce.

Podeszła do Jacquesa i dając mu buziaka w policzek dodała:

- Gdy będę duża, poszukam sobie chłopaka podobnego do ciebie! Dobranoc!

„Nie umiemy przewidywać najistotniejszego.

Każdy z nas zaznał w życiu największych radości wtedy, kiedy nic ich nie zapowiadało.”

Antoine de Saint-Exupéry

- Alyssa - powiedział do niej i uśmiechnął się ciepło.

Jakie to dziwne - pomyślałam. Zakochując się, aprobujemy obiekt naszego uczucia, a po jakimś czasie próbujemy modelować według naszych wyobrażeń. Widać było, że zbliżyli się do siebie podczas podróży do Meksyku i Manfred zaczął od imienia, a ona mu na to pozwoliła.

Czy z nami, z Jeremim i mną, też tak było? Tylko „Lejn” zamiast Leni lub Leonii, a poza tym wszystko nam się w nas podobało. Ewenementy! My oboje jesteśmy wyjątkiem na tym świecie. Najważniejsza jest wzajemna świadomość naszych niedoskonałości. Tylko wtedy uda nam się uniknąć rozczarowań. Przekonuję samą siebie do wiary w moje credo i czekam na ich powrót z wyprawy do San Francisco. Tymczasem biorę w ramiona Allisson, obejmuję Manfreda i stawiam na stół jeszcze gorącą szarlotkę, bo wiem, że on tak serwowaną na niemiecką modłę lubi. Steffi, gdy już byli razem, choć krótko i ciągle jeszcze w tajemnicy, też tak ją podawała... Jestem tego pewna. Bardzo ciepłą, waniliową... i być może on patrzył na nią, podobnie jak teraz na Allisson, bo to Steffi sprawiła, że się poznali.

Jeszcze ubita śmietana do szarlotki. Puszysta, jak chmury obserwowane z okien samolotu. Czy Jeremi z dziećmi już wraca? Od wczoraj nie mogę powstrzymać i uspokoić moich myśli.

- Było cudownie, prawda? - Allisson przyniosła kawę z kuchni i napełniała nasze filiżanki. Te słowa skierowane były do Manfreda, który mógł tylko kiwnięciem głowy przytaknąć, bo już kawałek ciasta odebrał mu mowę. Przełknął, uśmiechnął się, stwierdził:

- Yes, Liebes - i ta mieszanina językowa rozśmieszyła nas troje. A dalej:

- Leonio, twoje ciasto to Apfelwunder². Obawiałam się, że może jeszcze chcieć nas poinformować, kiedy ostatni raz jadł podobnie pyszne i spojrzałam na niego ostrzegawczo, ale było to zbędne. Manfred miał klasę i jeśli nawet uczucie do Allisson zagnieździło się już w jego sercu, Steffi miała tam stałe miejsce i stwierdzenie teraz, że moja siostra robiła tak samo cudowną szarlotkę, byłoby nietaktem. Spojrzeliśmy na siebie ze zrozumieniem i w tym

momencie sama się sobie zdziwiłam, bo bez słów przyznałam rację Iwonie. On coś w sobie miał.

- Opowiadajcie, proszę - powiedziałam, a Allisson powtórzyła, że było cudownie i wzięła na kolana Felixa, który wyraźnie za nią stęskniony ocierał się o jej nogi, wydając powitalne pomruki.

- Guadalupe, wzgórze Tepeyac, a na nim Sanktuarium Morenity i wszystko inne związane z kultem Maryi jest takie, jak przedstawiała nam mama - zaczęła opowiadać z uśmiechem córka pani Thompson, głaszcząc Felixa. - Od tego czasu, gdy była tam z Marcelem, ludzi przybywa prawdopodobnie jeszcze więcej, bo Meksykanie wprowadzili pielgrzymom udogodnienie w postaci ruchowego dojścia do bazyliki.

- Sowas, wie ein Band₃ - dodał Manfred. - Jak na lotnisku, ruchoma taśma doprowadza do drzwi. Dobra organizacja, ale i tak wszyscy klęczą, a ona posuwała się razem z nami.

Niemcy zawsze byli praktyczni, pomyślałam z nadzieją, że nie tylko ten „Band” go zainteresował, a on mówił dalej...

- Zadziwiająca jest głębokość wiary turystów tam przybywających i możliwość wypraszenia cudów.

Jeśli modłę się, znaczy się „wypraszam”? Ponownie nie mogłam oprzeć się mojemu wewnętrznemu komentarzowi. Wiele wskazywało na to, że odwiedziny Sanktuarium miało dla Manfreda trochę inne znaczenie niż dla „Alyssy”.

- W bazylice znajduje się cała ściana podarunków dla Maryi za wysłuchanie modlitw. zostawiłam tam srebrną bransoletkę mamy - powiedziała.

- To pięknie... - zauważyłam puste filiżanki. - Czy chcecie jeszcze kawy?

Poszłam do kuchni zastanawiając się, jaka intencja Allisson została spełniona, czy też tak na wyrost dziękowała „Czarnulce” i prosiła o więcej? Wróciłam do nich z ponowną porcją kawy, a Allisson kontynuowała opowiadanie.

- Pojechaliśmy na wycieczkę objazdową po Nowym Meksyku i oczywiście do stolicy Santa Fe. Było cudownie, a Manfred stwierdził, że to chyba najbardziej kolorowe miasto, które w życiu widział. Byliśmy w Muzeum Wheelwright z Indian amerykańskich i New Mexico Museum of Art. Pamiętasz, że nazywano nas z mamą Amerindias? Byłam bardzo ciekawa, co zmieniło się w naszej okolicy przez ostatnie kilka lat. Przywiozłam nagranie filmowe, podobno ostatni hit kinematografii. Przyniosę ci później, to „Christiada”. Mówi ci coś ten tytuł?

Nie mówiło mi. Allisson kontynuowała bardzo ożywiona.

- To o rewolucji chrześcijańskiej z tysiąc dziewięćset dwudziestych lat, jaka toczyła się w Meksyku. Bardzo wzruszające. Niektórzy z walczących tam zwani Christos zostali w okrutny sposób zamordowani, a po kilkudziesięciu latach ogłoszeni świętymi męczennikami.

- Najlepiej, gdybyśmy mogli wspólnie obejrzeć ten film. Kiedy wracają z San Francisco? - zapytała mając na myśli Jeremiego i moją resztę rodziny.

- Powinni być jutro.

Kiwnęła głową, nalała nam wszystkim ponownie kawy i dalej dzieliła się ze mną wrażeniami.

- Na końcu pokazałam Manfredowi nasz dawny domek na obrzeżach miasta, bo Santa Fe tak się w ciągu ostatnich lat rozbudowało, że wchłonęło kilka okolicznych miasteczek. Odwiedziłam nasz dom, w którym mieszkaliśmy jeszcze z tatą...

Powiedziała to dość smutno i zauważyłam, że powrót do miejsc dzieciństwa nie spełnił jej oczekiwań i dostarczył mieszanych uczuć.

- Wszystko takie inne, unowocześnione...

Nie odnalazła „swojego” Meksyku, do którego pojechała - pomyślałam ze współczuciem.

- Ale - ożywiła się - odwiedziłam Ester Halameda, naszą dawną sąsiadkę i jej córkę Ellen. Ester zestarzała się... jest chyba w wieku mojej matki... ale to było bardzo miłe spotkanie.

Kiwnęłam głową ze zrozumieniem. Gdybym ja, jakimś cudem znalazła się teraz w Polsce, w ogrodzie Patrycji, też byłoby mi niesamowicie miło.

- Ucieszyły się bardzo, ale nie zabawiliśmy tam długo. Ot, trochę opowieści o minionym czasie i wydarzeniach, które nastąpiły... o śmierci Racheli, o tobie i odnalezieniu części rodziny, do której teraz należę... i wróciliśmy do centrum, do hotelu.

- Na rowerach - roześmiał się Manfred.

Spojrzałam zdziwiona, jego śmiech wydał mi się nie na miejscu. Oboje zaraz wyjaśnili, że jest to bardzo popularny w Nowym Meksyku sposób poruszania się w mieście, które bywa w niektórych godzinach dnia bardzo zatłoczone. Rowery są do wypożyczenia, kolorowe, a z tyłu mają przyczepkę na ewentualny bagaż lub z zadaszoną kabiną dla dziecka, co wygląda oryginalnie, a z dzieckiem siedzącym w środku - wesoło.

- Zrobiliśmy sporo zdjęć - powiedział Manfred wstając i sygnalizując w ten sposób zakończenie ich wizyty u mnie. Gdy zgram z aparatu do komputera, to podzielimy się z wami jeszcze jedną porcją wrażeń.

- Nie czujesz się zmęczona, Liebes? - zwrócił się do Allisson.

Nie wiedziałam, czy było to powiedziane z troski o jej dobre samopoczucie, czy też osobistą chęć ucięcia sobie drzemki, ale Allison wstała, zabrała Felixa i rzucając mi konwencjonalne: „see you” Leonio, wyszła za Manfredem.

Zostałam z wrażeniem, jakby opuszczenie mnie nie było jej teraz na rękę i zabranie kota do siebie, będzie prawdopodobnie pretekstem, aby znów się zobaczyć ze mną przed powrotem reszty rodziny z San Francisco. Przeczucie mnie nie omyliło.

Souvenirs, souvenirs...

- Leni?

Allisson przyszła do mnie wieczorem. Odświeżona po podróży; oliwkowa cera, delikatna opalenizna i nowe, kolorowe poncho. Pomyślałam, że razem z matką lubiły tym barwnym szczegółem ubioru podkreślać swoje indiańskie pochodzenie. Uczucie tęsknoty za moją przyjaciółką, ciocią Thompson znów dało znać o sobie. Jakże cieszyłaby się teraz z powrotu Allisson i zadowolenia malującego się na jej twarzy. Kobieta lubi być czyjaś i to uczucie dodawało Allisson pewności siebie. Czyjaś - oczywiście na miarę osobistego poczucia niezależności, ale przecież miło jest mieć rozsądnego mężczyznę u boku: jak Allisson - Manfreda, ja - Jeremiego. Iwona? Czas pokaże...

- Manfred pojechał do city, masz chwilę czasu?

Kiwnęłam potakująco głową i wstałam od laptopa, na którym zabierałam się do napisania listu do Patrycji.

- Tak, chodź, mój mail może poczekać.

Allisson podała mi płasko opakowany niebieskim papierem i obwiązany kolorowym sznurkiem kształt.

- To dla ciebie, kupiłam w Guadalupe.

Rozpakowałam z uśmiechem i widząc naklejoną na kawałku ciemnego drewna reprodukcję „Czarnulki” czyli Matki Bożej z nowego Meksyku, uściskałam córkę Racheli serdecznie.

- Bardzo ci dziękuję.

- Mam jeszcze drobiazgi dla Iwony i dziewczynek, ale to już dostaną później.

Allisson stała i widać było, że oprócz kilku minut, jakie zajęło jej wręczenie mi pamiątki, jest jeszcze coś, z czym chciałaby się podzielić i na co z pewnością potrzebuje trochę więcej czasu.

- Kakao? - widząc jej niezdecydowanie, zapytałam tak jak niegdyś zagadywała mnie Rachel, gdy stawałam na progu ich domku.

Kiedy Allisson skinęła potakująco głową, poszłam do kuchni. Ona siedziała na fotelu z Felixem na kolanach, a obok leżała gazetka, kolorówka z reklamami mody. Dostrzegłam ją po powrocie do livingroomu z kubkami napełnionymi gorącym kakao i francuskimi, kruchymi biszkoptami na talerzyku, które kupiłam, oczywiście z myślą o Jeremim i Antibes. Już same francuskie nazwy i opakowania sprawiają mi przyjemność, gdy patrzę na nie w

sklepie. Nie mogę się powstrzymać, aby nie skorzystać z reklam francuskiej cousine.

- Częstu się, proszę. Chciałaś mi coś opowiedzieć?

- Nie tylko. Mam coś do pokazania. Dostałam od Ester Halameda. Przeczytaj i poradź mi co powinnam z tym zrobić.

Mówiąc te słowa, wyjęła kopertę, która miała schowaną między stronami owej kolorówki. List był adresowany do Rachel Thompson. Wzięłam go ostrożnie i zaczęłam czytać, z myślą, że nie robię przecież nic złego czytając podczas jej wiecznej nieobecności zaległą korespondencję.

Była to wiadomość od... Marcela! Mężczyzna, który ją w sobie rozkochał i porzucił, przez którego cierpiała, gdyż dotknął jej najczulszych, wrażliwych strun dotyczących choroby, częściowego kalectwa i którą upokorzył przez zerwanie z nią znajomości... miał teraz miał odwagę pisać do niej po kilkunastu latach. Co za parodia! Nie byłam specjalnie ciekawa treści jego listu, bo cóż mógł on zmienić w obecnej sytuacji, gdy Rachel już odeszła? Jednak Allisson z pytającym spojrzeniem czekała, więc zanurzyłam się w treści wiadomości od Marcela. Pisany był w dniu urodzin Rachel:

Pozdrawiam Ciebie bardzo gorąco, nie tylko urodzinowo, zamykam oczy i czuję, widzę Twoją delikatność, kobiecość, ciepło, bliskość... Przeszkadzają mi Twoje dłonie, ale tego nie zmienimy i wiesz dobrze, że to tylko drobny problem w Twojej doskonałości. Ja takich wad mam więcej!

Myszę często o Tobie, o nas. Wyciągnąłem moje stare zdjęcia... Przypominają mi razem spędzone chwile... Jest też czas obecny... stary mężczyzna, psychicznie zawieszony w próżni. Brak pomysłów, zdecydowanego działania. Mam żonę, dom, dwoje dzieci, wnuki... i pustkę. Nie umiem ożywić swojej rzeczywistości, uaktywnić, a stąd bierze się moja bierność. Jesteś wspaniałą Kobieta... masz w sobie dużo ciepła, życiowej mądrości... a ja nie umiałem docenić tego i czerpać życia garściami w Twojej bliskości. Byłaś Skarbem który znalazłem na swojej drodze. Przebac mi... Marcel

- Ile bólu i rozczarowania oszczędziłby los mojej biednej matce, gdyby jego list przyszedł wcześniej, przed naszą przeprowadzką - powiedziała Allisson, widząc, że moja lektura dobiega końca.

Byłam wstrząśnięta. Czemu los sprawia nam takie smutne niespodzianki?

- Ester przypuszczając, że być może kiedyś odwiedzimy nasze strony, zachowała tę korespondencję przez kilka lat.

- Myślisz, że mama zareagowałaby na jego list? Pamiętam jej słowa... Pewnego razu, gdy Jeremiego tak długo nie było w domu i nie dawał znaku życia z pobytu w Prowansji,

radziła mi: „nie pozwól się rozczarować i nie pozbądź nadziei”. Rozczarowanie dotknęło ją bardziej, niż mnie, gdy rozmawialiśmy o Wiktorze, ale chyba przez jakiś czas żyła myślami o Marcelu, wspomnieniami i nadzieją.

- Co mam z tym zrobić? - zapytała Allisson wkładając list do koperty.

Uścisnęłam ją na pożegnanie.

- Weź na podpałkę do kominka. Chyba, że chcesz mu dać znać, że Rachel jest już TAM, jak mówiła - po drugiej stronie tęczy i jest niewątpliwie szczęśliwa.

* * *

Zrobiłam sobie jeszcze jeden duży kubek kakao i usiadłam do laptopa, by odrobić zaległości w mailowej poczcie i napisać nareszcie do Patrycji, którą od początku tego roku zupełnie zaniedbałam. Sygnał w komputerze dał znać połączenie z Wordem. Obróciłam się do Felixa, który biorąc pod uwagę jego zwyczaje zachowywał się dziwnie, ocierając o bujany fotel stojący przy tarasowych drzwiach i pomrukując z zadowoleniem, spoglądał w stronę wejściowych drzwi.

- Mogę ci przeszkodzić?

Usłyszałam głos, za którym tęskniłam i serce podskoczyło mi do gardła. Czyta się w książkach, że serce potrafi się unosić tak wysoko, a teraz sama tego doświadczyłam. Było możliwe i aż bolesne.

Rachel z uśmiechem, płynnym krokiem zbliżała się w moją stronę, a mnie wzruszenie wcisnęło w fotelik, na którym siedziałam przed komputerem. Chciałam wstać, przywitać się z nią... i nie mogłam się poruszyć, a ona usiadła na bujanym fotelu, przy którym od paru minut kręcił się jej kot. Czyżby zwierzęta potrafiły przewidywać nadejście odwiedzin z zaświatów, podczas gdy ludziom taka cecha absolutnie nie była dana?

- Ja też się za Tobą stęskniłam - powiedziała, zgadując moje myśli.

Patrzyłam na nią, jakby młodszą, uspokojoną, szczęśliwszą... Chciałam zapytać - dlaczego i jak TAM jest? Najprawdopodobniej każdy chciałby to wiedzieć, a już najbardziej, gdy odwiedza nas ktoś, jakby z innej planety, a bez ich pomocy tej prawdy za życia nigdy, przenigdy nie zgłębimy, bo podróż jest tylko w jedną stronę. Zanim jednak zdołałam wykrztusić zdanie, Rachel ubiegła mnie:

- Nie martwcie się, to teraz jedno z najmilszych miejsc, jakie kiedykolwiek za życia odwiedziłam. I uśmiechnęła się ciepło, jak zawsze.

Felix wskoczył na jej kolana i ułożył się na nich wygodnie. Była więc prawdziwą materią?

- O liście od Marcela słyszałam, sam mi opowiadał...

Moja radość mieszała się z tak wielkim zdziwieniem, że odwzajemniałam uśmiech, chłonąc całą sobą jej postać i każde słowo. Rachel głaskała kota, patrząc na niego w zamyśleniu, a ja oblizawszy parę razy suche wargi, odezwałam się nareszcie:

- Jesteś... jak to możliwe... i Marcel też TAM, z tobą?

- Tak się złożyło. On już czekał na mnie...

Ogarnął mnie dreszcz emocji i dziwny respekt wobec jej słów. Ja, z natury elokwentna, dość pewna siebie we wszystkim, do czego dążyłam i osiągnęłam w moim życiu, z szacunkiem słuchałam teraz słów mojej ciotki, Rachel Thompson, która odwiedziła mnie z zaświatów. Czy wypada mi wypytywać o cel przybycia i o dawną, niespełnioną miłość? Dlaczego przychodzą do mnie? Wcześniej Steffi, a teraz ona...

Rachel, jakby zgadując moje myśli, kontynuowała opowieść.

- Marcel wybrał się z dwoma mężczyznami w góry, na Sierra del Lacandón. Nie są wcale wysokie, nie przekraczają 636 m n.p.m. a nazwa pochodzi od indiańskiego plemienia, Lakandonów. Mają tam swój Park Narodowy, rozmawiał z kilkoma mieszkańcami, chciał ich bliżej poznać... Dlaczego? Nie wiem, może i dlatego, że kiedyś byłam z nimi częściowo związana?

Rachel westchnęła, a ja słuchałam jej nie mogąc wykrztusić ani słowa.

- W powrotnej drodze Marcel zasnął. Wpłynęły na to warunki pogodowe tego regionu, duża wilgotność powietrza i jego serce, które ostatnio sprawiało mu niespodzianki swoją arytmia. Byli już niedaleko miasteczka, ale pomoc nie zdążyła nadjechać...

Podniosła na mnie głowę ze smutnym uśmiechem:

- Podobnie jak do mnie nie dotarł na czas jego ostatni list. Chciałam wam właśnie powiedzieć, żebyście sobie z Allisson nie zaprzętały tym faktem głowy. Dobry miałaś pomysł, do kominka ze wszystkim, co już nieaktualne.

Podniosłam się nareszcie z mojego komputerowego miejsca i podeszłam do niej bliżej. Miałam ochotę ją uściskać, ale coś powstrzymywało mnie, więc tylko zapytałam:

- Spotkałaś Steffi?

- Tak, rozmawiałyśmy chwilę, ale ona dostała już inną misję. Jest teraz w Europie.

Przypomniało mi się, że miss Stella, przed rozstaniem z panią Thompson mówiła coś o podróży do Europy, a Rachel spojrzała na mnie z uśmiechem, dodając:

- Nie martw się, już wracają. Mieli masę wrażeń, o których ci opowiedzą, tylko Iwone będziesz musiała pomóc - sercem i twoim doświadczeniem.

Ostatnie zdania dotyczyły oczywiście Jeremiego i moich najukochańszych

podróżników.

- Powiedz, proszę... - zaniepokoiłam się. Patrzyłam na nią badawczo, a ona łagodnie lecz zdecydowanie kończyła nasze spotkanie:

- Iwona opowie - i wstała strząsając Felixa z kolan, który zdziwiony miauknął protestująco.

- Odwiedzę Allisson i postaram się spędzić jej troskę z czoła.

Nadszedł moment, w który mogłabym się dowiedzieć, czy tylko ja mam przywileje kontaktów i odwiedziny gości z zaświatów, więc szybko zapytałam:

- Ona cię zobaczy?

Rachel roześmiała się serdecznie:

- Jeszcze nie wiem, spróbuję. Ty byłaś już sprawdzona.

Powiedziała to jak dawniej, bardzo swobodnie i wyciągnęłam do niej rękę chcąc przytulić tę delikatną, miłą mojemu sercu staruszkę, zapytać, co z naszą Prowansją, bo ona, moja ciocia wie teraz wszystko chyba lepiej niż jasnovidząca Pytia...

Rachel jednak przeszła obok mnie dziwnie, iluzorycznie, a stojąc przy drzwiach powiedziała: - Czas na mnie, do zobaczenia - i zniknęła.

Zdezorientowany Felix został na środku pokoju... Za oknem deszcz rozpadał się na dobre, zmieniając leżący jeszcze dziś rano bielusieńki śnieg w popielate błoto.

„Wydaje mi się, że nie te dni są najmiłsze,
kiedy spotyka nas coś nadzwyczajnego,
lecz te które przynoszą nam drobne codzienne rozkosze
i przesuwiają się gładko jak perełki na naszyjniku.”

Lucy Maud Montgomery

Napisałam do Patrycji, a ona odpowiedziała:

- We mnie, wzbudza niepokój stan, gdy wszystko zbyt miło się toczy. Wtedy zaczynam podejrzewać nadchodzącą burzę.

Przyznałam jej rację. Wolałabym jednak, żeby właśnie ona, będąca od wielu lat przyjaciółką tego nie stwierdziła. Po wyjściu, lub raczej rozpląnięciu się w powietrzu pani Thompson, wywołałam Patrycję na skype i rozmawiałyśmy dość długo, aż do momentu, gdy jej Dozgonnemu przyszedł do głowy pomysł, aby wybrać się z małżonką na spacer, zamiast gadać do ekranu za ocean. Oczywiście opowiedziałam jej o odwiedzinach Rachel, na co zareagowała dość dla mnie niespodziewanie mówiąc, że takie wydarzenia w rodzinie są możliwe, wie na pewno i opowie mi o tym następnym razem.

Ach, ci mężczyźni. Jeremi nigdy nie przeszkadzał mi ani w pisaniu, ani w rozmowach.

Morelowy czekał cierpliwie na chwile, które znów będą mieć dla niego.

Wywołałam go telepatycznie, sprowokowałam, i prawie podskoczyłam na dźwięk mojej komórki.

- Leni? Cherie, wylądowaliśmy przed chwilą! Czekamy na bagaże, już niedługo będziemy w domu - mówił szybko. U ciebie wszystko OK.?

Usłyszałam jego głos kochany i tak bardzo wyczekiwany, że znów ze wzruszenia zaschło mi w gardle. Ta moja menopauza, co rusz daje znać o sobie.

- Leni, jesteś? - zawołał głośnie.

- Tak - i roześmiałam się jak uszczęśliwiona nastolatka.

- Jedź ostrożnie i pamiętaj, że bardzo czekam! A on powiedział jeszcze tylko: „oui, oui” i wyłączył się.

Miałam około dwóch godzin, może nawet mniej, które mogą zająć im w drodze z lotniska do Port Jefferson. Postanowiłam szybko umyć włosy i wziąć kąpiel, bo później kolejka do łazienki bardzo się wydłuży. Z wymyślaniem kolacyjnych dań poczekam do ich powrotu. A może wcale nie będą głodni? Jak znam dziewczynki to z pewnością będą chciały pić i od opowiadania buzie im się tak szybko nie zamkną.

Puściłam wodę i weszłam do wanny. Napelniała się, a piana lawendowego płynu do kąpieli powoli zaczęła sięgać mi do ramion. Zamknęłam oczy i puściłam wodze wyobraźni...

Już witam się z Jeremim, już przytulam do niego... coś mi przywiózł? Płyta z nagraniem ostatniego koncertu Jacquesa?! Konferansjer też został nagrany... Cały występ i oklaski!

Słuchanie muzycznego prezentu zostało brutalnie przerwane szczekaniem Sally i głosami dochodzącymi z dość daleka:

- Babciu, babi, gdzie jesteś?

- Leni? Mamo?

O Boże, nie o takim powitaniu mojej rodziny myślałam!

Iwona weszła do łazienki i widząc mnie kompletnie zawstydzoną, roześmiała się:

- Zasnęłaś w wannie? To mogło być niebezpieczne.

- Pewnie tak. Znużyły mnie wrażenia dzisiejszego dnia.

- Gdzie babcia!? Dziewczynki stały już obok Iwony w drzwiach, a ja usiłowałam przykryć się resztkami piany.

- Mogę się kąpać z babcią? Mamo, proszę! - Marika zaczęła zdejmować bluzę.

Wanna w naszej łazience jest owalna i obszerna. Po wprowadzeniu się do domu w Port Jefferson, remontowaliśmy tylko łazienkę, która miała teraz błękitne kafelki i duże lustro

w białej, porcelanowej ramie z lawendowymi motywami, bo takie życzył sobie Jeremi, a ja oczywiście nie miałam nic przeciwko temu.

- Ależ skąd! Iwona omijając moją bezradność, wzięła sprawy w swoje ręce. - Schodzimy na dół i rozpakujemy co nieco. Zdaje się też, że bardzo chciało się wam pić, prawda? A ty, mamó ogarnij się i schodź do nas. Mamy coś dla ciebie - i wychodząc pokiwała głową z uśmiechem.

Zmartwiona niefortunną sytuacją, z zamkniętymi oczami spłukałam włosy, nie słysząc tym samym nic, co mogłoby mnie ponownie zaniepokoić, gdy... czyjeś dłonie, czułe i wilgotne objęły moją twarz. Mrugając powiekami, próbowałam otworzyć oczy, ale zanim zobaczyłam Jeremiego pochylającego się nad wanną, byłam pewna, że to usta Morelowego właśnie witały się ze mną. Roześmialiśmy się.

- Cherie, jestem...

- Mon Dieu⁴, nareszcie... moment, sorry, zaraz wyjdę z wody.

- Pourquoi?⁵

Mój ukochany odwrócił się i przekręcił klucz w drzwiach łazienki.

* * *

Z filuternym uśmiechem, radosny i odprężony trzymał mnie jeszcze przez chwilę w ramionach i patrzył tak, jak tylko on potrafił. Bez cienia fałszu i zagadki, o czym mogłabym myśleć, gdy jako prawie mąż, po tygodniowej nieobecności wraca do domu. Jeszcze jedno przytulenie, jeszcze słowo do ucha zaszeptane, że bardzo kocha, a potem w galopującym tempie ubieraliśmy się w sypialni, słysząc z dołu ponagląjące nawoływania Iwony:

- Mamó, Jeremi, kolacja, co wy tak długo tam robicie?

Mogłaby się opanować i oszczędzić komentarzy. Zaraz Marika z Marysią też się zainteresują, czemu tak długo?

Miałam rację. Ach, te moje wnuczki! Pytanie zostało nam postawione zaraz na progu kuchni, a ja zgodnie z prawdą odpowiedziałam:

- Witaliśmy się i całowali. Odpowiedzią były ich czarujące uśmiechy i kwitujące temat machnięcie ręką Marysi:

- Normalne! Mama z Jacquesem też się tak żegnała.

„Jeśli jest noc, musi być dzień, jeśli łza - uśmiech”

Ks. Jan Twardowski

Czekam więc na uśmiech mojej córki.

Właśnie odwiozła Marikę do przedszkola, Marysię do szkoły i słyszę jej powrót

dobiegający z przedpokoju. Jeremiego też już nie ma, po urlopie mają podobno pracy moc, o czym poinformowała go raniutko Agata. Jakaś instalacja w ich gabinecie wysiadła i kilka krabów, które badali, leżały do góry brzuchami.

- Nie pracujesz dzisiaj?

- Wpadłam na chwilę do Allisson i poprosiłam ją o dzień urlopu. Chcesz kawy, mammo?

- Oczywiście, mogę drugą razem z tobą wypić.

Specjalnie wtrącam „razem z tobą”, gdyż mogłoby być i tak, że Iwona z swoją kawą pójdzie zaraz na pięterko do ich pokoju, by odespać podróż, ale moja córka na szczęście nie miała takiego zamiaru. Przygotowuje grzanki z pomarańczowym dżemem, który wczoraj przywieźli i siada naprzeciw mnie. Kocham takie poranki w kuchni, gdy otula nas zapach świeżo sparzonej kawy, pachnie pieczywo, a za oknem rozśłonecznia się powoli dzień, który będzie jeszcze jedną niespodzianką w naszym życiu.

Patrzę na nią, zamyśloną, trochę zmartwioną i zastanawiam się jak zacząć naszą rozmowę; zapytać czy poczekać, aż moja córka zacznie opowiadać o swoich niepokojach, o tym, co ją dręczy. Tak smakuje oczarowanie kimś, fascynacja, a potem ogarnia nas bezgraniczna tęsknota i oczekiwanie kiedy wybrana osoba zrobi następny krok w kierunku naszego serca.

- Boję się, że nic z tego nie będzie. W duszy artysty gra tak wiele, całe fantazje, nawet symfonie nastrojów. Chyba trudno będzie go kochać przez całe życie - zaczęła, spoglądając w stronę okna, ale tak bardziej w przestrzeń.

- Skąd takie refleksje?

Wzrusza ramionami i popija kawę.

- Może zbyt wcześnie na nie, ale będąc świadkiem aplauzów i wszystkich tych radości, które go po koncercie otoczyły, czułam się bardzo obok, prawie poza nimi. To świat, z którym niewiele mam wspólnego, prócz tego, że artysta tak uwielbiany należy prawie do naszej rodziny. Mammo, nie chcę być marginesem w życiu Jacquesa...

- Kochanie, ale czy on dał ci to w jakiś sposób odczuć? Masz powody, aby wyciągać smutnawe wnioski z waszego wyjazdu do San Francisco?

Moja córka uśmiecha się. Poznają jej wyraz twarzy, podobny do wigilijnego, gdy wszyscy nawzajem składaliśmy sobie życzenia przy choince, a on zawieszał jej złoty łańcuszek z kluczykiem na szyi... Infantylny drobiazg z artystycznym podtekstem mającym wyrażać zgodę i prawo do jego serca, które w każdej chwili mogła otworzyć i wejść, aby się w nim rozgościć.

- Właściwie, to nie - mówi.

Ma go teraz na szyi i obraca w dłoni, spogląda na mnie jeszcze raz z wyrazem twarzy zakochanej kobiety, powtarza jeszcze raz „właściwie to nie”, dodaje „wszystko było super... aż za bardzo i... „może dlatego się czegoś obawiam?”

Przypominają mi się wczorajsze zalecenia Rachel, że powinnam pomóc jej życiowym doświadczeniem, jakie w sobie noszę i czuję się zupełnie bezradna. Mogę jej powiedzieć „nie przejmuj się, wszystko będzie dobrze, nie powinnaś tak myśleć”... ale żadne z tych banalnych zwrotów na nic się nie przyda. Nowa miłość zastąpiła jej drogę i musi sobie z zaistniałą sytuacją poradzić. Jakby nie miała dosyć przykrości w swoim trzydziestoletnim życiu. Z dwojga złego, Manfred byłby odpowiedniejszy, przynajmniej jest na miejscu - myślę głupio.

- Dzwonił? Esemesował?

- Tak, tak, dziś wcześniej rano rozmawialiśmy. Szykował się na próbę. W przyszłym tygodniu odlatują na tournée do Europy. I będzie jeszcze dalej ode mnie... - dodaje z westchnieniem.

- Z tym można było się od początku liczyć.

Stwierdzam to trochę bezlitośnie, chociaż moje słowa okraszam uśmiechem, ale zaraz wstaję, obejmuję ją i niezbyt dokładnie cytuję zasłyszany aforyzm, że nic, w ogóle nic, nie może być po-wodem zer-wa-nia wiel-kiej miłości. Ani odległość, wiek, ani pieniądze. Nic - prócz jej braku.

- A o tym kochana, sami musicie się przekonać - dodaję od siebie.

- Wiem, wiem - mówi i robi coś nieoczekiwanego. Po prostu przytula się jak mała dziewczynka, przypominając mi chwile, gdy przed laty wróciła do domu z krwawiącym kolanem. Przewróciła się na nowym rowerze, kupionym przez tatę. Najdelikatniej w świecie obmywałam jej ranę, a ona próbując powstrzymać płacz objęła mnie, jakbym teraz stać się mogła łagodzącym środkiem na tęsknotę i niepewność jej miłości.

Obejmujemy się więc podobnie, a ja nie znajdując innych, stosownych słów pociechy, mówię:

- Chodź, nie zamartwiaj się na zapas, bo nie ma łatwych miłości, a w każdą jest wpisana porcja smutku i radości. Przecież o tym wiesz, a ja wierzę, że tej drugiej będzie w waszym związku więcej.

Nie odpowiada, ale widzę, że rozmowa nasza chociaż krótka, przyniosła jej odrobinę ulgi.

* * *

Wieczorem, gdy Marika i Marysia już śpią, a Jeremi pogwizdując, zajmuje jeszcze łazienkę, Iwona przychodzi do mnie. Odkładam czytana przeze mnie książkę, jedną z tych, które przywiozła przed Gwiazdką i patrzę z wyczekującym uśmiechem, a ona mówi dwa zdania, które spadają na mnie jak grom, bez ostrzegawczej błyskawicy i powodują przyspieszone, prawie bolesne bicie serca. Mówi, że chyba pojedzie tak na trochę w odwiedziny do Polski i zabierze ze sobą dziewczynki, ale musi to jeszcze przemyśleć.

I wychodzi z mojej sypialni...

Marzenia są jak zapach mgły o poranku, po pewnym czasie zabiera je podmuch wiatru.

Michał Moryl

Decyzja

Obudziłam się z bólem głowy i wrażeniem, że podczas minionej nocy nękały mnie dziwne sny, ale nie potrafiłam sobie nic przypomnieć. Miejsce Jeremiego było puste, w domu panowała absolutna cisza, tylko Sally siedziała pod drzwiami sypialni i gdy otworzyłam drzwi, machnęła powitalnie ogonem. Chociaż ona.

W kuchni czekała dość jeszcze ciepła kawa, co wskazywało, że reszta mojej rodziny niedawno opuściła dom. Na stole leżała karteczka z wiadomością:

Morning Mamo, nie chcieliśmy Cię budzić, wszystko ok. i jak zwykle. Porozmawiamy po południu, całujemy

Iwona & Co

Westchnęłam prawie z ulgą, bo nagle przypomniałam sobie jej wieczorne słowa, które nie były snem i jeśli ona teraz pisze, że „wszystko ok. i jak zwykle” to najprawdopodobniej przemyślała swój wczorajszy projekt, który według mnie najmądrzejszy wcale nie był. Niby dlaczego miałyby jechać do kraju?

Wzięłam kawę, zrobiłam grzankę i zapragnęłam natychmiast z kimś na ten temat porozmawiać, a jedyną osobą, która przyszła mi na myśl była Patrycja. Porównując nasz i jej czas kontynentalny, w Gdańsku nastawał początek nocy, ale jak to często obie powtarzałyśmy - prawdziwa przyjaźń bardziej zobowiązuje niż miłość. Ta druga potrafi być ślepa i głucha - szczególnie na przestrogi, ale przyjaźń powinna być jak pogotowie ratunkowe. To była nasza wspólna dewiza, oczywiście bez niepotrzebnego wchodzenia sobie na głowę.

Ruszyłam biegiem do pokoju, przydeptując po drodze koniec puszystego ogona Sally, co zniosła z godnością i cichym piskiem, pełnym zrozumienia, że pani się spieszy.

Próbowałam wywołać Pati na skype, wyrzuty sumienia powoli zaczęły dawać znaki absolutnego egoizmu z mojej strony i gdy już chciałam zaprzestać prób połączenia się z krajem, Patrycja ukazała się w nocnym stroju wskazującym na duży pośpiech. Ale z uśmiechem!

- Co się dzieje? Jediną wiadomością, która mogłaby mnie o tej godzinie usatysfakcjonować, a Ciebie moja droga usprawiedliwić, to ta, że postanowiliście wybrać się

w odwiedzinach do Polski - powiedziała poprawiając włosy.

Skąd się bierze w nas telepatia?! Nie całkiem w tym momencie stuprocentowa, ale dotycząca przecież tematu podróży. W naszej wieloletniej znajomości dość często zbiegały się myśli i reakcje, a teraz uśmiechałyśmy się do siebie między dwoma kontynentami. Wiwat techniko, możliwość otrzymania internetowego pocieszenia jest bezcenna.

Zacząłam jej więc zaraz opowiadać o nastrojach panujących w domu, rozmowie z Iwoną i jej nagłym pomysłem, a moja przyjaciółka jak zwykle rozsądna i zrównoważona, po wysłuchaniu relacji powiedziała:

- A czemuż ty się tak strasznie przejęłaś jej planami?

Zaniemówiłam.

- Jak to dlaczego? Po co ona chce jechać do kraju? Ma tutaj pracę, dziewczynki uczą się, pełna aklimatyzacja, przyjaźń, uczucie, dlaczego chce uciekać?

Gwałtownie wysuwałam moje argumenty, a Patrycja po chwili powiedziała:

- Daj jej spokój i nie protestuj. Myślę, że ona wie, co robi. Chce jechać w odwiedzinach. Może są jakieś sprawy w Polsce do uregulowania. Z pewnością też chce odwiedzić Roberta w więzieniu? Jeśli dobrze pamiętam, to coś w tym sensie obiecywałyście dziewczynkom przed Gwiazdką, gdy planowały swój niezapomniany rejs.

Faktycznie, uciekło mi to z głowy, bo wszystkie myśli były od wczoraj skierowane na syna Jeremiego i moją córkę. Czy planując wyjazd, chce pokazać swoją niezależność, wzbudzić w Jacquesie zazdrość, zwiększyć wymiar tęsknoty? Czasem ucieka się, chcąc być gonionym...

Powiedziałam to Patrycji, a ona na to, że bardzo dobrze. Niech Iwona wszystko wsadzi do jednego garnka, dobrze zamknie i jak puszkę Pandory postawi wysoko na szafie, a potem niech pakuje walizki i przyjeżdża. Innym problemom trzeba pozwolić odetchnąć.

- Już się bardzo cieszę - wołała moja przyjaciółka. - A twoją psychę udało mi się choć trochę postawić na nogi, prawda? To pozwól mi teraz iść spać! - śmiała się. - Czekam na znak od ciebie kiedy przylecą, to odbierzemy je z lotniska. Szkoda, że ty nie możesz też przyjechać! Ale byłaby balanga! Pa!

Jak dobrze było znów ją widzieć i słyszeć. Bardzo starała się przemówić mi do rozsądku, uspokoić... Wiedziałam jednak, że sama muszę postarać się dojść do ładu z moimi lękami, oswoić się z myślą, że przez jakiś czas zostaniemy w domu z Jeremim tylko we dwoje. Ani przez moment nie było nam z dziećmi zbyt ciasno i chociaż czas spędzony razem obfitował w wydarzenia to, co najważniejsze wypełniony był po brzegi miłością. A może Iwona zmieniła plany i wcale nie wyjadą?

* * *

- Babciu, nie bądź smutna, przecież my wrócimy - mówiła Marika głaszcząc swoją rękę.

Był wieczór, Iwona z Jeremim pojechali do City zrobić zakupy, a ja siedziałam w pokoju dziewczynek i prowadziłyśmy rozmowy przed jutrzejszym odlotem.

- Mam nadzieję, że wrócicie - próbowałam się uśmiechnąć. Jakoś będę musiała to przeżyć.

- Przywieziemy ci coś! - Marysia starała się osłodzić nasze rozstanie. - Co byś chciała?

Roześmiałam się teraz, a one razem ze mną, bo obietnica prezentów przywożonych z podróży była związana z czasem, gdy Iwona lub Robert wyjeżdżali służbowo, a ja zostawałam z dziewczynkami w domu.

- „Tylko bądźcie grzeczne, słuchajcie babci, przywieziemy wam coś fajnego!”

Dni rozstania wypełniało wielkie oczekiwanie, a obopólne obietnice były najczęściej spełniane.

- Jeszcze nie wiem, czego bym sobie tak najbardziej życzyła. Powiem wam po przylocie do cioci Patrycji, dobrze? Obiecuję, że będę grzeczna.

Marysia leżała na swojej połowie tapczanu i patrząc w sufit, powiedziała:

- Zastanawiam się od wczoraj, czy powinnam cieszyć się tym wyjazdem, czy też lepiej nie?

- Czemu myślisz, że lepiej nie? Radość wynika sama z siebie, nie ma miejsca „na powinnam”... Ona jest, albo jej nie ma.

- Tak, babciu, ale ja boję się rozczarowania...

Takie były, od pewnego czasu rozmowy z Marysią. Nawet dorosłego potrafiły przyprawić o dreszcz emocji.

Marika podniosła się na łokciu:

- A ja się cieszę. Będziemy trochę u cioci, potem w naszym domu, zobaczymy co tam ciekawego, odwiedzimy tatę i wrócimy. Co może mnie zaczarować?

- O Boże, Marika nie bądź głupia! Nie wiesz jaka jest różnica między rozczarowaniem, a zaczarowaniem?

- Wiem! - Marika aż podskoczyła. - Można jeszcze kogoś odczarować, jak w tej bajce o żabie. Pocałowała, a tu królewicz!

- Czemu one jeszcze nie śpią? Przecież jutro trzeba wcześniej wstać! Iwona zagładnęła

do pokoju - Mamo, chodź proszę na dół, a wy już - cicho, sza.

- Znów pewien etap naszego życia dobiega końca. Tak niewiele czasu upłynęło, a tyle nam się tutaj zdarzyło - powiedziałam. - Pomodlimy się jeszcze razem przed podróżą?

- No jasne, babciu.

Gdy spać się kładę, modłę się do Pana, niech Aniołowie strzegą mnie do rana...

- A jeszcze to drugie, co w domu - powiedziała Marika:

Do ciebie Boże rączki podnoszę, o zdrowie mamusi i tatusia proszę, i babci i dziadka... (a Jeremi to nasz dziadek? - może być, nie?) I wszystkich, których kocham, proszę. I o zdrowie dla chomika, też! W imię Ojca i Syna...

- Babciu, będziesz opiekować się chomikiem, tak? Przecież nie możemy go zabrać ze sobą.

Przyrzekłam solennie, okryłam je kołderkami, ucałowałam i wyszłam z sypialni tłumiając łzy.

* * *

W przedpokoju stoją już trzy walizki, jak przed kilkoma miesiącami, dwie małe, kolorowe i jedna duża. Nie potrafię się opanować, bo ten widok ścisza mi serce. Oni, to znaczy moja córka i Jeremi siedzą przy kuchennym stole, piją herbatę i rozmawiają, jakby nigdy nic. Widząc mnie niosącą swój smutek, Jeremi mówi:

- Leni, ma Cherie... wolałabyś też razem jechać, czy zostać ze mną?

Mówi to bardzo poważnie, patrząc na mnie zza okularów, a ja czuję się nieswojo, bo demonstrując od kilku dni mój żal z powodu wyjazdu Iwony z córkami, mógł pomyśleć, że on w całym tym rodzinnym układzie niewiele się już liczy. Chyba w pewnym momencie poczuł też ulgę, że choć przez jakiś czas będziemy w domu tylko we dwoje.

Teraz, wypowiedzianym przez niego zdaniem zostałam oblana niczym przysłowiowym wiaderkiem zimnej wody i odnosi to właściwy skutek. Żaden mężczyzna, chociaż nie wiem jak byłby wyrozumiały i zakochany, nie zniósłby u kobiety kilkudniowego focha bez głębszych podstaw. Wycieram więc łzy i podchodzę do niego. Obejmuję go od tyłu i przytulam twarz do jego szyi. Jeremi nie mogąc się obrócić, uśmiecha się tylko do patrzącej na nas Iwony, a ja szepczę mu do ucha:

- Przepraszam, nie chciałam cię urazić. Jeśli będziesz kiedykolwiek chciał jechać do Polski, to oczywiście razem ze mną.

Jeremi zdejmuje z swoich ramion moje ręce, całuje je i pyta:

- Napijesz się herbaty? Usiądź proszę, musimy jeszcze porozmawiać.

Popijamy teraz w trójkę herbatę, a Jeremi wypowiada zdanie, które znów zbija mnie z tropu.

- Manfred też zarezerwował lot do Polski. Ten sam, który mają Iwona i dziewczynki.

- Chce pokazać Allisson trochę wschodniej Europy? - uśmiecham się.

- Nie, Manfred leci sam.

Matko moja, właśnie ta wiadomość wydaje mi się podejrzana. Spoglądam na Iwonę, ale ona jakby nigdy nic popija herbatę, gryząc krakersa. Wypada mi więc, wobec Jeremiego zbagatelizować plany Manfreda stwierdzeniem:

- O, to nawet dobrze. Męskie towarzystwo w dalekiej podróży zawsze może być pomocne.

Iwona śmieje się.

- Jasne. Wyobraź sobie, że rozwali się nam walizka i trzeba będzie pomóc zbierać ciuchy. Pasek od męskich spodni może być wykorzystany.

Tak, ona każdą nawet najbardziej niewygodną sytuację próbuje potraktować z humorem.

- Co u Jacquesa? - zwracam się do Jeremiego.

- Podekscytowany. Szykują się do odlotu do Europy. Najpierw Paryż, a dalej Nicea, Berlin i Strasburg, albo w odwrotnej kolejności, nie pamiętam dobrze. To będzie z pewnością bardzo atrakcyjne, ale i wyczerpujące tournée.

- Tak, tak... - Iwona wstaje. - Zajmuję zaraz łazienkę, moi drodzy.

Po jej wyjściu, pytam Jeremiego:

- Czy ona jest jeszcze KIMŚ dla niego?

Uśmiecha się:

- Ależ tak. Są umówieni na telefon, albo skype jeszcze dziś wieczorem. Oddycham z ulgą, a on dodaje:

- Chodź już na górę, jeśli skype, to twoja córka zasiądzie przed komputerem.

Obejmuje mnie. Jeremi nie gniewa się, a jego całowanie jest jak... czekoladowa maseczka, którą sobie kiedyś nałożyłam. Koniecznie musimy powtórzyć... Będziemy teraz mieć dużo czasu dla siebie.

*„(...) należał do tego rodzaju istot ludzkich,
które pragniemy porwać i na zawsze zabrać ze sobą,
z nikim się nimi nie dzieląc.”*

Jonathan Carroll

Nicea

- Interesujący mężczyzna przyciąga kobiety jak magnes, a gdy towarzyszy temu muzyka, jego skrzypce wyzwalają w naszej psychice najtkliwsze uczucia. Wabia, obiecują, a pierwszym z nich jest fascynacja. Gdy w zamian otrzymujemy też ich aprobatę, wybucha w nas szaleństwo miłości.

- O jakiej miłości ty teraz mówisz?

- O wyłączonej i bezgranicznej. Absolutnej.

- Taka nie istnieje. Każdą trzeba z kimś albo czymś dzielić, a ty rozprawiasz o uczuciu usidlającym, ograniczającym wolność drugiego człowieka. Mon Dieu Charlotte! Nie bądź modliszką!

- A jeśli oboje mają podobne oczekiwania wyłączności i pragną tego samego?

- To przyniesienie znużenia i cierpienie...

Charlotte obserwowała przez chwilę kolorowe, roześmiane dziewczyny przechodzące za oknem w kawiarni, a potem zwracając się do swojej przyjaciółki, Caroline powiedziała:

- Gdy słuchałam pierwszy raz nagrania jego ostatniej płyty odczułam dreszcz emocji i wzruszenia. Byłam znów radosna, młoda i podniecona jak one, jakbym odkryła lifting życia na najbliższe dni. Wtedy napisałam do niego!

- Zaraz, zaraz... a skąd wzięłaś adres kontaktowy?

- Wyobraź sobie, kilka tygodni temu znalazłam w mojej facebookowej skrzynce tego typu wiadomość. Przeczytałam ci, przepisałam na kartkę dla ciebie:

„- Cherie Charlotte! Zwracam się z uprzejmą propozycją, czy nie zostalibyśmy facebookowymi przyjaciółmi. Byłbym wielce zaszczycony być w kręgu Twych przyjaciół. Nie mamy ich nigdy za wiele. Krewnych daje nam los. Przyjaciół wybieramy sami. Przyjaźń jest subtelną rozkoszą szlachetnych dusz, jakże piękna, jeśli jest prawdziwa. Szczęśliwy ten, który jej doznał...i docenił. Zachęcam również do odwiedzenia mojej strony internetowej. Życzę miłego dnia oraz powodzenia w realizacji planów i zamierzeń. Serdecznie pozdrawiam. Jacques Morelly”.

- Ależ się marketingowo po facebookowych adresach przeleciał!

- Co masz na myśli?

- Każdemu ten sam tekst. Dla reklamy - nowa strona fanpage i masa nowych „przyjaciół”. Jestem pewna!

Caroline roześmiała się i klasnęła w dłonie, aż siedzący przy sąsiednim stoliku mężczyzna odpowiedział również uśmiechem. Dwie, jak określiłby dojrzałe, w kwiecie wieku i atrakcyjne w swej urodzie panie rozmawiały ze sobą od dłuższego czasu, a on obserwował nastroje malujące się na ich twarzach. Szczególnie tę jedną, prezentującą swobodną elegancję. W długiej, kwiecistej sukni i z opadającymi aż na jej plecy ciemnymi włosami przypominała kolorowego ptaka. Kilka pasemek siwych włosów zdobiło skronie, co bynajmniej nie postarzało jej, lecz dodawało uroku. Obok na krześle leżał kapelusz ozdobiony granatową wstążką. Wydawało mu się, że już ją kiedyś widział, ale nie mógł sobie przypomnieć kiedy i przy jakiej okazji to być mogło.

Mimo woli zaczął przysłuchiwać się ich rozmowie, odczuwając jednocześnie ulotne uczucie wstydu za swoje zachowanie, a także niepokoju, bo jego czas przeznaczony na déjeuner dawno już upłynął i powinien wracać do studia.

- Caroline, wysłuchaj mnie, proszę. Nie zrobiłam nic niewłaściwego. Napisałam do niego, że jego utwory i ich wykonanie na ostatniej płycie zafascynowały mnie i zapytałam o najbliższą trasę koncertową.

- Odpisał ci?

- Oczywiście! Podziękował serdecznie, dodając, że nie omieszka zawiadomić mnie, gdy dokładnie wiedzieć będzie, kiedy zawitają do Europy.

Charlotte spojrzała z rozmarzeniem i jej oczy stały się jeszcze bardziej niebieskie. Mężczyzna mimo woli pochwycił spojrzenie kobiety i skinął głową. Ona odpowiedziała mu uśmiechem, ale nie spojrzała już ponownie w jego stronę.

- Naprawdę zadurzyłaś się w tym pięknym grajku?

- Nie mów tak o nim.

- Na miłość boską, Charlotte! Wokół każdego artysty kręci się tłum wielbiących go kobiet, piszą, adorują, a on konwencjonalnie, grzecznie dziękuje za aplauzy i uznanie, bo tak mu wypada. Co ma innego robić? Wszystkie medialne plotki i węszący paparazzi, są ceną popularności artystów. Tylko celebrytom jest wszystko jedno, bo dla nich najważniejsze jest, żeby byli zauważani, aby o nich pisano.

- Wiesz, on ostatnio stał się moją muzą, natchnieniem... Ponownie zaczęłam malować akwarele. Przewyciężyłam kryzys tożsamości artystycznej. Wróciłam do pracy. Możesz to

zrozumieć? Napisałam mu o tym...

Siedziała w zamyśleniu, jakby argumenty przyjaciółki wcale do niej nie docierały. Wydawała się prawie nieobecna, a mężczyzna wstał od swojego stolika i rzucając jej ostatnie spojrzenie w dalszym ciągu próbował sobie przypomnieć skąd ją zna.

Caroline nie pytając przyjaciółki o zgodę, zamówiła jeszcze dwie espresso i zmieniając temat rozmowy zapytała:

- Dostałaś wiadomość od Cecilie?

Charlotte skinęła potakująco głową.

- Mon Dieu, opowiadaj! Podziwiam twoją córkę, jak nikogo innego na świecie, naprawdę! Trzeba mieć niesamowitą odwagę, żeby wybrać się na misję do Kamerunu!

Charlotte uśmiechnęła się. - Tak, ja też ją podziwiam, ale wiadomość, jaka przyszła przedwczorajszym mailem była dość lakoniczna. Zawierała kilka pierwszych wrażeń: o pogodzie, że jest ciepło, a można było się tego spodziewać i egzotycznie, bo przecież Afryka. Cecilie i jej dwie koleżanki zostały miło przyjęte tam przez istniejącą już organizację misyjną. Muszą zrobić plan działania na najbliższy czas, zaklimatyzować się, no i to, że napisze później więcej.

- Gdyby Louis żył, z pewnością próbowałby ją odwieść od tego szalonego planu na życie - dodała z westchnieniem i wstała. - Była bardziej córeczką tatusia. Moje argumenty do niej zupełnie nie docierały. Idziemy? Mam jeszcze kilka spraw do załatwienia dotyczących wernisazu.

* * *

Wrócił do studia nagrań, jednak reszty kolegów jeszcze nie było, więc miał chwilę czasu do namysłu. O jakim muzyku ona mówiła? Kto zrobił na niej aż tak głębokie wrażenie, stając się inspiracją do pracy, liftingiem życia? Jej postać była taka... malarska, jak z obrazów impresjonistów. Tak! Alain pacnął dłonią w pulpit. Przypomniał sobie! To była Charlotte Dubois, której akwarele podziwiał minionego lata, na wernisazu w Marsylii. Postanowił zasięgnąć o niej więcej wiadomości, ale teraz czekała praca. W studio przygotowywali płytkę mix Davida Garretta, ale to nie o nim przecież opowiadała Charlotte swojej przyjaciółce...

@

*„(...) Nie podcinaj mi skrzydeł milczeniem swoim
usłysz trzepot mojego serca...”*

Anna Strzelec

Jeszcze raz w drogę...

- Mamo, jak długo polecimy tym razem? Tak samo długo jak poprzednio do babci, czy krócej? - pytała Marika idąc między Iwoną, a Marysią do ich miejsc w samolocie wyznaczonych na bilecie. Manfred stał już z przodu w przejściu i kiwał do nich ręką: - Tutaj!

W środkowym rzędzie były cztery fotele i pozostała kwestia wybrania ich dla dziewczynek, by lot odbył się spokojnie i bez sporów.

- Możemy się przecież po jakimś czasie miejscami zamienić - stwierdziła Iwona przydzielając miejsca dziewczynkom w środku rzędu. Nie chciała, aby Manfred siedział obok niej, ale gdy małe zaczęły się kręcić i dyskutować, pewnie nie da się tego uniknąć.

Ponieważ decyzję o podróży do Polski podjęła dość niespodziewanie, najbardziej osiągalną datą rezerwacji biletów były dwa tygodnie przed Wielkanocą i lecieli teraz wszyscy Lufthansą z przesiadką w Monachium. Można było też przez Londyn, ale Manfred poprosił Iwonę, aby wyraziła zgodę na jego towarzystwo aż do Niemiec. Obiecał jej pomóc przy przesiadaniu się z dziewczynkami na linie Lotu do Gdańska, gdy następnie weźmie kurs na Düsseldorf. Śmiali się, gdy Marysia słysząc ich planowanie jeszcze w Port Jefferson, stwierdziła, że Onkel Manfred mówi, jakby sam był pilotem.

- A wiesz, że myślałem kiedyś o tym zawodzie?

- No i co? Czemu nie zostałeś?

- Byłem co prawda młody, ale chyba zabrakło mi odwagi.

Przyznając się tak otwarcie do jej braku, mrugnął nieco porozumiewawczo do Iwony, a ona przypomniała sobie ich rozmowę w Remscheid, odbytą krótko po jej przybyciu do Manfreda i Helene. To nie brak odwagi był powodem porzucenia pomysłu zdobycia kwalifikacji pilota. To osoba Steffi, która w tym czasie przybyła służbowo do Niemiec. Jego brat poznał Steffi podczas jednego ze spotkań firmy, jaką reprezentowała, a gdy po kilku dniach zaprosił ją do ich rodzinnego domu, Steffi stała się miłością obu braci. Kobieta, o którą nie umiał walczyć, którą pokochał od pierwszego wejrzenia, chociaż nigdy dotąd w podobne przypadki nie wierzył. Steffi, do której Iwona jest tak bardzo podobna...

Czy Manfred myśli jeszcze o niej? Wspomina ten krótki, ale jego i Steffi czas we

dwoje. Bardziej obiecany, oczekiwany sercem... i zrzędzeniem losu niespełniony. Czy po takiej miłości można być ponownie otwartym na nowe związki? Iwona uśmiecha się do swoich myśli, bo... jednego jest pewna. Z czasem do każdej miłości nabiera się koniecznego i odpowiedniego dystansu. Szczególnie wtedy, gdy do serca zapuka niespodziewanie nowe uczucie, nawet gdy taką ewentualność zaznaczało się w pamięci czerwonym ołówkiem, z notatką na marginesie: Nie! Nigdy więcej miłości! Tylko ona i dziewczynki! Cóż, tej obietnicy nie dotrzymała, jednak blizny po rozstaniu z ich ojcem i tak pozostaną.

Wybrała odwiedziny w kraju szybko? Może zbyt pochopnie? Nie. Potrzebny jest czas na przemyślenia dla niej i Jacquesa. Może bardziej dla niej? Nigdy nie umiała żyć iluzjami, tym bardziej na odległość, kiedy słyszy się tylko głos, a brak jest ciepła i dotyku. Czy on odczuwa podobnie? Nie zdążyli o tym porozmawiać, ale przecież muzyka, Panie Boże - muzyka, to jeszcze nie wszystko... Ile potrzeba wiary w nasz czas terażniejszy? Nic się między nami nie zmieni? W jednym ze swoich wierszy mama napisała:

„Jak nie stracić...

gdy w każdy początek wpisany jest koniec a w poczęcie - śmierć”

Jak nie stracić? Czy między dwojgiem ludzi, którzy chcą być ze sobą w życiu, potrzebne są negocjacje? Przebiegła strategia w odkrywaniu się drugiemu człowiekowi? Czy też: szczerłość i otwartość, bez próby kamuflażu ujemnych cech charakteru, o których, być może przypadkiem i bardzo zranieni, przekonamy się? Tolerancja i kompromis, zanim związek okaże się jeszcze jedną, życiową kompromitacją?

W podróży samolotem Iwona najbardziej lubiła moment startu i za każdym razem ogarniała ją fascynacja i zdziwienie, że dzięki osiągnięciom techniki tak ogromne, stalowe ptaszysko, potrafi wznieść się ponad chmurami. Za zbędne uważała penetracje kosmosu, bo według niej ta część niebieskiego firmamentu nie należy i nigdy nie będzie należeć do człowieka... Myślała, że ludzie nie powinni być aż tak dociekliwi, bo zostali dla ziemi stworzeni, a nie dla kosmosu. Miliony dolarów wydawane są na ten cel i komu to potrzebne? A głodujące dzieci w Afryce, a chorzy i kalecy... Nikt nie zdoła zbawić tego świata, tutaj, na Ziemi.

Myśli goniły jedna za drugą. Od ich przylotu do NY czas tak szybko upłynął... Zbyt mało poświęciła go przed wyjazdem na rozmowy z Leonią, która tak bardzo przeżywała ich odlot... Obróciła się do Manfreda, który właśnie coś do niej mówił.

- Sorry, zamyśliłam się, słucham?

- Pytałem, czy chcesz drinka, bo widzę, że stewardessa jedzie w naszym kierunku z całym wyposażeniem.

- Tak, Martini z lodem i kawę. A wy, dziewczynki?

Marysia z Mariką już wyszukały sobie jeden z dostępnych filmów i oglądały, jak to poprzednio nazwały - video na plecach pasażerów, którzy siedzieli przed nimi.

- Sok może być, a poza tym głodna jestem. Taka była odpowiedź Mariki, która z podniecenia przed wyjazdem nie zjadła w domu porządnego śniadania.

- Przyjedzie jedzonko za chwilę, przyjedzie - pocieszył je Manfred. - To jaki sok sobie panie życzą?

- Pomidorowy, tylko bez pieprzu! - zarządziła Marysia i dalej oglądały najnowszą część „Alwina i wiewiórek”.

- Dobrze się czujesz? - zapytał Manfred rozdając jej i dziewczynkom zamówione trunki.

- Nie wylejcie! - oczami wyobraźni Iwona widziała już pomidorowe kwiaty na beżowych jeansach córek. Spodnie były nowe, a dziewczynki uparły się, aby je założyć w podróż i żadne tłumaczenie nie przynosiło pozytywnego rezultatu. W końcu Leonia machnęła ręką.

„- Daj im spokój, niech się wystroją, jak chcą. Ty też byłaś taka uparta.

- Nie wspominaj mi przy nich o tym, bo później już żadne argumenty nie pomogą - śmiała się Iwona.

- Poza tym, one chcą przecież dobre wrażenie na cioci Patrycji zrobić! Nie wiesz, że to pierwsze liczy się najbardziej?”

Tak. Iwona wiedziała. Więc skąd tyle niepokoju w niej? Miała oczywiście Jacquesa na myśli... Manfred już po raz drugi ją o coś pytał.

- Tak?

- Pytałem, czy dobrze się czujesz, bo jesteś bardzo milcząca.

- Ach, sporo się ostatnio wydarzyło. Muszę poukładać moje rodzinne puzzle - uśmiechnęła się i popatrzyła na niego z uwagą.

Oboje znaleźli się dziś w innych okolicznościach i to na jej przyzwolenie. Czy Manfred spodziewał się ze strony Iwony wesołego towarzystwa? A może chciał wykorzystać okazję i porozmawiać o czymś ważnym, bo przecież nie da się zapomnieć, że w ubiegłym roku spędzili ze sobą w Remscheid kilka dni i... jedną noc. Dziś lecą razem samolotem, ale jutro rano w Monachium pożegnają się, więc jeśli ma coś do powiedzenia, to niech gada, bo trzeba będzie powoli dziewczynki przygotowywać do snu.

- Masz coś ważnego do załatwienia w Remscheid? - zapytała.

- Powiedzmy, służbowego w mojej Immobilien firmie. Wiesz, jak mówi polskie

przysłowie: „pańskie oko konia tuczy” i roześmiał się tubalnie.

- A jak ci się układa z Allisson, wenn ich fragen darf 6? - zapytała z uśmiechem. Lubiała niemiecki i starała się go nie zapomnieć, bo wiadomo - język nieużywany staje się językiem martwym.

- Danke. To miła dziewczyna i jesteśmy z siebie nawzajem zadowoleni.

O matko moja! Ich bin zufrieden. Zwrot, który może oznaczać wszystko, albo nic. I kiedy na pytanie: wie geht es dir odpowiesz, że jesteś zadowolony, gdyż nie masz ochoty rozmawiać, o tym, co cię właśnie trapi wtedy temat jest zamknięty. Odpowiedź Niemca była tak typowa, że mroziła zawartą w zdaniu treścią. Nie było w niej miejsca na miłość... Biedna Allisson. A może Manfredowi nie wypada rozmawiać o uczuciach do innej kobiety z nią, z którą przeżył kilka erotycznych chwil, i które jeszcze niedawno wspominał pełen zachwytu? Iwona pomyślała, że najchętniej chciałaby o tym wydarzeniu jak najszybciej zapomnieć i postanowiła o nic go więcej nie pytać.

- Wiesz, tak sobie myślę - zaczął konspiracyjnym szeptem, pochylając się bliżej Iwony - czy nie byłoby dobrze, gdybyś zrobiła przerwę w podróży i zatrzymała się z dziewczynkami u mnie na... przypośćmy dwa dni?

Iwona miała ochotę klasnąć w dłonie. A jednak! Wiedziała, że niektórzy mężczyźni to dranie, ale obok siebie miała szczególny okaz, który może niedługo będzie należeć do rodziny Rachel Thompson.

- Dlaczegoż miałabym to zrobić? Przecież mam wykupione bilety z Monachium do Gdańska i dzięki tej przesiadce podróż nasza nie będzie aż tak uciążliwa.

Roześmiała się i postanowiła zagrać w otwarte karty. Klepnęła go po koleżeńsku w ramię:

- Co ty kombinujesz Fred?

- Mamo, co mówiłaś? Co Onkel Manfred kombinuje?

Marika usłyszała ostatnie zdanie Iwony i zainteresowała się, bo a nuż będzie coś ciekawego?

- Nic ważnego, kochanie. Rozmawiamy o tym locie z przesiadką. Kończcie już oglądanie filmu. Pójdziemy do toalety i przygotujemy się do odpoczynku. W plecaczkach macie swoje kosmetyczki, zaraz wam podam. Manfred podniósł się szybko, wyjął z górnego schowka podróżne bagaże dziewczynek i podając im, pochylony nad Iwoną, szepnął: - Zostań, proszę...

- Du bist lustig, keine Fragen mehr.7

- Nie miałem nic niestosownego na myśli, dorosła dziewczynko - powiedział lekko

kpiącym tonem.

Iwona spojrzała na niego z uśmiechem politowania.

- Mogłeś zabrać Allisson, nie byłoby ci samemu nudno.

- Marika, Marysiu, idziemy! I wyruszyły dość wąskim, jak to w Lufthansie bywa, przejściem w kierunku toalet, gdzie można odświeżyć się przed nadchodzącą nocą.

Po powrocie Iwona zmieniła pozycję foteli, aby wygodniej im było pospać, a stewardesa rozdawała poduszeczki. Manfred też wrócił z łazienki i pachniał elegancką wodą toaletową tak bardzo, że Iwona w głębi duszy uśmiechnęła do jego „podchodów”, bo jakże inaczej mogła to odbierać. Światła w samolocie zostały już przygaszone, a Marika zaszeptała do Marysi:

- Babcia mówiła żebyśmy nie zapomniały o paciorku. To w samolocie też się liczy, czy tylko na ziemi?

- Tutaj też, ja już mówię, żeby nie spadł.

Iwona pochyliła się do Mariki: - cichuteńko „Aniele Boży stróżu mój...” i śpijcie. Daj mi rączkę, potrzymam ją, jak kiedyś w domku, gdy byłaś malutka. Jestem pewna, że nie spadnie - uśmiechnęła się do córeczki, a potem wyprostowała się wygodniej na swoim fotelu i okryła kocem. Może uda jej się zasnąć. Około czwartej nad ranem mają lądować w Monachium. Dla dzieci to prawie w środku nocy... głupie połączenie.

- Pozwolisz, że się trochę przytulę - usłyszała szept Manfreda.

- Zwariowałaś?

- Dziewczynki już śpią... pójdziemy do toalety...

- Zabierz tę łapę i daj mi spokój, bo opowiem Allisson.

Manfred mruknął: - W Remscheid jakoś nie hamowałaś swoich emocji... A po chwili: - jaka piękna, taka głupia - i odwrócił się prawie tyłem, na ile szerokość fotela mu pozwoliła.

Iwona westchnęła. No, nie! Taki numer jeszcze mi się w życiu nie zdarzył...

Faceci po pięćdziesiątce, próbujący dowieść swojej męskiej atrakcyjności i seksualnej sprawności. Nie daj Boże spoufalić się, wtedy nie przepuści żadnej okazji. A wydawało się, że Manfred ma w sobie więcej klasy... Leonia myliła się, to wszystko cholerne pozory... A może on wcale nie wróci już do Allisson? Uparte myśli krążyły w jej głowie. Wspominała ostatnią rozmowę na skypie z Jacquesem... czułość, uśmiechy na odległość, które trzeba szybko łapać i przytulać, zanim nastąpią zakłócenia w serwerze. Czy nie powinna zamiast do Gdańska pojechać do Nicei? Zostawić dziewczynki pod opieką cioci Patrycji, by móc spędzić z Jacquesem chociaż kilkanaście godzin bez rodziny, bez obowiązków, tylko oni oboje... Jakie to wszystko trudne. Powinnam coś naprawić, znaleźć inną drogę. Ale co jest właściwie

do naprawiania?

Poprawiła się na fotelu ostrożnie, z obawą czy nie obudzi Manfreda, ale z jego strony dobiegało tylko, na szczęście ciche pochrapywanie.

Zamknęła oczy i niczym Scarlet O'Hara z powieści „Przeminęło z wiatrem” zadecydowała: - Jutro o tym pomyślę.

* * *

Siedziały we trójkę w samolocie linii LOT, który obrał kurs na Gdańsk. Przesiadka odbyła się sprawnie. W Monachium miały tylko dwie godziny czasu, aby wypić coś ciepłego w barze i pożegnać z Manfredem.

- Sorry, powiedział z cicha, a'propos wczorajszego zachowania - Poczulem się bardzo samotny.

- Aż tak? Nie tłumacz się, nie tłumacz, to i tak nie byłoby skuteczne antidotum na chwilowe uczucie osamotnienia - powiedziała, a on uśmiechnął się z odcieniem lekceważenia, które Iwona nie wiedziała komu ma przypisać. Sobie, Pannie Niedotykańskiej, czy też on sam pojął niesmak wczorajszej sytuacji, jaką próbował zainscenizować w samolocie.

- Temat zamknięty, szczęśliwego lotu! - powiedziała do Manfreda. - Dziewczynki, idziemy na start! - zażartowała. Marysia i Marika rozespane, ziewające pomachały tylko Manfredowi i ruszyły za matką, której przypadło w udziale dźwiganie trzech plecaków stanowiących ich podręczny bagaż. Reszta powinna być organizacyjnie przeładowana z Lufthansy do LOTU. Mam przynajmniej taką nadzieję, że nam się walizki nie zawieruszą - pomyślała, gdy Marysia, jakby zgadując jej obawy, powiedziała:

- A wiesz mamo, Allisson nam kiedyś opowiadała, że pewnego razu z domu, ale nie tego, tamtego domu, gdy ciocia Rachel jeszcze żyła, wybrała się do Szwecji, a jej walizka poleciała do Tokio!

- Tylko tego by nam brakowało - mruknęła Iwona, rozglądając się czy idą we właściwym kierunku Gate 5D.

- I co potem? Ja tego nie słyszałam? - Marika aż przystanąła.

- Jak to co, reklamuje się! - informowała z wyższością Marysia.

- Znalazła się?

- Tak, znaleźli.

- Ale co dalej? Musiała jechać po nią do Tokio?

Marika była poważnie zaniepokojona perypetiami Allisson i jej walizki.

- Oj przestań, ty się naprawdę nie wyspałaś! Walizka przyleciała następnym

samolotem do Szwecji, ale Allisson i tak złościła się, bo nie miała pizamy, a tam było zimno jak cholera.

- Marysiu! Jak ty mówisz!

- To Allisson tak powiedziała...

- Tak się nie powtarza, to brzydkie słowo.

- A to znaczy, że było bardzo zimno, czy tak do wytrzymania? chciała ustalić Marika i teraz Iwona zezłościła się:

- Bardzo zimno, ale nikt nie zamarzył i proszę już skończyć tę dociekliwą konwersację, moje panny!

Rozmowy dziewczynek często ją bawiły i przysłuchiwała się im chętnie, ale nie koniecznie na środku zatłoczonego lotniska. Co za dużo, to nie zdrowo.

* * *

Samolot wzbił się w powietrze i gdy dziewczynki siedziały obok niej, przytulone i drzemiące z powodu wczesnej pobudki, Iwona pograżyła się w rozmyślaniach. Oto po kilku miesiącach wraca do kraju... Odwiedzi mieszkanie, w którym żyła z Robertem, spotka się z przyjaciółmi... Smętnym cieniem rzucającym się na ten pobyt była myśl, że musi odwiedzić Roberta w więzieniu, a w tym przedsięwzięciu powinny jej towarzyszyć dziewczynki. Trudno, trzeba będzie to znieść... Może nawet zostaną na Wielkanoc u Patrycji? Nie wypadało jej jednak prosić przyjaciółkę matki o zaopiekowanie się córkami w Gdańsku, a samej pofrunąć do Nicei... Po prostu nie wypadało.

Niestety. Czas rozstania będzie tym razem dłuższy i trudny, bo już tęskniła za nim... Myśląc o Jacquesie, niczym dziecko zanurzyła się we śnie i tworzyła oczy, gdy głos stewardessy stojącej obok niej z tradycyjnym wózkiem proponował lekki posiłek. Czas podróży dobiegał powoli końca. Nie lubiła tych ostatnich kanapek podawanych w samolocie. Najczęściej była to bułka, która dawno straciła swoją chrupkość i plaster żółtego sera lub wędliny salami.

- Chcecie coś zjeść?

Marika i Marysia budziły się, przeciągając i przecierając oczy wracały powoli do rzeczywistości.

- A długo jeszcze?

- Około pół godzinki...

- To my po pół bułeczki, i to i to - zdecydowała tym razem Marika. Marysia siedziała z zagadkową miną, a na pytające spojrzenie matki, poinformowała:

- Chyba już zaczynam się cieszyć, że tu prawie jestem.

- Doskonała wiadomość, moja droga - uśmiechnęła się Iwona. - Zjadajcie prędiutko, bo niedługo będziemy się przygotowywać do lądowania.

Życie jest wielką podróżą, a podczas niej czekają nas niespodzianki, przygody i nowi ludzie. Niektórzy są tylko przechodniami, zjawiają się i idą dalej zostawiając ślady i rany w naszych sercach... Inni zostając na dłużej, wygładzają blizny i pomagają nieść plecaki wypełnione życiem. Właśnie tacy „inni” czekali na nią.

W holu przylotów gdańskiego lotniska, na przyjęcie Iwony i jej córek, z otwartymi ramionami i radosnym uśmiechem czekała ciocia Patrycja z wujkiem Tomaszem. Przyjaciółka Leonii, pomagająca jej od lat dźwigać życiowe bagaże, zanim nastał „czas Jeremiego”.

„Muzyka to naprawdę mocny narkotyk.

Może cię zatruć, podnieść na duchu lub sprawić, że rozchorujesz się, nie wiedząc dlaczego”

Adam Neste

- Monsieur Morelly?

- Oui?

Słyszac obcy głos, Jacques przygotowujący się do kolejnego wyjścia na estradę, odwrócił się do pracownicy Filharmonii, która stała w drzwiach jego garderoby.

- C'est un rose pour vous⁸ - powiedziała, podając mu elegancką czerwoną różę opakowaną celofanem.

- Merci beaucoup⁹.

Odebrał kwiat i zauważając dołączony, elegancki bilecik, przeczytał:

Monsieur Jacques Morelly - z podziękowaniem za piękno i odebrane wzruszenia - Charlotte Dubois.

To już trzecia róża od tej samej kobiety i podobny pisemny aplauz. Podczas ostatnich koncertów w San Francisco, Chicago, i teraz w Nicei, gdy ze swoim tournee trafił do Europy. W każdym mieście, w którym koncertował, towarzyszyły mu róże i jej bileciki. Intrygujące. Kim była Charlotte Dubois okazująca mu tak wiele zainteresowania? Uśmiechnął się do lustra, poprawiając włosy i obciążając mankiety białej koszuli, wystające z rękawów czarnego zakietu. Dzisiaj grał solówkę... a na jutro może ubrać się swobodniej, bo występują razem z Garrettem. Spojrzał jeszcze raz na bilecik podpisany zamaszystym, eleganckim pismem i zauważając na odwrocie numer telefonu, pomyślał, że z czystej kurtuazji wypadałoby podziękować jej za okazywaną sympatię. Swoją grą ofiarowywał słuchaczom szeroki wachlarz wzruszeń, a w zamian otrzymywał wiele dowodów sympatii i one spowodowały, że

stał się pewnym siebie wirtuozem. Ostatnie dwie jego kompozycje były również powitane spontanicznym uznaniem i aplauzem, a nagrana płyta fascynowała fanów i przyjaciół. Miał nadzieję, że Yvonne też spodobała się, bo wysłał jej i Jeremiu do Port Jefferson, ale czy zdążyła ją w skupieniu przesłuchać?

Gdy spotkali się na skypie w ubiegłym tygodniu, szykowała się do podróży... Dlaczego tak nagle podjęła decyzję o wyjeździe, nie wiedział i nie zapytał. Ona też nie wyjaśniła powodu, stwierdzając tylko: „oboje będziemy przez jakiś czas w Europie” i przesyłała mu buziaki i uśmiechy na odległość.

Nie planowała wyjazdu do Polski, gdy wszyscy razem spędzali czas w San Francisco. Wspominając ich spotkanie musiał przyznać, że wyłącznie dla siebie mało mieli czasu. Jego próby, dwa koncerty, ponowne próby, ich powrót na Long Island, jego wyjazd do Chicago. Widział, że była smutna przed rozstaniem, ale przecież nic się między nimi nie zmieniło. Takie było jego życie, a ona o tym wiedziała od dawna.

Niczym życie sportowca, choć do żadnej dyscypliny sportu nie był specjalnie predysponowany. Lubił pływać i wypadki rowerowe, ale tylko w ramach relaksu, na który miał coraz mniej czasu. Teraz, gdy znalazł się na Lazurowym Wybrzeżu miał nadzieję, że znajdzie trochę więcej wolnych chwil na rozejrzenie się po okolicy? Ostatni raz był tutaj na pogrzebie matki... Krótko i smutno.

Odwiedzić znów stary dom w Antibes... zanurzyć się we wspomnieniach, które zainspirują go do napisania nowej kompozycji? Koniecznie! Powinien na to znaleźć czas.

Rozmyślenia przerwał mu gong zwiastujący rozpoczęcie drugiej części koncertu, w której występował.

Wyjście przed orkiestrę zawsze było przyjemnym momentem. Towarzyszyła mu życzliwa atmosfera oczekiwania i oklaski, a on witał zebranych kilkoma zdaniem, które ułożył sobie już wcześniej. Cóż z tego, że przyjechał ze Stanów na tournée. Jego dom rodzinny stał w tej prowincji, a ojczyzną, tak naprawdę nadal była Prowansja i musiał o tym dzisiejszym słuchaczom powiedzieć. Fakt ten był powodem, dla którego z tym większą przyjemnością będzie w Nicei koncertował.

Spodziewał się, że ich ucieszy, co potwierdzili ponownymi oklaskami, gdy konferansjer zapowiedział jego występ.

Lubił grać utwory, które zostały na dziś przygotowane. Wiodącym kompozytorem był Astor Piazzolla i jego utwory:

Libertango, Adios Nonino oraz Tango Argentino.

Wykonanie pierwszego tanga zostało nagrodzone gromkimi brawami. Adios Nonino -

rzewne, wzruszające poruszyło w nim wspomnienia wieczoru w Port Jefferson, gdy przyjechał na Święto Dziękczynienia, poznał Yvonne i w living roomie, całkiem kameralnie zagrał im ten sam utwór, a oni siedzieli zamyśleni... Zawładnęło nim teraz uczucie tęsknoty, na którą nie mógł sobie pozwolić, bo oto już ostatnie pociągnięcia smyczkiem... I znów aplauz słuchaczy.

Wykonanie ostatniego, argentyńskiego tanga przez Jacquesa Morelly wzbudziło owację i uszczęśliwiło go. Ktoś wręczył mu bukiet róż, kilka osób poprosiło o autograf, które zapisywał na programach koncertu.

Wyszedł z sali oszołomiony sukcesem, a gdy proszono głośno o bis, zagrał trzyminutowy, własny utwór, który zatytułował: „Fantazja dla Yvonne”. Napisał go któregoś wieczoru, po jej wyjeździe z Jeremim i dziewczynkami z San Francisco do domu, na Long Island. Wykonanie było absolutną premierą, o czym nie omieszkał powiedzieć swoim słuchaczom. Yvonne jeszcze go nie słyszała, koniecznie musi wysłać jej link do utworu... i zrobi to, gdy tylko ukaże się w sieci.

Lekki, romantyczny utwór w rytmie walca spodobał się obecnym i usatysfakcjonowany Jacques mógł opuścić salę koncertową.

Jeszcze tylko kilka zdań zamienił z Veronique, która przybyła z Antibes na jego koncert. Odbierając gratulacje, podarował jej otrzymane od słuchaczy kwiaty, obiecał przekazać pozdrowienia ojcu, a samemu znaleźć czas, by odwiedzić rodzinny dom, którym Veronique opiekowała się od kilku lat po śmierci matki Jeremiego.

Wybiegł na ulicę, przywołał przejeżdżającą taksówkę, ale zanim przebili się przez zatłoczone nocnym życiem miasto - minęło sporo czasu. Był już późny wieczór, gdy wrócił do hotelu. Stojąc pod prysznicem, przeżywał ponownie dzisiejszy występ, dźwięki wypełniały go i tak było z nim już od dawna. Nie mógł szybko odreagować po żadnym koncercie i teraz narzucając płaszcz kąpielowy wydawało mu się, że mimo zmęczenia powinien usiąść i natychmiast zapisać chociaż fragment... To coś, co kołatało mu znów fantazją, melodią w nienasyconym sercu i marzeniem, które powinno się spełnić.

Na stole leżało kilka drobiazgów wyjętych z kieszeni płaszcza, które opróżnił po przyjeździe do hotelu; zapalniczka, papierosy, zegarek, chusteczki, wizytówka... wizytówka?

Charlotte Dubois... numer telefonu... pracownia malarska... studio... adres...

Jakie u diabła studio? Na zegarku dochodziła 23,00. Jeżeli studio to... godzina nie była zbyt późna. Nie znał dotąd artysty, który wcześniej kładł się spać. Może jej nie być w domu, może popijać wino w towarzystwie... Ciekawość jednak zwyciężyła.

- Halo? - Głos w słuchawce był dźwięczny i z całą pewnością niezaspany.

- Charlotte Dubois?

- Oui...

- Ici Jacques Morelly...

- Ach, c'est magnifique!10...

Zaczął od podziękowań za aplauz i róże, które towarzyszą mu po zakończeniu każdego koncertu, a kobieta śmiała się i mówiła, że to ona z wdzięczności za wzruszenia, które za każdym razem odbiera słuchając jego muzyki, bo nie tylko wspaniale jest go słuchać, ale... Zawiesiła głos, jakby trochę przestraszona następnym zdaniem, które mogło zostać powiedziane zupełnie nie w porę.

Coś magicznego było w jej głosie... Kobięcy timbre, melodyjny i serdeczny. Nie wypadało mu przedłużać rozmowy z uwagi na późną porę, chciał przecież tylko podziękować za nad wyraz sympatyczne gesty, a jednocześnie było mu bardzo miło, gdy wspomniała, że Tango Argentino wzruszyło ją do łez. Zapytał czy będzie na jutrzejszym koncercie i słysząc, że Charlotte ma wykupiony miesięczny karnet na wszystkie koncerty w filharmonii, zaproponował jej wieczorne spotkanie. Odniósł wrażenie, że nie była zaskoczona propozycją spotkania z jego strony i przyjęła to jako normalną kolej rzeczy, gdy mężczyzna - artysta dzwoni osobiście, a nie zleca tego faktu swojej sekretarce lub menadżerowi.

Jacques zapalił jeszcze gauloise'a, podobnie, gdy z ojcem podczas pobytu w Prowansji i położył się z obawą, czy nie przypalił hotelowej wykładziny, jeśli niechcący zaśnie. Dźwięki, które miał zamiar zanotować przed rozmową z Charlotte ulotniły się z jego pamięci. Wiedział jednak, że powrócą...

Z oddali dochodził jeszcze jej śmiech i melodyjne: - à bientôt, monsieur Morelly!

* * *

Podniecenie przed mającym się rozpocząć koncertem było dziwnie wyższe niż poprzedniego wieczoru.

Tak przynajmniej odczuwał Jacques. Tym bardziej, iż solistów przygotowujących się do występu było dwóch: on i David Garrett. Zaiste, kontrastowali swoim wyglądem. Tremę Jacquesa powodowała ciekawość, jakie będzie przyjęcie ich przez publiczność; on, Morrelly zza oceanu i Garrett ulubieniec nie tylko scen Europy, a także innych kontynentów. Tak daleko popularność Jacquesa dotąd nie sięgała i temu wyzwaniu musiał dziś stawić czoła.

Przywitali się sympatycznie, wymienili kilka zdań dotyczących programu koncertu, że tak zaplanowany i obfitujący w utwory należące do klasyki muzyki skrzypcowej powinien zaspokoić nawet najbardziej wybrednych miłośników i bywalców filharmonii.

Konferansjer zapowiedział z cyklu MY LOVELY CLASSICS - Serenadę Franza Schuberta w wykonaniu Davida Garretta. Jacques siedzący za kulisami pomyślał, że utwór ten został z wyprzedzeniem stuleci specjalnie napisany dla Davida, albo to Garrett został stworzony do wykonania serenady tak rzewnej i eleganckiej, jak on sam. Dość krótka w czasie, bo czterominutowa kompozycja została nagrodzona aplauzem publiczności. Było to jednak niczym preludium, do następnego utworu, którym była Rapsodia Węgierska nr2 Franciszka Lista.

Prawie jedenaście minut wykonania z orkiestrą i David Garrett w swoim żywiole. Dla kontrastu niesamowicie dynamiczny, pokazujący technikę gry i klasę z jak najlepszej strony. Jacques słuchając, obserwował zza kulis część widowni filharmonii. Przez moment wydawało mu się, że dostrzega wśród publiczności Yvonne, ale myśl ta i podobieństwo wydało mu się zaraz nedorzeczne.

Tak bywa... widzimy w tłumie ludzi kogoś za kim bardzo tęsknimy, ale to jest niczym podróż przez pustynię. Pragnienie wiruje w cząsteczkach powietrza, trudno jest już oddychać... zauważamy upragniony cel, oazę naszych myśli... Yvonne moja fatamorgana. Pomyślał, że byłby to dobry tytuł do nowej kompozycji, gdy gromkie brawa nagrodziły występ Davida Garretta i Jacques poczuł się uratowany.

W przerwie Jacques pogratulował mu występu i poszli razem do bufetu wypić odrobinę szampana. Rozmawiali o planach, nagraniach, o San Francisco, skąd przyjechał Jacques i o Australii, do której wybierał się David. - Uroczy i sexy - myślał o nim Jacques. Kilkuletnia popularność wcale nie uderzyła mu do głowy, ale oto trzy dzwonki dały znać wszystkim o rozpoczynającej się za chwilę drugiej części koncertu.

- Pozostajemy w nastroju MY LOVELY CLASSICS - zapowiedział mężczyzna prowadzący koncert.

- Mesdames messieurs - dzisiejszego wieczoru ponownie witamy naszego gościa z San Francisco! Przed państwem - Jacques Adrien Morelly!

Każdemu wejściu na scenę towarzyszyło uczucie radości. Oto ludzie, którzy przyszli, aby słuchać. Nie tylko muzyki, lecz także JEGO wykonania. Przed laty, gdy rozpoczynał naukę gry na skrzypcach, matka prowadziła go do filharmonii, aby osłuchał się z możliwościami interpretacji utworów. Wybierała nazwiska muzyków znanych i mniej znanych...

Skierował do zgromadzonych kilka słów o swoim przybyciu z daleka, bo z San Francisco, ale przecież muzyka niczym oceany ogarnia cały świat, a on, Jacques czuje się tutaj, wśród nich jak w domu, bo urodzony jest w Prowansji i spod jego palców

prowadzących smyczek i przytulonych do podbródka skrzypiec popłynęło słodkie, ujmujące serca Love Dream Franciszka Lista.

W podobnym nastroju poprowadził z towarzyszeniem orkiestry sonatę Adagio Tomaso Albiniego. Przez moment pochwycił spojrzenie kobiety - uosobienie zasłuchania i zachwytu. Czy to Charlotte? Czuł, że spodobał się publiczności. Skupiony i wzruszony spoglądał na nich raz po raz myśląc, że jednak ich nastrój trwać będzie zaledwie tak długo, jak jego muzyka... Był jak akt miłosny, w którym prawdziwego uczucia nie ma... jest zachwycenie... przez moment, dopóki nie wybrzmi ostatni dźwięk...

Kasztanowe loki zasłoniły mu połowę twarzy i miał wrażenie, że cały jest smutnym adagio. Dlaczego gra ten utwór właśnie dzisiaj, tutaj? Chciałby siedzieć na werandzie rodzinnego domu w Antibes gdy pada drobny, ciepły deszcz... I ktoś powinien przy nim być... Kobieta... Yvonne... Jacqueline?

Ostatnie pociągnięcie smyczkiem i aplauz ze strony słuchaczy!

Ależ w tak minorowym nastroju słuchacze nie mogli pójść przecież do domu! Na zakończenie koncertu przygotowana była niespodzianka, niewymieniona w dzisiejszych folderach z programem.

David Garrett i Jacques Morelly: Zorba's Dance. Zachwycając męskim urokiem i instrumentalnym w duecie wykonaniem, rozbawili wszystkich.

Jacques czuł się w pełni usatysfakcjonowany i szczęśliwy. Jeszcze jak zwykle podziękowania za występ, kwiaty, składanie autografów na płytkach... pożegnania. Na całym świecie podobne zwyczaje kończące każdy koncert i sprawiające uczucie zadowolenia, jak dobrze wypełniony obowiązek w jeszcze jednym dniu, który zmierchał.

* * *

Czekała na niego przed garderobą. Znow trzymał w dłoniach kolejną, czerwoną różę od niej... Jak Herbert von Karajan, który po każdym koncercie otrzymywał jedną różę od Eliette Mouret - kobiety, która go uwielbiała i została jego żoną.

Zawołał taksówkę i zaproponował, że odwiezie Charlotte do domu. Nie rozmawiali wiele prócz wymiany kilku zdań o repertuarze koncertu, a ona powiedziała: - zachwycasz... jak zwykle.

Auto zatrzymało się i Jacques zapłacił.

Stali przed bramą i wypadało im pożegnać się, gdy zapytała:

- Chciałbyś wejść?

Wracając we wspomnieniach do dnia, w którym poznał Charlotte, zastanawiał się jaki

impuls skłonił go do odpowiedzi:

- Myślę, że mógłbym...

- To chodź, zanim zrobię coś szalonego - zaśmiała się.

Dom był ze starego budownictwa i jak we francuskich filmach posiadał windę podobną do drucianej klatki niczym do przewożenia zwierząt. Skąd przyszło mu takie porównanie... Towarzyszyło mu teraz dziwne uczucie. Coś przestrzegało go przed tą kobietą a zarazem przyciągało. Czuł się zmęczony dzisiejszym występem... Myślał, że powinien wracać do hotelu aby porządnie się wyspać, a tymczasem korzystał z jej zaproszenia i pozwalał prowadzić do obcego mieszkania. Winda mijając schody, poręcze, piętra, zatrzymała się na czwartym, który najprawdopodobniej był mansardą. Automatyczna krata rozsunęła się i kobieta otworzyła drzwi do mieszkania, na których widniała porcelanowa tabliczka ze złotym napisem: Charlotte Dubois.

* * *

Jego przypuszczenia potwierdziły się. Mieszkanie mieściło się na ostatnim piętrze i składało z przyjemnie urządzonej części mieszkalnej, oraz pracowni plastycznej z oknem wprowadzającym dużo niezbędnego światła. Jak to u wszystkich artystów bywa, pomieszczenie wypełniało wiele malarskich atrybutów niezbędnych do pracy. Obrazy Charlotte, sztalugi, kasety z farbami i dwa blejtramy na sztalugach, gotowe do naniesienia tematów przyszłych dzieł. Stał w drzwiach, chłonąc atmosferę pomieszczenia miłą i trochę tajemniczą, bo po raz pierwszy ktoś udostępnił mu krainę, w której powstają dzieła, jakże inne od tych, jakie sam tworzył.

- Voilà, oto moje królestwo - powiedziała - rozgość się. Mogę poczęstować cię szklaneczką wina?

Przytaknął, pomyślawszy, że jedną wypada mu przyjąć, a zaraz po niej wróci do hotelu, bo przecież jutro z rana ma próbę, a wieczorem znów koncertowanie. Uśmiechnął do Charlotte odbierając kieliszek.

- Bordeaux?

Skinęła głową siadając na fotelu naprzeciw Jacquesa.

- Zaprosiłam cię do mnie, z zamiarem... zawiesiła głos, a on spojrzał z zaciekawieniem. Kobieta, która go adorowała od dwóch sezonów, która towarzyszyła mu w jego ostatnim tournée, wydała się bardzo interesująca. Była niewątpliwie dużo starsza od niego, ale atrakcyjna w swojej urodzie. Już podczas pierwszego spotkania, swoim zewnętrznym wyglądem, uśmiechem i sposobem zachowania przypominała mu kogoś, kogo

znał, ale dotąd zupełnie nie mógł wypełnić luki w swojej pamięci.

I właśnie teraz myśl, która przyszła niespodziewanie i przyprawiła go nieomal o zawrót głowy. Myśl, która przyniosła mu rozwiązanie... Charlotte była podobna do Jacqueline, jego matki! Powinien teraz roześmiać się i powiedzieć jej o tym, wtedy ich znajomość znalazłaby się na bezpiecznej ścieżce. Gdyby żyła Jacqueline, jego sukcesy byłyby i jej radością.

Nie powiedział, czekając na wyjaśnienie. Zdanie zawisło w powietrzu, przypominając ćmę, która przez uchylone okno błędziła wokół światła rzucanego przez lampę. Lampa elektryczna z dużym, barwnym kloszem (przerobiona z pewnością z lampy naftowej) wisiała dość nisko nad stołem. Przypominała stare rosyjskie oświetlenie z grubego szkła zdobione wypukłymi, barwnymi kwiatami tworząc nastrój, który się zapamiętuje... Chyba widział podobną w jednym z filmów, nakręconych według Tolstoja.

Charlotte zapaliła ją, zaraz po ich wejściu do mieszkania, gdy on podziwiał pracownię w świetle ulicznych latarni. Zaznaczyła zaraz, że w pracowni nie potrzebuje światła elektrycznego, bo nigdy wieczorami nie maluje, wyrażając jednocześnie obawę, czy Jacquesowi tyle oświetlenia wystarczy, aby cośkolwiek zobaczyć. Uspokoił ją, że do odebrania magii, jaką emanuje to pomieszczenie, światła jest zupełnie dosyć. Kobieta intrygowała go i ogarniał ją pytającym wzrokiem, oczekując wyjaśnienia celu ich spotkania, a ona kontynuowała z uśmiechem:

- Mon Dieu, mam taki pomysł... aż się boję, ale możesz wyrazić zgodę albo go odrzucić... Pozwól mi namalować twój portret...

Powiedziała to tak prosząco, jednocześnie kokieteryjnie, a jednak z szacunkiem zawartym dla niego w jej słowach, że Jacques odpowiedział podobnym, wesołym tonem:

- Charlotte, jeśli bardzo chcesz poświęcić czas mojej osobie, to chyba nic nie stoi na przeszkodzie. Gorzej będzie z terminem mojego pozwania do portretu, bo chyba jeden seans nie wystarczy.

Klasnęła w dłonie, jak ucieszona dziewczyna, której spełniło się coś, co sobie zaplanowała, a może było także jednym z marzeń i gdy Jacques podsunął jej kieliszek naląa mu ponownie wina.

- Merci Chérie! Oczywiście, uzgodnimy czas mojej pracy z twoim harmonogramem zajęć. Mam nadzieję, że nam się uda, ale... jak długo zostajecie w Nicei?

- Jeszcze trzy dni - odpowiedział, patrząc z przyjemnością na nią i zastanawiał się głośno nad wolnymi godzinami, które mógłby jej poświęcić. Odkrycie, które zrobił wcześniej, przypisując urodę i kobiecy urok Charlotte swojej matce, wydało mu się teraz absurdalne.

Rozmawiali dalej swobodnie, jak starzy znajomi. Ona opowiadała o kolejnym wernisażu w galerii przy bulwarze, machając przy tym ręką i mówiąc: „ach to nic wielkiego, jak drugie śniadanie dla turystów”, gdy on opowiadał jej o swoich występach, i o tym w którym mieście oraz z jaką orkiestrą grało mu się najlepiej.

Mimo, że zakończenie tego dnia upływało mu nad wyraz miło, po wypiciu trzeciej szklaneczki, zmęczenie znów dało znać o sobie i Jacques poprosił Charlotte o zamówienie taksówki.

- D'accord¹¹ - odpowiedziała, ale zauważył na jej twarzy cień rozczarowania.

- Wybacz - dodał - jeśli nie pojedę zaraz do domu, usnę na twoim fotelu i będziesz miała kłopot.

Stali naprzeciw siebie i uśmiechali się. Podeszła bliżej i pieszczotliwie odgarnęła mu z czoła włosy. To był gest, który znów przypomniał mu matkę i patrzyła na niego podobnie, jak kiedyś ona, gdy był jeszcze nastolatkiem.

„- Ależ piękny chłopak z ciebie wyrośnie „- mówiła wtedy Jacqueline.

Nastolatek, który uważał, że dzieckiem już dawno nie jest, odpowiadał:

„- Przestań mamó” i odsuwał się, zmieniając temat ich rozmowy, bo właśnie potrzebował kilkunastu franków na wyjście do miasta.

A teraz Charlotte... Jaka magia jest w tej kobiecie... dojrzałość i młodość wdzięku, który pociągał... Potrzeba przytulenia...

Jej, czy do niej? Wszystko jedno, niech się stanie...

Z ustami w jej włosach, powiedział:

- Odmów tę taxi.

- Odjedzie, jeśli za parę minut nie zejdiesz...

- Charlotte?

Jej oczy były błękitne, podobne do oczu Jacqueline, ale matka nigdy tak na niego nie patrzyła, jak ta kobieta, która słała mu kwiaty i skrycie uwielbiała. Kobieta, którą trzymał teraz w ramionach.

- Jacques?

- Oui, oui...

Czekała na taką odpowiedź, czekała na zezwolenie, na chwile, które spadły na nich, jak wiosenny deszcz, jak preludium do fantazji we dwoje, na jeszcze jedną miłość, która w życiu Charlotte już nigdy więcej mogła się nie zdarzyć.

* * *

Deszczowy poranek. Za oknem odgłosy jeżdżących aut, jakaś muzyka z nich dochodząca, wołanie sprzedawcy gazet: Le Matin, Le Matin... Całkowite jednak obudzenie ze snu sprawił zapach kawy i gorącego pieczywa. Charlotte stała przy łóżku z tacą i uśmiechała się.

- S'il te plait.12

Żartując, postawiła dwa kubki kawy i croissanty na stoliku.

- Merci, avec plaisir.13

Chociaż nie miał zwyczaju jeść śniadania w łóżku, nie wypadało mu teraz odmówić.

Patrzyli na siebie pytająco, trochę zadziwieni tym, co się wydarzyło... Usiadła obok na łóżku i podała mu kawę. Jedno z nich powinno coś powiedzieć, słowo potwierdzenia, zaprzeczenia... Tyle jest słów, które mogą stać się finałem razem spędzonej nocy, bo nie można przecież za chwilę po prostu wyjść i pożegnać się w milczeniu.

Croissant, kruszynki na prześcieradle i pachnące kawą usta ze smakiem malinowej konfitury.

- Chodź do mnie, proszę... - wyciągnął rękę.

Za oknem deszcz, jak staccato i kilka łez Charlotty przez niego scałowanych... spojrzenia gorące jak dotyk...

I znów kochanie, jak Yesterday14, które on tak zachwycająco umiał grać.

„Z tru-dem prze-bacza-my in-nym, jeżeli na dnie naszych myśli tkwi coś, za co sa-mi się nie możemy rozgrzeszyć.”

George Sand

Charlotte

- Usiłujesz cofnąć swój czas?

- Nie, tylko go zatrzymać.

- Opamiętaj się, to burza hormonów, która prawie każdej kobiecie, w tym wieku się zdarza.

- Nie, to moja miłość.

- Charlotte, a on? Co on ma dla ciebie oprócz schadzek, jak we francuskim romansie ubiegłego wieku?

- To miłość - powtórzyła, przyglądając się czekoladowemu ciastku z kremem, oblanym czekoladą. Coś jej to przypominało i uśmiechnęła się do wspomnień o chwilach spędzonych z Jacquesem...

Pewnego wieczoru, po koncercie brał u niej kąpiel, a ona zrobiła mu czekoladowy peeling ciała. Śmiali się, żartowali, że będzie pachnieć bardzo apetycznie i naprawdę tak było...

Ale Caroline nie ustępowała w natarciu:

- Uczucie do niego jest jak rajski owoc - zakazane! Przynosi radość, namiętność robiąc jednocześnie spustoszenie w twojej psychice.

- Nawet nie starasz się mnie zrozumieć - powiedziała wreszcie Charlotte żałośnie. Przedstawiasz mi swoją zimną i logiczną ocenę sytuacji, gdy ja wcale o to nie proszę.

Poprzedniego dnia przyleciała ze Strasburga i umówiła się z Caroline na dziś. Spotkały się w tej samej Petit Café chez André¹⁵, którą lubiły i często odwiedzały. W pobliżu, vis-à-vis¹⁶ siedział Alain Jourdan, przy małym stoliku, nad którym grafika obrazu Toulouse - Lautreca przedstawiała tancerkę w wyuzdanej pozie. Przybyły przed kilkoma minutami mężczyzna zamówił kawę i kanapkę. Widząc wchodzące kobiety uniósł się i pozdrowił je, na co jedna z nich pokiwała mu z daleka dłonią. Zbieg okoliczności? Très intéressant¹⁷.

Na twarzy Charlotte malowała się przyjemność, jaką sprawiło jej spotkanie z

przyjaciółką, ale nie widać było szczęścia, wychodzącego z wnętrza serca i rozświetlającego twarz, jakie zwykle noszą kobiety zadowolone z siebie lub radośnie zakochane. Podczas ostatniego spotkania z Caroline była rozmarzona, zachwycona obietnicą spotkania z Jacquesem i pełna radosnej niepewności. Dziś wyglądała co prawda pięknie, ale smutno.

Piły już drugą kawę, jadły ciastka i czekoladki, miła muzyka płynęła z radia, jednak dobre rady serwowane przez Caroline zaczęły być denerwujące.

- Przestań już prawić morały, proszę. Skąd ty możesz wiedzieć, co dzieje się w mojej psychice? Było cudownie, tylko tyle ci powiem. Grał z towarzyszeniem Orkiestry Filharmonii w Strasburgu. Stamtąd pojedzie do Paryża i wtedy znów się spotkamy. Już tęsknię za nim i to jest okropne... Zaklinanie telefonu, aby się nareszcie odezwał... Nastawiam budzik, by nie zasnąć, bo mogłabym nie usłyszeć, kiedy dzwoni... Mało śpię.

Ona niszczy samą siebie - myślała Caroline bacznie ją obserwując.

- Mam przygotować nowy wernisaż, powinnam się skupić i nie mogę! Mon Dieu, jak ja czekam, ty nie potrafisz sobie wyobrazić! Jesteś zbyt praktyczna!

Jej oczy zaszklily się łzami i Caroline pomyślała, że z psychiką Charlotte naprawdę dzieje się coś poważnego. Dobre rady, napomnienia i kobiece filozofie nic tu nie pomogą. Jednakże z udaną swobodą powiedziała:

- Ależ to bardzo dobrze, że szykuje ci się nowy wernisaż, służę pomocą w każdej chwili. I wiesz co? Na ten czas przetrwania zanim twój książę z bajki znów nadjedzie, konieczne ci jest jakieś antidotum.

- Co masz na myśli?

- To proste! Potrzebne ci jest towarzystwo innego mężczyzny. Z kim pokażesz się na wernisażu? Jacques nie przyleci, a samej przyjmować gości niezbyt wypada - powiedziała głośno Caroline.

Alain Jourdan podniósł głowę znad gazety, którą przeglądał i uśmiechnął się.

- Oszalałaś chyba. Charlotte poprawiła włosy odrzucając je do tyłu i spięła na nowo klamrą, która zsunęła się jej na szyję. - Do czego ty mnie namawiasz? Nie mam czasu na głupoty.

- Ależ żadne głupoty, bo to proste i psychologicznie udowodnione. Wypełnić czas, odwrócić myśli. Czekać, ale nie dać się zwariować.

Mężczyzna wstał, złożył gazetę i powiesił na wieszaku między inne czasopisma, które były udostępniane do poczytania gościom podczas śniadania i podszedł do rozmawiających kobiet.

- Salut Caroline! Madame - uklonił się zwracając w stronę Charlotte.

- Salut Alain! - powiedziała do niego szybko Caroline rzucając w stronę przyjaciółki: - Charlotte, to mój dobry znajomy ze studia nagrań, Alain Jourdan.

- Byliście umówieni?

Charlotte uśmiechnęła się z zaciekawieniem.

- Nie, nie, życiem rządzi często przypadek. Mogę się dosiąść? I zanim usłyszał przyzwolenie, przystawił od sąsiedniego stolika dodatkowe krzesło, siadając między kobietami.

- Nie usłyszałem dobrze pani imienia. Charlotte?

Chyba się wygłupia, pomyślała. Przecież mówiłam, a może nie mówiłam? Mężczyzna był wysoki, dobrze zbudowany i z pewnością starszy od Jacquesa. Miał śniadą cerę południowca i ciemne, proste włosy, ale akcent prawdziwie francuski. Zupełnie inny typ niż Jacques - pomyślała, nie mając ochoty przysłuchiwać się paplaninie przyjaciółki. A Caroline rozkręciła się na dobre. Zdążyła wypytać Alaina o nagrania, jakie będzie się przygotowywać w Nicei, kto ze znanych artystów ma zamiar koncertować w najbliższym czasie i czy Alain planuje urlop jeszcze w tym miesiącu?

- Pardon, muszę się pożegnać, miło mi było - powiedziała Charlotte wstając.

Powiedziała to myśląc, że zwrot był śmiesznie konwencjonalny, bo tak naprawdę ma teraz w nosie, że pewien nieznajomy jej typ przysiadł się do Caroline.

Przyjaciółka jednak zareagowała gwałtownie:

- Zostań chwilkę! Pojadę z tobą i zajmiemy się przygotowaniem, obiecałam przecież pomóc.

Alain Jourdan spojrział z udanym zaciekawieniem:

- Czy pani jest?... Wiedział kim jest, ale chciał jeszcze raz usłyszeć jej głos. Praca w studio wyculiła słuch Alaina na timbre głosu ludzi, z którymi pracował. Nie tylko głosów ludzkich, także instrumentów. Bywało, że gdy poznał kogoś w mailowej korespondencji, tym chętniej kontaktował się telefonicznie chcąc poznać brzmienie głosu tej osoby. Było to dla niego ważne, jak kolor oczu, włosów czy kształt sylwetki. Układanka, której części powinny zgadzać się z obrazem, jaki podsuwała mu wyobraźnia. Niezależnie od tego, czy jego dociekliwość dotyczyła kobiety lub mężczyzny.

- Tak. Charlotte Dubois. - Uśmiechnęła się. - Mam dużo pracy, muszę dokonać wyboru moich obrazów i przygotować się do wernisazu, a jedna z moich prac wymaga jeszcze ostatnich pociągnięć pędzla.

Alain wstał: - Ależ ja też, chętnie, jeśli mogę, chciałbym służyć pomocą. Proszę mnie zabrać razem z Caroline!

Charlotte zauważyła, że Alain ma ciemne, urokliwe oczy i uśmiecha się ciepło, prawie rozbijając, co niezbyt harmonizowało z jego postawną, sportową sylwetką.

- Ach - westchnęła - cóż mam z wami zrobić. Na kiedy więc możemy się umówić?

Uzgodnili jutrzejsze przedpołudnie, bo Alain właśnie od jutra zaczynał dwa tygodnie urlopu, wymienili się wizytówkami i pożegnali się przy drzwiach kawiarenki. Charlotte nie mogła zauważyć, że Alain wychodząc za Caroline klepnął jej przyjaciółkę w pośladki, szepcząc:

- Dziękuję ci, dobrze się spisałaś.

Caroline odwróciła się z zalotnym uśmiechem i myśląc - jaka szkoda, że Alain interesuje się Charlotte zamiast niej, głośno powiedziała:

- Skontaktujemy telefonicznie, monsieur Jourdan, OK? Wzięła przyjaciółkę pod rękę i pobiegly do stojącej akurat przed kawiarenką taksówki.

* * *

Życiem rządzi przypadek. Jesteśmy skazani na zrządzenia losu. Mówi się, że mamy wolną i nieprzymuszoną wolę, by postępować moralnie według Dekalogu lub państwowego prawa moralnego, lecz Alain coraz częściej odczuwał wrażenie, że ktoś za niego coś przemyślnie zaplanował, a on tylko współpracuje w realizacji wydarzeń, które ostatnio wypełniały jego życie. Nie lubił zbytnio filozofować, ale właśnie przypadek sprawił, że w kawiarnianym bistro spotkał pierwszy raz Charlotte Dubois. Zrządzeniem losu przed dwoma tygodniami było kolejne spotkanie samej Caroline, tym razem bez przyjaciółki, za to w towarzystwie mężczyzny, z którym jadła lunch i podpisywała pewne formularze. Alain czekał, aż ci dwoje skończą dyskutować, a gdy zobaczył, że szykują się do wyjścia, podszedł do Caroline z prośbą o chwilę rozmowy. Pożegnała się, jak później opowiadała, mu z biznesowym współnikiem i poświęciła Alainowi nawet więcej niż chwilę rozmowy, której temat dotyczył Charlotte.

Jakiż to sympatyczny i dociekliwy bougre¹⁸, myślała Caroline po powrocie do domu, żałując, że obiecała mu dyskrecję wobec przyjaciółki. Tyle ciekawostek... i muzyczne zainteresowania, które też mogą tych dwoje połączyć. Miała wrażenie, że dzisiejsze spotkanie nabierze głębszego sensu ich znajomości. I nie myliła się.

Akwarele i... podchody...

Totalny bałagan, który elegancko można było nazwać artystycznym nieładem, panował od wczesnego ranka w pracowni Charlotte. Postanowiła, że zanim przyjdą Caroline i Alain sama weźmie się za przeglądanie prac, segregowanie pod względem tematycznym obrazów, oznaczenie ich numerami. Konieczne było też zapisanie tytułów, oddanie do wydrukowania kilku wykazów, szybki projekt plakatów informujących, a co najważniejsze... jeden akrylowy obraz stał na sztaludze przy oknie i wymagał ostatecznej kosmetyki.

Charlotte nie była pewna, czy powinna zabrać portret Jacquesa na wystawę. Romantyczne podejście do tematu byłoby oczywistą dziecinadą i wiedziała o tym, ale miała wrażenie, że pokazując go publiczności może zdradzić tajemnicę ich związku? Uśmiechając się do siebie, poprawiała kilka smug farby, a malutkim pędzelkiem, kącik ust Jacquesa. Gotowe! Sama uznała portret za nadzwyczaj udany. Morelly siedział swobodnie na sofie i podpierając lewą ręką głowę, uśmiechał się do Charlotte. Pozwoliła mu wtedy mieć na sobie trochę rozchełstaną zielonkawą koszulę i ciemniejszego koloru, lniane spodnie, gdy tak ubrany przyszedł do niej na drugie spotkanie. Tak! To był doskonały wybór kolorystyczny i dlatego też zdecydowała się wtedy na wyrazisty akryl zamiast zbyt delikatnej akwareli.

Cofnęła się dwa kroki, sprawdzając ostatecznie efekt swojej pracy... Perfekt. Z zadowoleniem posłała całusa w kierunku obrazu i poszła w stronę drzwi, do których właśnie zadzwoniono.

* * *

- Salut, Charlotte, bonjour - wchodzili witając się z nią, oboje w doskonałych nastrojach.

- Oh la la - zawołała Caroline rozglądając się po pracowni. - Widzę, że latasz od rana jak ta coccinelle¹⁹

- Czemu? To pszczołki są très occupé²⁰ - poprawił ją Alain.

Caroline śmiejąc się wskazała fartuch, którym opasana była Charlotte, czerwony w czarne kropeczki.

- Nie zrozumiałeś dowcipu.

Alain machnął ręką i podszedł bliżej sztalugi z portretem Jacquesa. Aaa, najprawdopodobniej to jest ten obiekt godny zachwytu - pomyślał.

- Któż to?

- Jacques Morelly - Charlotte uśmiechnęła się: - Napijcie się kawy?

Interesujący obraz - pomyślał Alain, przytakując na kawową propozycję. Rozglądał się po studiu, podziwiając potencjał talentu i pracowitości kobiety, którą chciał bliżej poznać. Materialna wartość jej obrazów też mogła zamykać się w niezłej sumce...

W kuchni Caroline z Charlotte przygotowywały kawę.

- No i co powiesz, jest ok?

- A skąd ja mam wiedzieć, czy on jest ok, czy nie? Widzę go drugi raz na oczy. Troskliwość przyjaciółki była rozbrajająca. Tak bardzo starała się jej pomóc, więc doceniając nareszcie ten wysiłek, Charlotte objęła ją i ucałowała w policzek:

- Nie martw się. Louis często mówił: wszystko potoczy się tak, jak tego chce przeznaczenie... Chodź, zaniemiemy kawę do pracowni. Mam jeszcze pieczywo, mini chinois z czekoladą.

- Alain, możesz przyjść nam pomóc?

Usiedli w trójkę na dywanie z kubkami kawy w dłoniach, na tacy piętrzyły się bułeczki, a wokół stały i leżały obrazy Charlotte. Nastrój, jaki zapanował przypominał motyw z obrazu Moneta, lecz zamiast rosnącego drzewa znajdowały się sztalugi, a na jednej z nich - portret Jacquesa. Charlotte poczuła się wspaniale i bezpiecznie, bo chociaż w tej transformacji, którą sama stworzyła, on był przy niej. Czy przestanie kiedyś być tak infantylną romantyczką?

Popijając kawę planowali zajęcie, do którego musieli po śniadaniu przystąpić. Ostatnią czynnością było właściwe opakowanie obrazów, aby były gotowe do transportu w najbliższych dniach. Alain obserwował podekscytowaną Charlotte, która opowiadała o wynajętym pomieszczeniu do nadchodzącego wydarzenia. Podobała mu się coraz bardziej, zachwycała pozytywną energią, fluidami, jakie dziś rozsyłała wokół siebie. Potrafiła malować także i słowem.

- Czy wiecie, gdzie udało mi się zdobyć trochę przestrzeni dla moich obrazów? Wyobraźcie sobie! Przy 33 ave. des Baumettes!

- Co tam jest, nie kojarzę? Caroline objadała się ostatnią bułeczką.

- Musee des Beaux-Arts, w tej willi ukraińskiej arystokratki z 1878 roku! Tam są zbiory od XV - XX wieku! W tak doborowym towarzystwie udostępniono mi obszerny couloir²¹. Musimy najpierw, może jutro wybrać się razem, zobaczyć i zaplanować ustawienie.

- Alain - zwróciła się z czarującym uśmiechem do Jourdana - czy może mi pan towarzyszyć w całym, bardzo ważnym dla mnie przedsięwzięciu?

Zaskoczony, odebrał to pytanie jak miły cios w brzuch, bo już pragnął tej kobiety, a ona nie zdając sobie sprawy z jego myśli, wychodziła mu niespodziewanie naprzeciw.

- Z przyjemnością droga Charlotte!

Odstawił pusty kubek i ujął jej dłoń. Pocałował, a Caroline ze swoim ulubionym «oh la la» zawołała:

- Zanim zabierzemy się do dzieła, może wypijemy po szklaneczce?!

- Przyniosę, ale dostaniecie tylko po jednej! Charlotte podniosła się, kierując w stronę małego, kuchennego pomieszczenia, gdzie na regałach przechowywała butelki wina. Alain poszedł za nią... Jakież to typowe - pomyślała Caroline zapalając na balkonie papierosa. Jego pewność może być teraz dla niej toksyczna...

Mylila się jednak. Charlotte wybrała butelkę lekkiego, reńskiego wina, odpowiedniego na przedpołudniową porę dnia i podała Alainowi bez słowa do otwarcia. On wziął z uśmiechem, otworzył i nalał niewiele do skosztowania.

- Bien, wino musi jak zwykle trochę odetchnąć - stwierdziła tonem znawcy nalewając teraz dla niego.

Jesteś kobieto jak to dojrzałe wino, które mi podajesz - myślał biorąc od niej szklanekę, lecz nie patrząc jej w oczy. Dla ciebie mógłbym znów wiersze pisać. Zdarzało mu się już wcześniej, że zainspirowany nagraniami, w których niestety tylko technicznie mógł uczestniczyć, zapisywał wersy przyszłych wierszy. Leżały teraz, zanotowane na luźnych kartkach starych zleceń lub rachunków, wciśnięte w głębi szuflady. Czasami myślał, że powinien może spróbować komponować piosenki. Bywało, że grając na gitarze układał muzykę do własnych słów, ale w ostatnim okresie praca w studio nagrań pochłaniała go całkowicie. A jego wiersze czekały...

- Co z tym winem? - Caroline weszła do kuchni z pytającym uśmiechem.

- Czemu paliłaś? Zwracałam ci już uwagę, że w moim studio nie ma miejsca na papierosowy dym. Mam nadzieję, że ty nie jesteś nikotynowym nałogiem? - uśmiechnęła się do Alaina.

- Non, madame.

- A więc po szklaneczce i do pracy.

Caroline spojrzała na niego pytająco, a on pogroził jej palcem. Odnosiło się to do papierosa, czy myśli Caroliny? Ale tego wychodząca z kuchni Charlotte nie mogła zauważyć.

Po przybyciu do domu, zaabsorbowany nowym pomysłem, zrzucił z siebie jeansową

kurtkę i otworzył szufladę biurka, marokański mebel korzystnie kupiony na jednej z ulicznych wyprzedazy. Był ozdobiony elementami wyrzeźbionymi z drzewa sandałowego, którego zapach okazał się dziwnie niewyczerpany... Pierwsza szuflada zawierała leżące w nieładzie kartki z zapisami akordów na gitarę, niedokończone kompozycje, kilka słów... Przeglądał je na nowo zastanawiając się, które z nich mógłby zaprezentować Charlotte i jakiej reakcji, czy może aprobaty mógłby od niej oczekiwać?...

*«Ani różnica poglądów ani różnica wieku nic w ogóle nie może być powodem zerwania
wielkiej miłości.
Nic, prócz jej braku.»
Maria Dąbrowska*

Paryż

Jacques był zapracowany. Podczas ostatniej, telefonicznej rozmowy z Charlotte zwierzał się z nawału zajęć, gdyż przygotowywał nowe nagrania, a za dwa tygodnie wyruszał w dalsze tournée. Na początek zaplanowana była stolica Francji i cieszył się tym faktem jak dziecko.

- Potrzebuję przytulenia! Écoutez-moi²²! - wołał, śmiejąc się do słuchawki i Charlotte postanowiła zrobić mu niespodziankę.

Ostatni raz w stolicy była przed kilku laty z Louisem, swoim mężem, zanim nagle odszedł za Dolinę Tęczy. Sama nie odważyła się odwiedzić Paryża. Ból rozstania jednak przycichł już i zjawił się w jej życiu ktoś, kto pomoże zachować całkiem inne wspomnienia.

Kilka dni przed odlotem do Paryża, Charlotte zarezerwowała sobie termin u znajomej kosmetyczki. Delikatny lifting twarzy i inne zabiegi, które młodych lat co prawda już nie przywrócą, ale mimo to kobiecą atrakcyjność z pewnością mogły podkreślić.

Paryż - miasto miłości! Czekał ją znów pełen przeżyć koncert, magia, którą Jacques podczas każdego koncertu umiał podarować swoim słuchaczom...

Teraz, gdy kilka godzin zostało jeszcze do odlotu, myślała, że przeznaczenie znów ją odnalazło i daje wszystko, co dla niej najpiękniejsze i pomyślne. Ostatni wernisaż cieszył się dużym zainteresowaniem. Sprzedała korzystnie kilka obrazów, mimo, że za każdym razem takiemu wydarzeniu towarzyszył jej cień przykrości, bo w cudze ręce oddawała kawałek siebie, niczym dziecko do adopcji... z nadzieją, że będzie z miłością traktowane, jak dziecko do adopcji. Wystawa obrazów, spotkanie z ludźmi, którzy kochają sztukę usatysfakcjonowała ją nie tylko pod względem finansowym, ale też i nowo nawiązaną znajomością z Alainem, który okazał się sympatycznym mężczyzną i z Caroline pomocnym w wyborze obrazów i przygotowaniu oprawy muzycznej wernisażu. Nie na darmo przecież pracował w studiu nagrań. Wspominając ostatnie dni spędzone z przyjaciółmi i myśląc, że byłoby prawdziwym nietaktem nie pożegnać się z nimi przed odlotem, wywołała w telefonie numer Caroline.

- Allo, Allo i adieu, Chérie - żartowała słysząc w słuchawce głos przyjaciółki.

- To już dziś lecisz? - Caroline wydawała się być bardzo zaskoczona.

- Oui, oui! - śmiała się Charlotte.

- A to szkoda, bo Alain jest właśnie u mnie i planujemy wypad do Wenecji, oczywiście z Tobą!

Nie widziała Charlotte, ale miała nadzieję, że przyjaciółka uśmiecha się słysząc jej propozycję.

- Bardzo miło z waszej strony, ale...

- Jakie „ale”! Wracaj szybko i odbijemy gondolą od brzegu! Karmiłaś już gołębie na Placu św. Marka?

Teraz Charlotte naprawdę roześmiała się.

- Płyńcie sobie, płyńcie, a ja lecę do Paryża.

- Kiedy wracasz?

- Caroline, nie męcz! Znasz cel i powód, dlaczego tam chcę być. Nie wiem, jakie dalsze plany ma Jacques i... à bientôt!²³ Chciała już odłożyć słuchawkę, gdy przyjaciółka zawołała:

- Moment! Alain chce z tobą jeszcze rozmawiać!

- Charlotte?

- Oui, Alain...

- Écoutez-moi²⁴, bardzo żałuję, że nie możemy się zobaczyć... miałbym ci dużo do powiedzenia...

- Tak?

- Nie teraz, Chérie... wróć szybko... czekamy na ciebie...

Odebrała w jego głosie nutę, która spowodowała przyspieszone bicie serca... a może jej się tylko tak zdawało? Oczywiście chciałyby usłyszeć, co Alain ma jej do powiedzenia, ale cokolwiek by to było, nie mogłoby teraz i tak jej powstrzymać przed odlotem do Paryża.

- Dziękuję ci Alain, będę pamiętać. I wyłączyła się.

Czas wyjścia z domu naglił, a tu Caroline wymyśliła niespodzianki: wycieczkę, gondole i gołębie. Mon Dieu, ile ta kobieta ma w sobie energii - myślała jadąc taksówką na lotnisko.

Caroline prowadziła dobrze prosperujący, duży butik przy Rue Arson w centrum Nicei, w mieście, które dzięki łagodnemu, śródziemnomorskiemu klimatowi było przez okrągły rok oblegane przez turystów. Nie tylko jako kurort i miasto licznych kulturalnych festiwali, ale i bogactwu znajdujących się w nim zabytków. Charlotte kochała muzea, a przede wszystkim Musée des Beaux-Arts²⁵ z dziełami jej ukochanych impresjonistów;

Degasa, Moneta, Renoira i Sisley'a oraz Narodowe Muzeum Marca Chagalla i bardzo żałowała, że podczas pobytu Jacquesa nie znaleźli czasu, który mogłaby przeznaczyć na pokazanie mu choć jednego z nich.

Dlaczego? Po prostu w wolnych chwilach kochali się, albo Jacques pozował jej do portretu, na którego wykonanie zgodził się podczas pierwszego pobytu w mieszkaniu Charlotte. Obraz był ukończony i postanowiła, że po powrocie z Paryża, wyśle mu do San Francisco, albo podaruje osobiście... W zależności od tego, jak ułożą się ich najbliższe tygodnie przed Wielkanocą...

A teraz musiała się naprawdę już pospieszyć, słysząc wołanie: attention, attention w holu lotniska z informacją zapraszającą pasażerów udających się do Paryża. Zwykła procedura odlotów i przylotów.

Samolot wystartował, poprosiła stewardesę o kawę i zatopiła się w marzeniach o dzisiejszym wieczorze. Kiedyś, przed poznaniem Jacquesa, oznajmiła Caroline, że w jej życiu nie ma już miejsca na marzenia. Może mieć tylko plany... które mogą być spełnione, albo i nie. Tym razem nadchodzące dni były wielką niewiadomą i jednak wypełnione marzeniami...

Które z nich może być dziś spełnione? Wieczorny spacer po Champs Élysées, wspólna kolacja i znów spojrzenia Jacquesa gorące jak dotyk... Sama myśl o spotkaniu z nim podniecała ją i rozjaśniała serce. Tak. Serce Charlotty Jacques znał od dawna.

Samolot podchodził do lądowania na krajowym lotnisku Orly. Postanowiła wsiąść do orlybusu, który kursował do miasta. Jeśli ma zamiar wybrać się na zakupy do Lafayette, musi zaoszczędzić na taxi. Galeria Lafayette, najszynniejsza, dziesięciopiętrowa paryska galeria handlowa, ale występ Jacquesa miał się odbyć w słynnej sali koncertowej Zénith de Paris sur le bord du canal de l'Ourcq i Charlotte nie chcąc jechać metrem, była zmuszona jednak zawołać taksówkę, która zawiezie ją na miejsce. Trochę zagmatwany okazał się program dzisiejszego dnia, ale trudno jest znać Paryż tak dobrze, jak swoją Niceę. Miała też nadzieję, że hotel w jakim zatrzymał się Morelly nie będzie zbyt oddalony od sali koncertowej w Zénith.

Podniecenie towarzyszące wyprawie mieszało się z radością bliskiego spotkania Jacquesa. Bawiła ją wymyślona konspiracja i była prawie pewna, że jak za każdym razem Jacques ucieszy się na jej widok. W toalecie Zénith de Paris przebrała się, odświeżyła i poprawiła makijaż. Niewielki bagaż zostawiła w szatni i postanowiła zaglądnąć do restauracyjnego menu, bo zanim on zaprosi ją na kolację, mogłaby zacząć umierać z głodu. Zamówiła sałatkę nicejską, myśląc, że to śmieszne jeść taką przystawkę, jeśli przyjeżdża się do Paryża właśnie z Nicei, ale sałatka nicejska w Paryżu może przecież inaczej smakować niż

ta, serwowana na Lazurowym. Kieliszek czerwonego wina? Tak, też obowiązkowo musi zamówić. W oczekiwaniu na przyście kelnera, przeglądała program dzisiejszego wieczoru.

Najbliższe półtorej godziny było poświęcone wystąpieniu Jacquesa Morelly'ego z Orkiestrą Opery Paryskiej. Wartość programu opatrzonego zdjęciem artysty powinna ucieszyć każdego konesera muzyki. Jacques piękny w swoim skupieniu, z pochyloną głową i policzkiem przytulonym do skrzypiec. Gdyby była teraz sama, niczym nastolatka ucałowałaby jego fotkę, ale właśnie kelner podał wino.

W I części... studiowała dalej program:

Vocalise - Sergei Rachmaninoff

AIR - Johann Sebastian Bach

Toccatà - Johann Sebastian Bach

Hungarian Dance nr5 - Johannes Brahms

W II części:

The Second Waltz - Dmitri Shostakovich

From The Four Seasons - Summer - Antonio Vivaldi

Nabucco - Giuseppe Verdi

Ależ to będzie muzyczna uczta, w przeciwieństwie do sałatki, którą właśnie przyniesiono. Mon Dieu, że też nie pomyślała o składnikach i zamówiła tak spontanicznie! Anchois, cebula i mało apetyczny oddech? No trudno. Sałatka była pyszna, bagietka również, a w kosmetyczce miała szczoteczkę i pastę do zębów. Sama sobie wydała się trochę śmieszna... a do rozpoczęcia koncertu zostało paręnaście minut!

Pozostało jej narzuconym sobie zwyczajem dans le foyer²⁶, kupić czerwoną różę, odebrać zarezerwowaną kartę wstępu i... będzie gotowa na jeszcze jedno spotkanie z miłością.

Cóż pozostało jej poza dziękczynieniem? Za chwile, które jak we śnie przywracały młodość?

Jest twoje ciało śpiące tuż przy mnie w popiołach poranka

*Jest wiatr co przeprowadza pierwsze jesienne liście przez ulicę
Jest tasiemka tęsknoty do nieustannego przełykania
Jest takie miejsce we śnie z którego bardzo trudno zawrócić (...)*

Anna Janko „Boscy i nieznośni”

Charlotte

- Jacques!

Życie nauczyło mnie powstrzymywać emocje, ale dziś stało się to niemożliwe. Gdy wyszedł z koncertowej sali i uwolnił się od grupy fanów, rzuciłam mu się prawie na szyję. Stojący we foyer słuchacze nie obchodzili mnie wcale, bo tylko on się liczył. Ja i on. Uśmiechnął się nieco zażenowany i pocałował w rękę.

- Nie spodziewałem się ciebie... Zrobiłaś mi wielką niespodziankę...

- Miłą?

- Oui, oui...

Zabrzmiało trochę wymuszenie, ale po artystycznym wysiłku, poświęconym jego muzie, nie mogłam wymagać cudu szalonej radości na jej widok. Nie stałam się jego Minerwą, ale Jacques był moją inspiracją. Podczas ostatniego spotkania zwierzał się, że po zakończeniu każdego występu potrzebuje trochę czasu na odreagowanie... Może była to wskazówka wysyłana w moim kierunku, której znaczenia nie zrozumiałam?

- Mam pokój w Forest Hill, Paris la Villette To niedaleko. Przejdziemy się i zmienię rezerwację na dwuosobowy, ok.?

- Naturellement.

Zamieniliśmy się bagażami. On niósł moją podróżną torbę, a ja, jego skrzypce w czarnym futerale, wyglądające jak odłamane skrzydło dziwnego ptaka. Nie wiem skąd wzięło mi się to porównanie i ujęłam mojego Morelly'ego pod rękę, a wtedy on uśmiechnął się, jakby oszołomienie wywołane moim zjawieniem się powoli mu mijało.

- Myślałam, że udamy się do centrum, zjemy razem kolację na Champs Élysées...

- O, non, nie dzisiaj Cherie, jestem zmęczony. Zjemy w hotelu.

Mogłam się tego spodziewać, więc przytaknęłam mu i tak znaleźliśmy się przed

wejściem do hotelu. Jacques zajął się załatwianiem drobnych formalności, a ja... Usiadłam na welurowych kanapach w holu i szybko zadzwoniłam do Caroline. Na szczęście odebrała telefon.

- Mam niejasne wrażenie, że niezbyt się ucieszył moim przyjazdem - poskarżyłam się.

- Zamiast mieć wrażenie i domyślać się, trzeba rozmawiać - powiedziała surowo.

- Oczekiwałam od ciebie podtrzymania na duchu, a nie kolejnej reprimendy - zażartowałam słabo.

- Więc przestań bujać w obłokach. Jak długo chcesz zostać w Paryżu?

- Nie wiem... koncert był piękny...

Zbierało mi się na łzy i Caroline zrozumiała mój ton głosu.

- Daj znać kiedy wracasz, d'accord?²⁷ I odłożyła słuchawkę. Najprawdopodobniej nie była sama, bo nigdy dotąd tak ze mną nie rozmawiała.

Jacques podszedł do mnie w momencie, gdy chowałam komórkę do torebki.

- Telefonowałaś?

- Tak, z przyjaciółką w Nicei.

- Możemy iść? Rozgościsz się w moim pokoju, ja wejdę pod prysznic i pójdziemy coś zjeść. Umieram z głodu - uśmiechnął się. W windzie objął mnie i przytulił, a ja odetchnęłam z ulgą. Jakbym dopiero teraz wróciła z dalekiej podróży.

* * *

- Cecilie, zaraz opowiem ci do końca, pozwól mi zebrać myśli. Nasze ostatnie połączenie zostało przerwane. Gdy skończę, wyślę ci mailem moje nagranie, a ty obiecasz mi, że nie będziesz się dziwić, ani uśmiechać... Tak się twojej matce zdarzyło... podczas, gdy ty wybrałaś inną drogę. Jednak chcę, żebyś o tym wiedziała i także to, że bardzo tęsknię za tobą! Musisz mi wybaczyć, bo zbyt mało poświęcałam Ci uwagi, i rozmów o wszystkim było też między nami mało... Może kiedyś uda nam się to nadrobić. Tak mi żal straconego czasu... Siedzę jeszcze na paryskim lotnisku i staram się powstrzymać łzy...

* * *

Nie pamiętam dokładnie, co jedliśmy wtedy na kolację... Chyba jakąś potrawę z ryb. W hotelowej restauracji stało pianino i mężczyzna grał „Parlez moi d'amour... Jacques jadł i uśmiechał się do mnie. Pomyślałam, jak to się stało, że dotąd nie powiedział mi, że mnie kocha...

Gdy szykowaliśmy się do snu, wyjęłam nocną koszulę, którą kupiłam specjalnie na

dzisiejszy przyjazd do niego. Była czarna, długa i śliska niczym wieczorowa sukienka z odsłoniętymi plecami, z zawiązaniem na szyi. Wyszłam z łazienki, a on patrzył na mnie z uśmiechem...

- Charlotte... - wyciągnął do mnie rękę.

Prawie pofrunęłam do niego i zaczęliśmy się kochać, a ja, jak w ekstazie, która mi się nigdy dotychczas nie zdarzyła, szeptałam mu słowa, bo tyle ich zebrało się we mnie, o wszystkim czego dotychczas mu nie powiedziałam, choć już dawno powinien usłyszeć...

- To jest miłość, Jacques... uwierz mi, jak wiosenny deszcz, niebezpieczna, gwałtowna, wiem... ale pragnę cię, pożądam cię... przecież wiesz, kochany, zachwycasz mnie... tak bardzo... od wielu dni... chcę, żeby trwało... bądź ze mną... zatrzymaj nasz czas! Jacques!

Byłam niczym wulkan i kochałam go jak szalona, a gdy przyszło spełnienie, zaczęłam płakać.

A jednak nasz czas upływał niewzruszenie... Gdzieś, na kościelnej wieży zegar wybił dwunastą. Jacques scałował moje łzy bez słowa i położył się obok mnie. Po dłuższej chwili wstał i zapytał czy chcę drinka z Martini. Kiwnęłam głową i wyczerpana, cała byłam oczekiwaniem, bo teraz on powinien podarować mi słowa, by złagodzić gorączkę mojego szaleństwa.

Może wcale nie miał takiego zamiaru, może wbrew sobie... ale nastąpiło... Powiedział po długiej chwili milczenia słowa, które swoim dźwiękiem zabrzmiały jak struny, które pękły w najważniejszym momencie muzycznego „finale”.

- Charlotte...

- Tak, Jacques...?

- Wiem, że cię zranię tym, co powiem. To jest bardzo trudne dla mnie, ale muszę ci wyznać... Przypominasz mi kogoś, kogo bardzo kochałem...

Leżeliśmy obok siebie na łóżku i Jacques dotknął mojego ramienia, a ja poczułam ucisk w gardle. Dodał jeszcze, że „ona nie żyje”, a ja pomyślałam - o, Chryste, on kochał się ze mną, myśląc o innej kobiecie?

Jakie to żalodne i niesprawiedliwe! Czy przed chwilą też tak było? Mon Dieu! Nie chcę w to wierzyć!!!

Odsunęłam się, wypićłam drink jednym haustem, a on wstał i przyniósł mi drugie Martini. Pochylił się nade mną, leżącą, prawie sparaliżowaną jego słowami i zauważyłam tylko smutek w jego bursztynowych oczach. Nie było w nich już słońca, ani tych radosnych iskerek, gdy na początku znajomości i przy każdym spotkaniu odbierał ode mnie czerwoną

różę...

Sączyliśmy nasze drinki i ogarnął mnie strach, niczym zapowiedź nadchodzącej wichury i jeszcze jednego życiowego kataklizmu.

Cecilie... bywały już dni, gdy myślałam o związku z Jacquesem, jako o miłości bez radosnych perspektyw i happy endu. Bałam się takich dni. Byłam świadoma, że mój czar kobiecego uroku ulatniać się będzie powoli jak francuskie perfumy z kryształowej butelki, którą mi podarował... Wolno, ale skutecznie, bo zostawiłam ją zbyt otwartą, jak sama byłam otwarta dla jego miłości. A on - będzie moją ostatnią miłością... Nie chciałam jednak o tym myśleć, ani w to wierzyć. Jeszcze nie... i czekałam...

Jacques wstał i wyszedł na balkon. Mieliśmy gwiazdzistą, paryską noc, z restauracji dochodził gwar i dźwięki gry na pianinie. Ludzie spędzali czas przy kolacjach i radosnych rozmowach. Jacques po chwili wrócił do pokoju i zaczął mówić, a jego słowa dobiegały do mnie jak z nieprawdopodobnej dali...

- Charlotte... pozwól mi odejść. Proszę, nie zatrzymuj mnie. Twoje uczucie spala mnie... Przepraszam Cherie, ale jeszcze dzień, dwa i zostanie we mnie pustka. Od dwóch tygodni nie stworzyłem nic nowego, a ja nie chcę być tylko odtwórcą. Charlotte, jeśli kochasz mnie - odejdz pierwsza. Proszę... wybacz mi...

Wydawało mi się, że śnię. Powinnam znaleźć natychmiast sposób, może wykonać jakieś czary, które mi te wszystkie senne mary przegonią i z pewnością zaraz się obudzę... Powiedział przed chwilą coś, co było zupełnie do niego niepodobne i nie patrzył na mnie, a ja miałam ucisk w gardle i trudno mi było oddychać.

W łazience wzięłam zimny prysznic, po którym zrobiło mi się niedobrze i zwymiotowałam... Zwykła reakcja żołądkowa, myślałam, co za cholerny sen, zbyt wiele zjadłam na kolację. I wróciłam do pokoju.

Jacques leżał na łóżku, na brzuchu, przykryty tylko prześcieradłem. Wokół głowy jego kasztanowe loki malowniczo rozrzucone na poduszce wołały o jeszcze jeden, chociaż ołówkowy szkic śpiącego mężczyzny... Uświadomiłam sobie, że miniony wieczór nie był snem, a ja widzę go chyba ostatni raz i rozplakałam się. Nalałam sobie resztę Martini, poszperałam w torebce i znajdując papierosy, usiadłam na balkonie.

Cecilie, wiem, wiem, w hotelach nie wolno palić, ale w tym momencie było mi wszystko jedno. Nie wiedziałam czy Jacques śpi. Jeśli nie spał, może wstanie zaraz i chociaż przytuli ten kłębek rozpacz, jakim sama sobie się teraz wydawałam. Twoja matka - popielato - czarny zraniony ptak, z postrzępionymi piórami, który skulony przysiadł na fotelu... Miałam potargane włosy, pogniecioną koszulkę - moją sukienkę kupioną na tę noc z kochankiem,

tragiczny kostium do sztuki o jeszcze jednej rozdartej miłości.

Jacques nie wstał. Już odszedł ode mnie daleko, bardzo daleko... a ja starając się poruszać jak najciszej, wyciągnęłam z torby blok, szkicownik, który zawsze wożę ze sobą i kilka ołówków. Usiadłam i patrząc na jego sylwetkę, kształt ciała rysujący się pod prześcieradłem i włosy okalające głowę, zaczęłam rysować ostatni szkic. Dlaczego Anioły przedstawiane na kolorowych rycinach mają zawsze blond włosy? Wygląd mojego Anioła zaprzecza wyobraźni malarzy i renesansowych rzeźbiarzy. Ma włosy koloru rdzy...

Wydawało mi się, że Jacques za chwilę z głębokim westchnieniem wyciągnie ramiona jak to czasem robił budząc się i zapyta: - Charlotte, gdzie jesteś? Chodź do łóżka Cherie... znów coś rysujesz? Ależ miałem głupi sen... chodź szybko do mnie, bo zmarzniesz...Cherie...

Moje łzy kapały na kartkę zostawiając szare plamy, czarny ołówek rozmazywał się pod dłońmi... powstrzymując szloch, kończyłam ostatni szkic, którego tematem był mój ukochany. Schowałam pracę do torby i usiadłam ponownie na balkonie. W restauracji zapanowała już cisza, na niebie błyszczało kilka gwiazd, ale dziwne welony chmur przepływały po niebie, prezentując dość nietypowe zjawisko o tej porze roku. Jak nasze uczucia, przepływają i oddalają się... Widok ten przypomniiał mi wiersz, który kiedyś czytałam w jednym z kobiecych magazynów:

Comment se fait l'amour?

Secrètement...

Il apporte quelque chose?

Smell lignes de touche

rythme cardiaque, la transe...

Pente Parfois, il est...

Que faire si?

Alors...

envie de nuit pend une robe bleu

foncé avec des taches pâles de la douleur -

Etoiles...28

Dzisiaj niebo założyło swoją granatową sukienkę, a poblądłe gwiazdy przyglądały się mojej rozpaczycy... Miałam ochotę obudzić Jacquesa, potrząsnąć nim, zapytać czy pamięta co mi powiedział i dlaczego???

Nie zrobiłam tego.

Spakowałam jak najciszej moje osobiste drobiazgi, ubrałam się i zamknęłam drzwi za sobą. Idąc w kierunku hotelowej windy, z podróżną torbą na ramieniu, prowadziłam za rękę

nadzieję. Mogło się przecież zdarzyć, że on półnagi, owinięty prześcieradłem i przestraszony wybiegnie z pokoju, wołając:- Mon Dieu, Charlotte, zostań, nie odchodź!

Z nadzieją rozstałam się na schodach... Widziałam, jak usiadła i jeszcze czekała... a ja zjechałam windą do recepcji i zapytałam, czy dostanę kawę? Nie było to problemem, nawet o trzeciej nad ranem. Nadzieja nie wracała... Poprosiłam recepcjonistę o sprawdzenie planu odlotów samolotów do Nicei i ewentualną rezerwację. Un billet? Oui... Ici, vous êtes à 7h30 à Nice, pas de problème, madame. Le billet est pour vous réservé²⁹.

W korytarzu trzasnęły czyjeś drzwi, winda zatrzymała się, a moje gardło ścisnęło wzruszenie... Z windy wyszedł ciemnoskóry kelner z tacą... normalny, nocny serwis hotelowy. Kończyłam picie kawy, gdy przed hotelem zatrzymała się taksówka, a ja powiedziałam recepcjoniście, że monsieur Morelly śpi, i poprosiłam, żeby go nie budzono.

Au revoir Paris³⁰...

Cecilie, nie pamiętam jak minął mi pozostały czas do odlotu...

Na pokładzie samolotu stewardesa serwowała pasażerom petit déjeuner³¹. Poprosiłam o kawę i drinka, obawiając się, że croissant może mnie udławić. Nie pamiętam... podobno płakałam i wylałam sobie kawę na sukienkę. Madames, monsieurs... nous sommes à Nice³². Stewardesa zapytała czy może mi pomóc, a ja podałam jej numer telefonu do Caroline... Ktoś powinien na mnie czekać...!!!

Piekący żal, że to nie mogłaś być ty, córeczko...

* * *

Charlotte spała już czwartą godzinę, a Caroline dogładając ją miała nadzieję, że odpoczynek przyniesie ulgę i choć cień wybawienia ze wszystkiego, co się zdarzyło... Nie pytała, lecz zaopiekowała się nią, jak zranionym dzieckiem, które było nieposłuszne.

Gdy w komórce Charlotte odezwał się sygnał esemesa, Caroline pozwoliła sobie poszukać telefonu w torebce przyjaciółki i przeczytać go.

Nie chciałem cię zranić, ale momenty szczęścia z tobą i całkowitego spełnienia były krótkie. Pojutrze odlatuję na Majorkę koncertować w Palmie. Nie zobaczymy się więcej. Wybacz mi, Jacques.

Tego było już za wiele! Caroline poczuła, że sama nie udźwignie ciężaru zaistniałego stanu rzeczy. Sytuacja wymagała radykalnego środka i przypuszczała, gdzie może znaleźć pomoc.

- Alain? Dobrze, że jesteś! Charlotte wróciła, odebrałam ją z lotniska... Kiedy?... Dziś, przed południem. Śpi. Chciałam tylko, żebyś o tym wiedział... Tak, zadzwonię do ciebie, gdy

trochę przyjdzie do siebie. Oui!... Cieszysz się? O, na to jeszcze nie pora... à la prochain fois³³!

Taka była Caroline. Uczuciowa, ale i konkretna w dążeniach do stabilizacji, nie tylko własnej. Usilnie chciała przywrócić psychiczną równowagę swojej przyjaciółce. Kochała Charlotte i w głębi duszy przewidywała, że jej związek z Jacquesem będzie miał smutny finał. Próbowwała przemówić jej do rozsądku i właściwie powinna czuć się rozgrzeszona, bo przecież nie przyglądała się w milczeniu, gdy stateczek Charlotte dryfował po dnie... Ale dziś postara się o kamizelkę ratunkową i założy jej, choć ona z pewnością bronić się będzie rękami i nogami.

W swoim uczuciowym życiu Caroline umiała wybierać. Bolały ją kłamstwa i nieszczerłość osób, których uważała za przyjaciół i sama decydowała, kto mógł pozostać w jej życiu, a z kim dalsza przyjaźń była niemożliwa. Wszystkie znajomości też od czasu do czasu weryfikowała, bo nie mogła pozwolić na to, by ktoś traktował ją jako jedną ze swoich życiowych opcji. Zasługiwała na więcej.

Charlotte, artystkę - malarzkę poznała na jednej z wystaw dzieł należących do kolegi, parającego się również tworzeniem sztuki, od którego kupowała miniatury. W swoim butikku oprócz ekskluzywnych ciuchów miała stoisko z dziełami różnych kierunków sztuki: nowoczesnej i bardziej tradycyjnej, a one zaspokajały życzenia najbardziej wybrednych gości i turystów w Nicei. Preferowała mniejsze formy, a akwarele, które były dziełami Charlotte przypadły jej bardzo do gustu, bo opatrzone zawsze akuratnie dobranym paspartout były ni plus ni moins³⁴ odpowiednie do wnętrza jej butikku. Poznały się, polubiły, a zdarzyło się to w czasie szczególnie trudnym, bo Charlotte niedawno została wdową. Spotykały się więc często i siedząc u niej w studio, prowadziły długie rozmowy o żałobie, miłości, poczuciu osamotnienia po wyjeździe Kamerunu, muzycznych upodobaniach i oczywiście malarstwie. Caroline myślała, że to nie fakt poznania i uczucie do Morelly'ego przerwało stan marazmu malarki, lecz przyjaźń z Caroline i dzięki niej Charlotte znów zaczęła pracować nad nowymi tematami. Ach, być może Morelly w pewnym stopniu był również dla niej inspiracją... ale większość zasług przypisywała Caroline sobie samej. Lubiła być doceniana.

W tej, jakby się zdawało „kryształowej” sylwetce kobiety była jedna rysa. Drobne oszustwo, o które pewnego dnia poprosił wielbiący Charlotte z daleka, Alain Jourdan, gdy obie zjawiały się na drugim śniadaniu w ich ulubionej Petit Café chez André³⁵. Jego drugie spotkanie z Charlotte było zaplanowane, pomoc w przygotowaniach do wernisażu też, a nowa znajomość miała pomóc im obojgu w drodze do szczęścia. Czy plan Caroline miał jednak szansę spełnienia?

* * *

- Nic nie potrafi ukoić rozczarowania, wierz mi, nic! Ani psychoterapia, ani podróż w nieznane. Jest tylko jeden sposób na zapomnienie faceta: nowy facet!

Charlotte nie uśmiechnęła się. Usiadła przy kuchennym stole i zapaliła gauloise'a.

- Tu es folle'36 - powiedziała.

- Tak? A ty dlaczego? Twoja wyobraźnia przerosła rzeczywistość i tęsknisz teraz za miłością, której nigdy nie było. Najbardziej bolą nasze niespełnione imagacje, które dotyczą mężczyzny, który nas zauroczył.

Caroline mówiła i mówiła... Postawiła kubek kawy przed przyjaciółką i usiadła naprzeciw niej, przy stole.

- Pij proszę, a potem spójrz do lustra, a zobaczysz efekty swojej fascynacji.

- Jesteś bezlitosna.

O dziwo, Charlotte uśmiechnęła się smutno.

- Bo usiłuję ci pomóc? Bardzo łatwo jest erotykę i zauroczenie czyjąś twórczością nazwać miłością do jego twórcy. Zrozum to nareszcie!

Wstała i przytuliła ją, a oczy Charlotte zaszkliły się łzami. Caroline pogłaskała ją, jak dziecko po splątanych włosach i pocałowała w mokry policzek.

- Jeszcze trochę będzie boleć i ucichnie. Uwierz mi. Jeśli ktoś od Ciebie odchodzi... to przecież nie zamyka za sobą drzwi do całego świata. Trzeba iść i odkrywać nowe perspektywy. Myślę, że odpoczęłaś już trochę, tak? Ogarnij się, proszę - mówiła podając jej chusteczkę.

- Wytrzymaj nos i weź kąpiel. Alain chce wpaść do nas pod wieczór.

- Łatwo powiedzieć, ale jeżeli kogoś kochasz? W momencie odejścia on zamknął drzwi do wszystkiego, bo poszedł sam... Pozostało mi wspomnienie jego ciepła... I rany, które też potrzebują czasu, by się zagoić - mówiła broniąc swoich wspomnień.

- Charlotte! To przykład taniej poezji! Mam ci od nowa wykład robić? Może na dyktafon nagrać i będziesz odsłuchiwać co godzinę. Nie kochasz go! Była, być może obustronna fascynacja i z jego strony minęła... Powinnaś czuć się obrażona i zraniona, gdy powiedział ci, że przypominał mu kogoś, kto był dla niego bliski. I nawet nie wiesz kto! O! Musiałoby to na mnie trafić!

Idź pod prysznic nareszcie i błagam cię - wymiataj powoli, wymiataj z pamięci to, co było dobre! To jest sposób na zapomnienie, wierz mi. Pamiętać wszystko, co było w tej znajomości przykre i złościć się na samą siebie.

Charlotte pokiwała przecząco głową, szepnęła: - nie, nie - lecz posłusznie wstała, kierując się w stronę łazienki.

Słyszając wreszcie szum wody, Caroline złapała za telefon:

- Salut, robię co mogę. Myślę, że możesz już przyjść i pomóc mi w przywracaniu jej do życia. Twoje odwiedziny chyba dobrze jej zrobią. Oczami wyobraźni widziała zadowolony uśmiech Alaina i sama poczuła się też spokojniejsza.

- Zabierzemy ją do miasta, ale Petit Cafe chez André ominiemy. A bientôt!

Alain Jourdan

Patrzyła na niego ze smutkiem, a on uśmiechając się, ujął jej dłoń leżącą na stoliku. Wydała mu się taka bezwładna, niczyja, więc wziął ją w swoje dłonie. Przez chwilę przyglądał się paznokciom ze śladami lakieru, którego może nie chciała do końca zmyć, bo jak nikłe wspomnienie miał jeszcze trochę pozostać... Pocałował i po chwili kontynuował swoje wynurzenia:

- Nie rób niczego, czego znów mogłabyś żałować. Tak prawdziwie, to nie mamy wpływu na bieg wydarzeń w naszym życiu, ale możemy kontrolować swoje reakcje. I wiesz, bywa, że to, czego szukaliśmy jest niedaleko nas i właśnie tym, czego potrzebujemy, wypełnieniem chociażby części naszego życia...

Powiedział to myśląc, że łatwo jest ulec urokowi kogoś, kto się bardzo od nas różni. Była artystką, której osobowość przyciągała go, angażowała do snucia nowych projektów, podczas gdy on... Co miał jej do zaoferowania?

- Być może masz rację, Alain, jednak przeraża mnie powrót do szarej rzeczywistości - powiedziała i cofnęła rękę.

- Bardzo chciałbym ci pomóc, przyjmij mnie...

- Razem też nie sięgniemy nieba...

Staram się jak nie wiem co, by dorównać jej intelektowi, ale gdy ona rzuci tekstem, czuję się zupełnie bezradny - pomyślał. Jest świetna, ma klasę i kasę, chcę jechać razem z nią i Caroline do Wenecji trochę się rozerwać. Italia nam bardzo dobrze zrobi i dosyć mazgajenia się. Grajek olał ją... pławiał się w jej uczuciu tak długo, aż mu się znudziła, a ona musi teraz powoli dojść do siebie!

Wziął ponownie dłoń Charlotty i ucałował. Tym razem nie cofnęła jej i cicho zapytała:

- Jeśli okaże się, że znów cierpię, pomożesz mi?

Wychodziła mu naprzeciw ze swoim oczekiwaniem i oto mam czas, by z niego skorzystać! - myślał. Caroline miała rację, to jest kobieta dla niego.

- Oczywiście. Będę dla ciebie.

Przechylił się do niej przez stolik, z uśmiechem pogładził po policzku i zaznaczył zdecydowanie:

- Daję ci kilka dni, a pod koniec przyszłego tygodnia udajemy się w podróż. Czekaając na ciebie, zaplanowaliśmy z Caroline wszystko od deski do deski, noclegi też są

zarezerwowane. Przekonasz się, Wenecja bardzo dobrze nam wszystkim zrobi.

Mówi się... życie jest przygodą, a los przekształca nam ją w pasmo dobrych i złych zdarzeń. Czy mamy na to jeszcze wpływ, kiedy staje się miejscem naszych pielgrzymek i powrotów?

*W Wielkanocny dzień do domu
przyszły białe bazy w gości,
by pisanekom po kryjomu
kolorów zazdrościć.*

Wielkanoc

Iwona chce spędzić wielkanocne święta w Polsce, a ja myślałam, że spędzimy je razem, bo i Jacques zaanonsował swój przyjazd. Nici z rodzinnej Wielkanocy, podobnej do naszego ubiegłorocznego Święta Dziękczynienia. Trudno. Może zaprosimy Jane z Frankiem? Patrycja zaproponowała mojej córce i wnuczkom przedłużenie ich pobytu i celebrowanie razem nimi, po polsku. Malowanie pisanek, święcenie potraw, całego domowego rozgardiaszu przy pieczeniu babek, mazurków i tym podobnych rozkoszy. Pewnie to i dobrze? Dla dziewczynek z pewnością będzie to przypomnienie i podtrzymanie naszej, dawnej tradycji.

- Zrozum, takie wspomnienia pozostają na całe życie w pamięci - mówiła Patrycja, tłumacząc tym samym decyzję Iwony. Niby rozumiałam, ale i tak było mi przykro, gdy rozmawiałam o tym z moją córką dzięki połączeniu zza oceanu. Po chwili zobaczyłam przed ekranem Marikę z Marysią, które na wyścigi zaczęły opowiadać mi, co ciekawego zdarzyło się w ostatnich dniach ich pobytu w Gdańsku. Moje wnuczki znów potrafiły pozytywnie wpłynąć na poprawę mojego nastroju.

- Wszystko jest super! U taty też byliśmy - Marysia mówiąc to, zawiesiła głos, bo akurat tego wydarzenia do superowych zaliczyć nie mogła, ale po chwili kontynuowała relację.

- Zaniósł mi święteczną paczuszkę, a on cieszył i jeśli inaczej nie może być, to tak trzeba znieść - dokończyła jak jakaś dorosła, rozumiejąca już zrządzenia losu na tym świecie.

- Daj, teraz ja! Chcę też babci coś powiedzieć!

Marika odpychała starszą siostrę od komputera.

- Byłam odwiedzić moje przedszkole, a ona swoją szkołę i musiałam opowiadać jak tutaj jest, co robimy, jakie są zajęcia, czy mi się podoba i czy zostaniemy w Ameryce na zawsze. Fajnie było! A wiesz babciu, ja już zapomniałam, jak to jest i kiedy przychodzi jakiś zajęczek?

- A co on ma właściwie wspólnego z Wielkanocą? - włączyła się Marysia. - Pan Jezus

zmarłychwstał, to co ma zając do szukania w pierwsze święto?

Sama też nie wiedziałam i zanim powstał dylemat: jak było z tym zającem, przypomniała mi się anegdotka, którą kiedyś, gdy dziewczynki jeszcze były małe, słyszałam w radio.

- Znacie takie powiedzenie: ktoś śpi jak zając pod miedzą? Co to znaczy?

- Nooo, że bardzo lekko śpi i szybko się budzi - odpowiedziała starsza.

- Zgoda. Na dodatek zając do snu nie zamyka oczu... On był niedaleko i pierwszy zobaczył zmarłychwstałego Chrystusa! Tę radosną nowinę pobiegł szybko zanieść do miasteczka, a ludzie upamiętnili to wydarzenie, obdarowując się teraz nawzajem słodkościami i jajkami.

- Bo jajko to życie - dodała Marysia.

- Babciu, to prawda z tym zającem?

- Taka jest legenda, a w każdej legendzie jest odrobina prawdy.

Naszą konwersację przejęła Iwona, życząc wszystkim „zdrowych i wesołych świąt”, a gdy powiedziałam, że Jacques jutro przylatuje, zachmurzyła się trochę, mówiąc:

- Szkoda, że się z nim nie zobaczę. Miałabym mu wiele do powiedzenia... Kilkanaście dni ciszy z jego strony w eterze... Chyba dużo pracuje, ale mam nadzieję, że stać go będzie chociaż na świąteczne życzenia?

Miała takie spojrzenie, które powinno mnie zastanowić, ale rozbawiona pogaduszką z dziewczynkami, zawołałam tylko:

- Z pewnością! Wiesz, jak to jest z artystami. Odezwiemy się do was!

I pomachałyśmy sobie do ekranu, przesyłając wzajemne buziaki i pozdrowienia.

Jeszcze kilka dni - myślałam. Wrócę szczęśliwie, wszystko się ułoży... i zajęłam się moim makowcem na półkruchym spodzie, pieczonym na blaszce, z dużą ilością pysznych bakalii, w których przewodziły kostki kandyzowanej pomarańczowej skórki, którą sama przyrządzałam oraz kruszynkami na wierzchu. Jeremi przepadał za moim makowcem i miałam nadzieję, że Jacquesowi również przypadnie nie tyle do gustu, co do podniebienia.

* * *

Przewidywania Iwony potwierdziły się. Jacques wyglądał na zmęczonego, pracą na uczelni i bogatym programem koncertów, które ostatnio odbył. Przy kolacji opowiadał nam swoje wrażenia z pobytu w Europie, w Paryżu, Nicei i na Majorce, przekazywał pozdrowienia od Veronique z Antibes, a Jeremi słuchał i patrzył na syna z uznaniem. Znów dostaliśmy nagrane live płytki z ostatnich koncertów. Jedna była oczywiście dla Yvonne z komentarzem

żalu, że wielkanocnej uroczystości niestety nie spędzimy tutaj razem w rodzinnym komplecie. Zapropnowałam mu późnym wieczorem udostępnienie skypa, by skontaktował się z dziewczynami w Polsce. Byłaby u nich akurat pora obiadowa, ale Jacques zdecydował, że zrobi to jutro, a teraz i dla odprężenia po podróży chętnie wybrałby się z Jeremim na spacer.

Przyznać muszę, że w tym momencie troszkę się zawstydziałam. Może wyglądało na to, że usilnie przypominam mu o Iwonie i jak na tacy podaję moją córkę? On był dla mnie zawsze serdeczny i tym razem również, uprzejmie wybierając inny czas rozmowy z Polską. To ja bywam zbyt spontaniczna, jak to się mówi „w gorącej wodzie kąpana” i dziś już zaaferowana świętami. Przecież Jacques ma własny laptop. Jestem typowym, zodiakalnym bykiem. Ot, co.

Znaczną część naszego szczęścia rodzinnego

stanowią udane szarlotki

Jane Austen

Chciałam już w kuchni zabrać się do pracy, gdy odwołał mnie dźwięk komórki. Jane! Jakże miło! Nie widziałyśmy się od kilku tygodni, bo po Bożym Narodzeniu spędziła kilkanaście dni w łóżku, lecząc paskudny atak grypy. Pocieszałyśmy się telefonicznie kilka razy i nawzajem, ona mnie z powodu wyjazdu Iwony, ja ich oboje, czyli Jane i Franka, gdyż pewnej nocy Charlie odszedł do ptasiego raję... Czy to możliwe, by papuga mogła zarazić się ludzką grypą? Było mi również bardzo przykro, bo spędziłam z nią przecież kilkanaście tygodni w mieszkaniu Jennifer, podczas jej nieobecności i oboje umilaliśmy sobie czas rozłąki z najbliższymi. Był wyjątkowo rozmownym ptakiem. Przed świętami Jenny wyprowadziła się z Nowego Jorku i oddała Charliego Jane i Frankowi. A może to nie grypa była powodem odejścia ptaka lecz uczucie bolesnej tęsknoty?

Teraz powrócił temat wielkanocnego makowca, bo Jane nie mogła znaleźć przepisu, który jej z pewnością podałam.

- Jak zdrówko?

- Dziękuję, chyba mam menopauzę - roześmiała się.

- Bierzesz coś?

- Popalam trawkę.

Była w świetnym humorze.

- Nie wygłupiaj się, poważnie pytam.

- Tak, wspomagam moje nastroje hormonami i jakoś się udaje.

- A Frank co na to?

- Też wspomaga... - i znów roześmiałyśmy się.

- OK, daj ten przepis proszę, bo szkoda czasu.

Wyszukałam go w moim kucharskim notatniku i poleciłam:

- No to pisz: 5 żółtek, 250 margaryny do pieczenia, 0,5 szklanki cukru pudru, półtorej łyżeczki proszku do pieczenia, czubata łyżka kwaśnej śmietany, 3 szklanki mąki, masz?

- A szklanki jakie duże?

- Takie normalne, jak dawniej w kraju „musztardówki”. To jest ciasto kruche, bardzo fajne, nie ma obawy zakalca. Możesz wykorzystać jako spód i wierzch do szarlotki lub z innymi owocami.

- Białka wyrzucić?

- Możesz wykorzystać i zrobić wielką jajecznicę dodając jeszcze kilka jajek.

- OK. i co dalej?

- Całkiem łatwo: utrzeć margarynę na gładko, osobno żółtka z cukrem, dodawaj na zmianę mąkę + proszek i śmietanę. Konsystencja ciasta powinna być plastelinowa.

- Co z tym makiem?

Podawałam przepis Jane i uśmiechałam się. Ten makowiec ma swoją historię. Zastanawiające... że to ciasto smakuje każdemu z moich mężczyzn: ojciec Iwony lubił je, Wiktor bardzo chętnie, a Jeremi wprost się nim zachwyca...

- Jaki mak i ile? - powtórzyła pytanie Jane.

- Sorry, zamyśliłam się. Kiedyś trzeba było suchy mak ucierać, teraz kupuję w puszcze, już gotowy i posłodzony miodem. Dodaję bakalie - rodzyнки z rumu, piórka migdałów, posiekane orzechy laskowe lub włoskie, jakie tam akurat masz w domu i smażone w lukrze kosteczki skórki pomarańczowej. Możesz też trochę rumu dodać od rodzynek.

- Wykorzystujesz całą puszkę maku?

- Tak, jeśli nie ma więcej niż 600 - 800g masy. Wykładam tortownicę papierem do pieczenia i $\frac{3}{4}$ ciasta rozkładam równo na powierzchni, na to masę makową, a na wierzch skubię resztę ciasta, jak kruszynki. Koniec zabawy. Nagrzej wcześniej piekarnik, a pieczenie zajmie ci ok.45 minut w temperaturze 160'. Spróbuj patyczkiem czy suche i wyjmij z piekarnika.

- Dzięki, dokładniej już być nie mogło, prawie zapachniało, a jak wy spędzacie święta w Port Jefferson?

Opowiedziałam jej o nieobecności Iwony i przyjeździe Jacquesa, a pod koniec rozmowy zaprosiłam na kawę w II święto. Obiecała i obie postanowiłyśmy zabrać się natychmiast do roboty.

* * *

- Tutaj macie zupełnie inne powietrze, niż u nas. Piękny wieczór. Zobacz, jakie rozgwieżdżone niebo.

Jeremi popatrzył na syna z uśmiechem. Trzeba być artystą, żeby nagle zwracać uwagę na fakty, które dla innych stały się codziennością, a zauważamy je częściej, gdy obok nas jest

ktoś bliski sercu. Jeremi najchętniej oglądałby zachody słońca nad zatoką i gwiazdy w towarzystwie Leni.

Szli wolno w stronę Marine.

- Chciałeś ze mną o czymś porozmawiać? Bo przecież nie wybierasz się ze starym ojcem tak sobie, by pospacerować przed snem? - uśmiechnął się do syna.

Widział, że Jacques odetchnął głęboko i przystanął.

- Oui, oui... mam problem - powiedział i zrobił kilka dalszych kroków. - Muszę się cię poradzić, chociaż... tego, co się stało, cofnąć się nie uda, ani też wymazać z pamięci.

Zatrzymali się przy skwerze. Jeremi popatrzył na niego bacznie i wskazał stojącą opodal ławkę:

- Usiądźmy. Masz kłopoty finansowe?

Jacques znów milczał przez chwilę. Zbierał odwagę, aby wyznać mu prawdopodobnie coś ważnego.

- Non³⁷. Wolałbym już takie. Odetchnął głęboko, a po chwili powiedział: - mam romans... to znaczy miałem - poprawił się zaraz.

- Mężczyzna czy kobieta?

- Tato!

Okrzyk z głębi serca zabrzmiał jak wyrzut.

- Pardon³⁸, synu, ale w dzisiejszych czasach, gdy tak wiele się dzieje i jest możliwe...

Jeremi poczuł niesmak swojej reakcji. Najchętniej zapaliłby teraz papierosa podobnie, jak tamtego wieczoru, który spędzał sam w nicejskim hotelu, po śmierci Jacqueline. Czy powinien mu pomóc w dalszych zwierzeniach?

- Więc kobieta... Czy ona spodziewa się twojego dziecka?

- Nie, tato.

Jacques poczuł ucisk w żołądku. Jak trudno... ale musiał odbyć zaczęłą z ojcem rozmowę.

- Ona jest dużo starsza ode mnie... Uwielbia mnie! I... jest podobna do mamy!

Przejeżdżające ulicą auto oświetliło ich twarze. Syn patrzył na Jeremiego z rozpaczą, podczas gdy ten był coraz bardziej zdumiony obrotem ich rozmowy.

- Myślisz teraz, cóż to za związek? Czemu wspominam mamę?

Jacques milczał, więc Jeremi pokiwał głową - Mów proszę...

Upłynęło kilka minut ciszy, po czym światła następnego przejeżdżającego pojazdu oświetliły kredowobiałą twarz syna.

- Wstydzę się, ale zbyt długo już to w sobie noszę... Powiniennem ci dawno

powiedzieć. To było... ach, jeszcze przed moją maturą i przypadkowo... Widziałem, gdy kochałeś się z Jacqueline... Od tego dnia miewałem sny... że to ja jestem na twoim miejscu... Zazdrościłem ci... zacząłem prawie nienawidzić! Dlatego wybrałem studia z dala od domu.

Westchnął głęboko, ale nie było to uczucie ulgi. Miał wrażenie, że kamień, który leżał mu kilka lat na sercu, zsunął się i potoczył prosto pod nogi.

- Wybacz mi...

Jeremi był wstrząśnięty. Ławka na skwerze z pewnością nie była właściwym miejscem na ich rozmowę, ale powrócić w domu do drażliwego, wprost nieprawdopodobnego dla niego tematu, jaki z taką trudnością rozpoczął syn będzie trudno.

Psychologia. Nigdy specjalnie nie interesowała go owa dziedzina wiedzy. Szumiało mu w głowie. Kompleks Edypa? Podobny termin błąkał się teraz Jeremiemu wśród intensywnych, bolesnych myśli.

Powiedział tylko żalosne: - Jacques, nie rozumiem... ale dlaczego... a on powtórzył: - Wybacz, tato - i siedzieli w milczeniu, które syn przerwał po chwili:

- Od tamtego czasu nie miałem kobiety. Jeszcze do niedawna pierwszą i jedyną była Yvonne... a po niej Charlotte. - Jak mogłem się tak zapomnieć!

Ukrył twarz w dłoniach i wydało mu się, że widzi Charlotte taką, jaka była w jego ramionach. Charlotte całując go bez pamięci, Charlotte, która czekała na niego po koncercie z czerwoną różą... Jego Charlotte siedzącą na brzegu łóżka i podającą mu kawę... Charlotte we łzach, błagając go, żeby nie wyjeżdżał...

A teraz sam rozplakał się jak nastolatek, gdy w tamtym czasie każdy powód był dobry, aby móc złościć się i beczeć. Jeremi objął go czując, że cierpi razem z nim.

- Brakuje ci Jacqueline?

- Nie wiem... już nic nie wiem... Jacqueline nigdy nie patrzyła na mnie tak, jak tego oczekiwałem. Kim byłem dla mojej matki? Tylko raz odwiedziła mnie w San Francisco, żeby zobaczyć jak mieszkam. Czasem zadzwoniła... Nie miała dla mnie czasu, rozumiesz? Dla ciebie później też już nie miała... A ja ją tak kochałem!

Pozwolę mu mówić - myślał Jeremi, to jedyne, co mogę teraz dla niego zrobić. Obaj goniliśmy za uczuciami Jacqueline, a ona nam się wymknęła...

Jacques wstał i wytarł mokrą od łez twarz.

- Mam wrażenie tato, że znalazłem się w ślepych zaułku, do którego sam siebie nie wiadomo dlaczego wpędziłem. Gardzę sobą, bo kilku tygodni nic nie skomponowałem. Smutnym odtwórcą, wykładowcą, oto kim się stałem. I to jest straszne!

- A Yvonne?

Miła, jak słoneczny promień Yvonne, pociągająca i sexy... jego pierwsza, której wcale nie chciał zranić... A jednak! Stało się... - Co mam teraz zrobić? Przyznać się i prosić o przebaczenie?

- Myślisz, że cierpienie rozłożone na dwoje mniej boli?

- Nie wiem tato, naprawdę nie wiem. Muszę to przemyśleć. Ale chyba nie. Byłoby jak trwały tatuaż na sercu. Chyba wystarczy, gdy jedno z nas będzie go nosić.

Chryste Panie, jak dobrze, że nie spotkały mnie w życiu podobne rozstaje dróg i dylematy - myślał Jeremi podnosząc się z ławki.

- Chodź, wracamy, bo chłodno się robi i przyniesiemy katary do domu.

Czuł, że powinien mu pomóc, bo Jacques wstał i patrzył na ojca chłopięcym wzrokiem, który błagał - poradź mi!

Chryste, chcę, ale jak mam to zrobić?

- Myślę, że wszystko, o czym mówiliśmy dziś powinniśmy zostawić między nami. Ale, synu... czy ty, potrafisz z tym żyć?

- Nie wiem tato. Musiałem ci powiedzieć. Spróbuję. Właściwie, dobrze się złożyło, że jej i dziewczynek nie ma w Port Jefferson. Nie mógłbym jej dziś spojrzeć w oczy.

Wolnym krokiem wracali do domu.

Gdyby mnie - myślał Jeremi - nie daj Bóg przytrafiła się taka chwila słabości, to padłbym na kolana przed Leni... Na szczęście nigdy nie miałem podobnych skłonności. W moim życiu kochałem dwie kobiety: Jacqueline, a teraz Leni i nie pragnę żadnej innej przygody, która mogłaby złamać serce nie tylko jej, ale pozostałym, z którymi dzielimy naszą terażniejszość.

Jaki popełniliśmy z Jacqueline błąd w wychowywaniu Jacquesa? Czy od dzieciństwa poświęciliśmy mu zbyt mało czasu, by rozmawiać o wszystkich aspektach dotyczących życia w rodzinie? A jeśli on ukryje swoje rozdarcie i ten romans przed Yvonne, czy uda mu się odnaleźć właściwą drogę w ich relacjach? Tatuaże na sercach zostają... Czy czas będzie łaskawy i pozwoli odwrócić mu jeszcze jedną kartę?

Syn szedł obok niego w milczeniu, a gdy stanęli przed wejściem do domu, powiedział:

- Zatrzymaj to wszystko dla siebie, proszę. Muszę od nowa ułożyć moje życie... Tylko jak? I wszedł pierwszy do przedpokoju.

Życzę ci synu z całego serca, mruknął do siebie Jeremi, wiedząc, że Jacques i tak zna jego myśli.

Leni leżała już w łóżku, gdy wszedł do sypialni. Na jego widok odłożyła czytaną książkę i popatrzyła pytająco:

- Długa ta wasza przechadzka...

Usiadł obok niej, na brzegu łóżka.

- Tak, ale nie pytaj więcej. To była bardzo długa, męska rozmowa i... myślę, że w tym momencie Jacques potrzebuje naszej miłości bardziej, niż ktokolwiek inny.

Spojrzała trochę zdziwiona, a Jeremi znając ją wiedział, że Leni powróci kiedyś do tego tematu, że będzie drażnić, jak to czyni prawie każda kobieta. Teraz jednak jej reakcja zaskoczyła go, bo ona zapytała:

- Zrobić ci herbatę?

- Tak, poproszę i przynieś razem z aspiryną na górę.

W kuchni przy stole, podpierając głowę obiema rękami siedział Jacques. Leni miała wrażenie, że chyba nie zauważył jej obecności, ale gdy zapytała o herbatę, czy może się też napije, odpowiedział cicho, nie podnosząc głowy: - Nie, mamoo... a pod nią z nagłego wzruszenia ugięły się nogi. Miała ochotę podejść i przytulić go, mężczyznę pogrążonego w rozmyślaniach, do których niezależnie od tego jak bardzo lubiła syna Jeremiego, jednak nie miała prawa. Tak czuła, więc po cichu z parującym kubkiem, tabletkami w ręce i sercem pełnym niepokoju udała się schodkami na górę.

Jeremi spał, oddychając głośno. Na jego twarzy malował się nieznany dotąd wyraz przykrości, jakby oczekiwanie na nią było zbyt długie, a przecież nie trwało kilkunastu minut. Zaczęła popijać herbatę, w końcu sama połknęła aspirynę i zgasiła światło. Miała wrażenie, że powietrze w sypialni jest nabrzmięte czymś niezrozumiałym i do końca nieokreślonym, więc starając się robić jak najmniej hałasu, odsunęła zasłonę uchylając okno. Wiatr poruszał pnączami bluszczu. Od strony Marine dobiegł trzykrotny dźwięk sygnału statku dobijającego do brzegu, który za chwilę zmieszał się z pomrukiem nadchodzącej burzy. Leni zamknęła okno i położyła się obok Jeremiego, a on obrócił się do niej i objął bez słowa ramieniem. Jeszcze jeden pomruk burzy, za chwilę szelest spadających na parapet kropli deszczu...

Jeremi zasypiał, a ona z uczuciem niesłychanego niepokoju leżała obok niego. Myślała o słowach przeczytanych w dzieciństwie w ulubionej książce o Ani z Zielonego Wzgórza... Nie miały niby związku z teraźniejszym nastrojem, ale dawniej lubiła się nimi pocieszać: „Płacz może trwać noc całą, ale o poranku nadejdzie radość”...

Będąc już w półśnie usłyszała kroki wchodzącego po schodach Jacquesa oraz ciche zamykanie drzwi w pustym pokoiku Iwony i dziewczynek. Wtedy westchnęła z ulgą... Wielkanocna radość musi powrócić.

„(...) czy jeszcze powróci szept otulonej w ramionach czułości...”

Bartek Paterak

Tak daleko ode mnie do ciebie...

- Yvonne, jesteś?

Widziała, że wywołuje ją... za chwilę popłynie do niej jego ciepły głos zza oceanu... Z pewnością zacznie tłumaczyć, dlaczego tak długo się nie odzywał... będzie przepraszać, że dzwoni tak późno, bo u niej w Polsce już wieczór, i zapewniać, że myśli o niej... zawsze...

Bardzo chciała go zobaczyć, rozmawiać z nim... Też nie zadzwoniła wcześniej, czekając na odpowiedni moment w tym przedświątecznym, cudownie wielkanocnym czasie. Jak wyraziła się wczoraj i przypadkowo jej córka: „bo jajko to życie”... Czy cieszyła się? Na początku, gdy jej przypuszczenia okazały się słuszne - nadchodząca zmiana w rodzinie - przeraziła ją. Dziś, po upływie kilku tygodni, gdy samopoczucie znacznie poprawiło się, nadszedł czas, by powiedzieć mu o nowym, rodzącym się w niej życiu. Innej alternatywy nie brała przecież pod uwagę. Pozostawało jedno pytanie: jak ON przyjmie tę wiadomość?

- Jacques!

- Oh, Cherie gdzie ty się podziewasz? Czemu tak długo nie odbierasz?

- Jestem, kochany!

Uśmiechali się do siebie na odległość. Dzielił ich ocean i szyba ekranu, której dotknięcia i tak nie miałyby wyrazu ani sensu. Niezmienny dreszcz emocji, że znów ją widzi. To ona, jego Yvonne, za którą tęsknił... I wszystko inne, jakże gwałtownie stało się teraz nieistotne, nieważne, jakby nigdy nie istniało i nikomu z nich się nie zdarzyło.

- Yvonne, przepraszam...

W jego spojrzeniu zawarte było błaganie... O przebaczenie za niedopowiedzenia, którego sensu nie wyjawi, nie wypowiedzi w przedwielkanocnym czasie, jak bardzo się zapomniał...

Tak postanowił minionej nocy, gdy leżąc na jej tapczanie w pokoiku na piętrze, próbował sobie wyobrazić rozmowę z nią...

A ona zamiast zapytać, dlaczego przeprasza i za cóż to, roześmiała się, i poprawiając włosy, powiedziała:

- Wiem, wiem, że byłeś bardzo zajęty, wybaczam.

Jak mało prawdopodobnie... z daleka przychodzi rozgrzeszenie bez orzekania o winie - pomyślał. Tak tylko może postanowić Temida, której imię jest miłość...

- Jacques, tęsknię za tobą.

Serce waliło jej w piersiach... Czy dobrze zaczęła? Przecież z tęsknoty i miłości tak wiele się dzieje...

- Ja też Yvonne, bardzo - mówił szybko. Przywiozłem płytkę dla ciebie, nagranie z ostatniego koncertu. Mam pomysł na nową kompozycję. To będzie kołysanka dla ciebie... - i uśmiechał się do niej, siedzącej po drugiej stronie oceanu, a ona przyjęła jego słowa jak utkaną z nich tratwę lub drogę księżycową, po której zaraz przejdzie do niego z radosnym oznajmieniem, z palemką wielkanocną...

- Jacques... to dobrze... skomponuj coś pięknego... bo będziemy mieć dziecko...

Patrzyła prosto w oczy ojcu ich dziecka, które miało przyjść na świat, nie chcąc uronić ani sekundy z jego reakcji na jej słowa, a on zamilkł na parę chwil. Odsunął się od laptopa i siedząc tak wyprostowany, zatopiony w fotelu, powiedział prawie szeptem:

- To cudowne Yvonne... napiszę dla niego kołysankę... I nagle śmiejąc się głośno, zawołał:

- Cherie, co ty mówisz, to jest admirablement³⁹, ja nigdy nie miałem dziecka!!!

Jak wyrazić radość, wypełnioną po brzegi akceptacją, w której nie ma nawet cienia wahania? Patrzyli na siebie uśmiechnięci, trochę zadziwieni nowiną, która została przekazana... Iwona jego spontanicznością, on z zachwytem, którego się też nie spodziewała:

- Chcę cię przytulić, wracaj szybko...

- Zaraz po świętach, zrobiłam już rezerwację.

- Co na to Marika i Marie?

- Nie wiedzą jeszcze, nie mówiłam... chciałam najpierw tobie...

Jacques wyciągnął do niej rękę, dłoń pogładziła ekran, spotkała jej palce, które wyszły mu na spotkanie... Pomyślała, że taką scenę widziała już kiedyś, może w filmie czy też we śnie... i wtedy zauważyła, że Jacques płacze. Zniewalający widok mężczyzny, którego kochała, do łez wzruszonego wiadomością, że zostanie ojcem...

- Jacques, mon amour⁴⁰...

- Przepraszam.

Wytarł oczy, nos i uśmiechając się dalej do twarzy Iwony, zapytał:

- Jak się czujesz, byłeś u lekarza?

- Byłam, byłam, wszystko OK.

- Powiedz mi... mon Dieu, przecież ja nie mam pojęcia... jak to się liczy, tygodnie...

miesiące? Kiedy przyjdzie baby na świat?

Roześmiali się teraz oboje jak dzieci, które nabroili coś, co postawiło ich przed faktem dokonanym i z czym trzeba będzie się zmierzyć, bo... zabawa się skończyła.

- Zaczął się jedenasty tydzień, mam zdjęcie z USG, powinno urodzić się jesienią.

- Co widać na fotce?

- Małą żabeczkę...

Uśmiech nie schodził z jego twarzy. Słuchając kręcił niedowierzająco głową, aż w końcu zapytał:

- Mogę powiedzieć ojcu i Leni? Czy dopiero po twoim powrocie? Nie utrzymam takiej tajemnicy, pozwól mi!

Jego podniecenie i radość, trochę infantylne, jakby otrzymał prezent, którego się nie spodziewał, a o którym skrycie może myślał i na niego czekał, udzieliły się Iwonie:

- Pozwalam, powiedz im. Tylko uważaj, żeby Leni nie zemdlą z wrażenia, tak?

Roześmiał się znów głośno i wstał, mówiąc:

- Yvonne, moja cudowna Yvonne, spotkamy się jutro o tej samej porze, tak? Dbaj o siebie, nie przemęczaj się! - i pochylając się pocałował ekran laptopa, a to było już zupełnie do niego niepodobne.

Schodząc po schodach do kuchni, czuł, że drży, jakby miało stać się ponownie coś nadzwyczajnego, a przecież miał tylko zanieść im tę wspaniałą wiadomość. Wilgotne z przejęcia dłonie włożył do kieszeni szlafroka. Był wczesny ranek, a oni siedzieli już w kuchni pijąc kawę i rozmawiając z cicha.

Pomyślał, że nadejdzie taki czas, gdy on z Yvonne też będą pić kawę, jeść śniadanie, a obok w wózek spać będzie jego syn, albo córka, dla której będzie pisał najpiękniejsze utwory, jakie tylko potrafi.

Wszedł do kuchni, a oni odwrócili się oboje, jakby przeczuwali, że stało się coś nadzwyczajnego... W przeciwnym razie nie śmiały się tak głośno i radośnie, że było słychać go aż na parterze domu.

- Synu? - Jeremi patrzył na Jacquesa pytająco...

- Tato, Leni...

Wzruszenie, łzy przed którymi chciał się bronić, jednak napłynęły do oczu. Leni wstała i patrzyła na niego badawczo, a on powiedział cicho:

- Zostałem ojcem, będziemy mieć dziecko.

O szczęściu trzeba mówić cicho, z radością słodką i delikatną, jak płatek dzikiej róży, by nie spłoszyć małego cudu, który ma wyrosnąć na człowieka...

Obejmowali go oboje, gratulując i pytając kiedy Iwona z dziewczynkami wraca. Leni przygotowywała kawę dla Jacquesa, a on stał ciągle jeszcze naprzeciw Jeremiego i patrząc mu w oczy, szepnął: - Czy mogę być rozgrzeszony?

Jeremi uściskał go ponownie serdecznie.

- Nie pytaj, to cudowna, zbawienna wiadomość, która przyszła do was z najmniej oczekiwanej strony.

„Dziwne są ścieżki szczęścia. Niektórzy potrafią zbudować swoje szczęście niemal z niczego, ocalić i rozdmuchać nawet najbardziej nikłą iskrę, choć wiatr i deszcz.”

Hanna Kowalewska

Charlotte

- Odebrałam pocztę podczas twojej nieobecności.

Mówiąc to, Caroline położyła list, który Charlotte ogarnęła zdumionym spojrzeniem, ponieważ był to list, który przyszedł „normalną” pocztą. Koperta była ofrankowana zagranicznymi znaczkami, na których widniały afrykańskie zwierzęta. List z Kamerunu od Cecylii! Ze wzruszeniem otworzyła korespondencję z Afryki i zagłębiła się w czytaniu, szybko przebiegając wzrokiem linijki drobnego pisma córki.

„Droga Mamo! - pisała Cecilie.

Wiem, że czekasz na konkretną i w miarę wyczerpującą relację ode mnie, więc postaram się jak tylko umiem najlepiej przekazać Ci moje wrażenia, jakie odnoszę po półrocznym już pobycie na tym kontynencie, prawie w samym środku Afryki. Muszę napisać Ci, że to piękny kraj, ale aby poznać Afrykanina, nie wystarczy wraz z nim słuchać rytmicznej muzyki bębnów, podziwiać kolorowe stroje, podglądać dziką przyrodę na safari i zachwycać się pięknem zachodów słońca...Nie wystarczy!

Europejczyk i Afrykanin mają zupełnie inne pojęcie czasu, świata, sensu życia, pracy, a nawet miłości, polityki i wojny. I cóż tu począć? Musimy poznawać tę inną kulturę, szukać wspólnego języka z nimi i nabierać też szacunku do tego co inne... A nie jest to wcale łatwe, o nie!”

- Ależ się rozpisała dziewczyna.

Caroline zagładnęła przez ramię Charlotty.

- Może chciałabyś głośno przeczytać?

- Ależ oczywiście, chętnie.

- Zrobię kawę, a może wolisz herbatę?

- Poproszę herbatę, bo czuję, że mi tu zaraz ciśnienie podskoczy - stwierdziła Charlotte uśmiechając się. - Trzy maczkiem zapisane kartki!

Siedziały w jej przytulnej kuchni, która coraz częściej była miejscem ich rozmów i

ploteczek. Po chwili zapachniało aromatyczną herbatą, a Charlotte kontynuowała czytanie afrykańskich wiadomości.

„Przypominasz sobie mamó, że przed wyjazdem wyszukiwałam wszędzie informacji na temat „Afryki w miniaturze”? Zrobiłam co w mojej mocy, by poznać Kamerun jeszcze przed przyjazdem. Oczywiście, realia okazały się odbiegać od moich wyobrażeń.

Wielu ludzi przybyło do Afryki i zamieszkało tutaj na stałe. I jak wielu nas jest - mamy swoje spojrzenie na wszystko co znajduje się wokół nas. Biali ludzie przyjeżdżają do Afryki, bo są przekonani, że Afrykanina wszystkiego trzeba nauczyć, że Afryka jest bez kultury, religii itp... Na początku pobytu wydaje się nam, że prawie wszystko wiemy, że tak wiele możemy dać! Z czasem otwierają się nam oczy i coraz częściej milczymy.

Jest nas tutaj pięć dziewczyn, jedna siostra zakonna i należymy do Wspólnoty Sióstr Pallotynek. Mamó, wiem, że jesteś ciekawa co robię, więc właśnie chcę się z Tobą trochę podzielić moim życiem i pracą tutaj, w tropikalnym lesie, między Plemionami Baka, Fank, Njem oraz Pigmejami.

O Kamerunie mówi się, że jest wizytówką wszelkich afrykańskich klimatów. I jest to prawda: pustynia, sawanna, busz, tropikalna dżungla i piękne wybrzeże Zatoki Gwinejskiej.

W tym rozległym kraju żyje ponad 230 plemion, które mówią swoimi językami i jest to powodem różnorodnej tradycji, która zmienia się w zależności od plemienia, więc trudno pisać o tradycjach kraju, a urzędowym językiem jest francuski i angielski.

Pamiętasz, jak przed wyjazdem pytałaś mnie dlaczego chcę tu jechać? Tak daleko, upał, węże, skorpiony i miliony mrówek, a do kompletu tych plag dodać trzeba malarię...Mogę Ci teraz powiedzieć, że to zgromadzenie mnie wysyłało, ale ja od zawsze chciałam pojechać do Afryki, a jeśli się bardzo chce, to ziemia i niebo sprzyjają człowiekowi, a Pan Bóg wysłuchuje. Zdziwiłaś się, czytając? Tak właśnie teraz myślę... Każdy z nas przynajmniej raz w życiu postawił sobie pytanie: co jest najważniejsze w życiu? Ja chciałabym jak najpożyteczniej wykorzystać czas, który mi dało przeznaczenie...Pojechałam w tę stronę świata, aby nauczyć się czegoś od ludzi, których spotkam, by móc później podzielić się tym co wiem, i co mam. Może napiszę kiedyś o tym książkę?

Południowa i wschodnia część kraju to lasy tropikalne i tutaj właśnie żyje i pracuje jedna ze Wspólnot Sióstr Pallotynek. Wschód jest jedną z najbiedniejszych, zaniedbanych części Kamerunu. Połączenia między miastami i wioskami są niedogodne, po prostu brakuje dobrych dróg. Mając dobry samochód terenowy istnieje prawdopodobieństwo, że człowiek penetrując dżunglę w porze deszczowej czy też suchej, szczęśliwie dotrze do celu...

Jesteśmy prawie na równiku czyli dzień i noc mają po 12godz. Słońce wstaje około 6

a zachodzi o 18. Mamy cztery pory roku czyli tak jak w Polsce, ale tylko liczba 4 łączy...duża pora deszczowa trwająca od sierpnia do października, duża pora sucha trwająca od listopada do stycznia. Potem dla odmiany mała pora deszczowa od lutego do kwietnia oraz mała pora sucha od maja do lipca. Nie ma wielkiego wyboru: deszcz lub susza. Błoto koloru cegły po kostki w porze deszczowej i tumany kurzu w porze suchej. Aktualnie zawitała do nas pora deszczowa.

W tym tropikalnym lesie zwierząt „jak na lekarstwo”; specjaliści od ochrony środowiska biją na alarm z powodu katastrofalnego przeredzania dżungli, ale tylko biją... a las jest wycinany i ogromne drzewa każdego dnia są wywożone do portu w Douala. W naszych stronach żyje plemię Baka - Pigmeje, czyli ludzie lasu. Jak długo będą ludźmi lasu?

Mam nadzieję, mam, że Cię nie zanudzam. Zaraz napiszę coś weselszego. Spodziewałam się biedy i nędzy na każdym kroku, a tymczasem... Tu jest zupełnie inaczej. I bynajmniej nie mam na myśli majątkowości mieszkańców, a raczej bogactwo ich mentalności. Być może Doume nie przypomina 5th Avenue w Nowym Jorku, ale nie jest także slumsem Rio de Janeiro. Faktem jest, że ludzie mieszkają w bardzo skromnych warunkach, ale często jest to ich wybór. Od pokoleń mieszkali w „skleconych” chatkach i cywilizacja w europejskim znaczeniu, nie wmówi im, że bieżąca woda w domu powinna być standardem. Budynki misyjne, zdecydowanie odróżniają się od pozostałych. Są jakby bardziej „nasze”, niż tutejsze. Kameruńczycy widzą, że można żyć wygodniej, ale im odpowiada aktualny stan ich domów. Żyją w tych chatkach, dopóki te się nie rozpadną, bo jakoś nie mają czasu myśleć o remontach. Najwięcej uwagi poświęcają relacjom z innymi. Wolne chwile (czyli prawie całe dni) przeznaczają na rozmowy z sąsiadami, rozmowy o sąsiadach, odwiedzanie sąsiadów albo przyjmowanie sąsiadów. Monotonne? Nie bardzo, bo sąsiadów jest bardzo wielu! Bez obrazy, ale nastawiłam się na kompletne zacofanie mentalne. Obstawiałam co najwyżej XIX wiek we wszechogarniającym buszu. A tu wszędzie są drogi, już coraz częściej asfaltowe i każdy ma komórkę, a w domu nie ma prądu. Kobiety chodzą w szpilkach chociaż tu nie ma chodników, a w mieście można kupić wszystko, tylko trzeba mieć cierpliwość do sprzedawcy zajętego popołudniową sjeścią.

Mamo, nie będę ukrywać... misja katolicka nie była moim marzeniem. Miałam o niej mylne przekonanie. Wydawało mi się, że nawracanie ludzi na wiarę, to podstawa jej istnienia. Tymczasem, misja opiera się na nauce i dbaniu o zdrowie. I oba te cele, wbrew pozorom, są spełniane bardziej po europejsku, niż afrykańsku. Przedszkolaki dorastają w „królestwie” siostry Fabiany. Mają piękny ogród z karuzelami, huśtawkami i drabinkami, salę zabaw z mnóstwem maskotek, przestronną jadalnię i każda grupa wiekowa ma swoją salę z

kolorowymi tablicami. W szkole, w którą siostra Judyta wkłada całe swoje serce, każdy ma zeszyty, książki i kredki. Dzieci siedzą w ławkach, mają na sobie identyczne mundurki i tak jak w przedszkolu dostają obiad trzy razy w tygodniu. Dzieciom takie dbanie o ich rozwój bardzo odpowiada. W ośrodku zdrowia nie byłam, ale ponieważ mieszkam z siostrą Mariettą, jestem przekonana, że tam każdy pacjent ma swoje łóżko i dostaje leki, jak w normalnym szpitalu. Tak więc wiele rzeczy pozytywnie mnie tu zaskoczyło.

Są też sytuacje, w których wciąż czuję się dziwnie. Na przykład, gdy idę do szkoły, mijam pewną budowę, gdzie pracuje dwudziestu, może trzydziestu budowniczych, cieśli itd. Gdy tamtędy przechodzę, wszyscy przestają pracować i po kolei krzyczą: „Oliwia!” Rozumiem, że zwracają na mnie uwagę, w końcu białych nie spotyka się tu na każdym kroku, ale dlaczego mówią na mnie Oliwia? Jest to dla mnie niepojęte. Przywykłam już do tego, że dzieci na mój widok mówią „blanche”. Zdziwiło mnie jednak, kiedy niedawno pewna dziewczynka z przedszkola, z którą znam się z imienia, na mój widok spokojnie powiedziała „tu es trop blanche!”, co znaczy „jesteś zbyt biała!” Zbyt biała?! Miałam ochotę jej odpowiedzieć, że jej karnacja też rzuca się w oczy. Ale tutaj to nie byłaby prawda. Fakt, jestem zbyt biała i teraz nawet mnie to cieszy. Nie mam pamięci do twarzy, a tutaj każdy się ze mną wita, więc nie boję się, że przejdę obok jakiegoś znajomego i go nie zauważę. On zauważy mnie na pewno. Kończę już Mamo, nie martw się o mnie! To ja raczej powinnam o Ciebie... Twoje nagranie dostałam. Jak przykro mi z tego powodu, ale nie martw się już, widocznie tak miało być. Czekam na wiadomość od Ciebie, całuję mocno i przytulam - Twoja Cecilie

PS. Mamo! Jak napisał Bernard Shaw: „miłość upiększa każde romantyczne przeżycie i usprawiedliwia każde szaleństwo.” Pamiętaj tylko to, co było piękne!

Caroline uśmiechała się do ostatnich słów napisanych przez Cecilie. Charlotte skończyła czytanie i przez dłuższą chwilę patrzyła na kartki listu i kolorową kopertę, a potem powiedziała:

- A może powinnam pojechać do niej? Przecież ona tam nikogo nie ma...
- Jeden pomysł za drugim! Nie nadążę za tobą!

Caroline słuchała przyjaciółki z niedowierzaniem i pukając się w czoło wyrażała znanym gestem absolutną dezaprobatę dla jej słów. - I co tam chciałybyś robić?

- Nie wiem. Tak mi przyszło do głowy... Może mogłabym pomóc w tej szkole, albo namalować serię obrazów z dżungli... i namówiłabym Cecilie do powrotu.
- Listownie też możesz ją namawiać, a w Italii szkicować.

I Caroline mówiła dalej z dłuższą nieukrywaną irytacją:

- Czy my dla ciebie nic nie znaczymy? Ja, Alain i nasze plany? Zapomniałaś o Wenecji?

- Pardon⁴¹. - Charlotte westchnęła i złożony list córki schowała go do torebki. Wstała i obchodząc stół dookoła podeszła do Caroline i objęła ją.

- Wybacz mi, szalonej i niewdzięcznej. Oczywiście, że jesteś dla mnie ważna. Zapomnij proszę moje pomysły. Pojedziemy do Italii i będziemy się dobrze bawić.

- A Alain?

- Nie pytaj, nie wiem jeszcze, nic nie wiem. Wczoraj wieczorem byliśmy na spacerze. Szliśmy bulwarem, czytał swoje poezje, chciał mnie pocałować...

- O, nie wiedziałam, że coś pisze?

- Nie chcąc sprawić mu przykrości pochwaliłam, ale nie zachwyciło mnie. Ani jego wiersze, ani zachowanie. Czuję, że jest dla mnie trochę za szybki. Nie wiem, co mam z tym fantem zrobić?

- Nic. Zacząć pakować neseser do Wenecji!

* * *

Po wyjściu Charlotte, telepatycznym zrządzeniem losu zadzwonił Alain i Caroline dała upust swojemu rozdrażnieniu.

- Mógłbyś być bardziej cierpliwy? Jak tak dalej pójdzie, to ona nam do Kamerunu poleci!

- Zwariowałaś?

- Ja? A ty na głodzie jesteś?

- Nie bądź wulgarna. Zakochałem się w niej...

- To opamiętaj się trochę. Ona jeszcze nie jest gotowa.

*Nie warto porównywać swojego życia z innymi.
Nie mamy żadnego prawa, aby wiedzieć
czym jest podróż życia dla tych, co żyją wokół nas...*

Pocztówka z Wenecji...

- Miałam nadzieję, że już jesteś gotowa, a ty co robisz?

Caroline weszła do pokoju, którą dzieliły z Charlotte. - Wracam od Alaina, już czeka na nas w holu, przecież planowaliśmy wspólne wyjście do miasta?

Charlotte siedziała przy biurku. Miała przed sobą kartki papieru listowego z ryciną przedstawiającą sztyl hotelu Astoria i widokówkę z Placem św. Marka, którą kupiła podczas wczorajszego spaceru.

- Jesteś specjalistką od robienia niespodzianek, naprawdę! - A może poszlibyście sami? Właśnie miałam zamiar napisać kilka słów do Cecilie, a później poszukać poczty. Widząc skrzywioną minę przyjaciółki, uśmiechnęła się: - nie wiem, jak długo pójdzie korespondencja do Kamerunu. Może zdążymy wrócić do domu, a wiadomość ciągle będzie w drodze?

Caroline była niezadowolona, ale widziała, że Charlotte nie ustąpi.

- Długo będziesz pisać? Może poczekamy na ciebie w kawiarni pod filarami?

- Daj mi godzinkę. Chciałabym się jeszcze wykąpać, przebrać i spędzimy razem wieczór, dobrze?

- Ok, ale streszczaj się, tak? Alain też czeka...

Charlotte westchnęła. Ostatnio przestała lubić komenderowanie przyjaciółki, a tym bardziej narzucające się zachowanie Alaina. Wszystko wskazywało na to, że z wyjazdem do Wenecji wiązał wiele nadziei dotyczących zbliżenia się z do niej. Żaden mężczyzna, którego знаła w swoim życiu nie był natarczywy, jak on i podczas dzisiejszego wieczoru postanowiła jasno określić mu granice ich znajomości. Najpierw jednak list do córki...

Moja kochana Cecilie!

Swoim długim listem sprawiłaś mi olbrzymią radość! Bardzo Ci dziękuję! Przyznam, że jego fragmenty trochę mnie uspokoiły, ale niezależnie od tego zrodził się w mojej głowie pewien pomysł. Ten jednak wyjawię Ci pod koniec listu.

Jak widzisz, wybrałam się z parą znajomych do Wenecji. Pamiętasz Caroline, prawda? Jest też z nami wspólny znajomy, Alain. Miałam nadzieję na nową, ciekawą znajomość, ale niestety rozczarowałam się. Jego zachowanie rozwiało moje złudzenia i nie jest to mężczyzna

warty mojego dłuższego opisu. Jesteśmy w tym pięknym mieście od trzech dni, mieszkamy w korzystnie usytuowanym miejscu, bo zaledwie tylko kilkadziesiąt metrów, dosłownie za rogiem wąskiej uliczki, dzieli nas od Placu św. Marka. Co prawda hotel oznaczony jest tylko dwoma gwiazdkami i nocleg w nim nie przewiduje śniadania, tym samym nie jest zbyt drogi, lecz schludny. Restauracja w nim też sympatyczna, nie wspominając już o wylewności Włochów.

Oczywiście największą atrakcją jest Plac św. Marka, bazylika również jego imienia, oraz Palazzo Ducale czyli słynny Pałac Dożów. Przedwczoraj poświęciliśmy mu czas i zwiedziliśmy pomieszczenia pałacowe. Obecnie w gmachu znajduje się muzeum Museo dell'Opera, ale najpiękniejszy jest widok zewnętrzny. Trzykondygnacyjna budowla z renesansowym dziedzińcem i arkadowymi loggiami. Cudowne i przechadzając się tam czułabym się jak renesansowa dama.

Niedaleko jest słynna promenada Riva degli Schiavoni, a przy niej znajduje się port i główna przystań gondoli. Wczoraj popłynęliśmy jedną z nich przez kanał La Grande, ale przyznać muszę, że nie dla mnie byłoby zamieszkanie w Wenecji ze względu na panującą tam dużą wilgotność powietrza. Podobno, zależnie od pór roku miasto jest stale podtapiane, a tynki fasad domów stojących wzdłuż kanałów są bardzo zniszczone. Miasto, jakich wiele na świecie; posiada dużo wspaniałych zabytków i... turystów, którzy przyjeżdżają, by zwiedzać i to wszystko.

Na koniec córeczko, napiszę Ci o moim pomysle. Chciałabym przyjechać do Ciebie... Zobaczyć, jak tam, w Afryce naprawdę jest. Oczywiście wierzę w to, o czym pisałaś, ale bardzo też tęsknię za Tobą! Po powrocie z Wenecji zorientuję się, jaka jest możliwość przyjazdu do Was. Może uda mi się sprzedać kilka moich obrazów, to zysk z nich przekazemy na Waszą misję, dobrze? Mam też trochę oszczędności, które mogą służyć Waszej sprawie i mieszkańcom Kamerunu.

Całuję Cię mocno i przytulam - mama

Jeszcze pocztówka, ale to już później. I tak dziś nie znajdzie poczty. Zostawiła pisanie na stole i poszła przygotować kąpiel, bo czas płynął. Obiecała przecież Caroline przyjść za godzinę.

Leżąc we wannie, zamyśliła się... W ostatnich dniach często wspominała Jacquesa. Od dnia ich rozstania nie otrzymała żadnej wiadomości. O terminach jego koncertów czytała w prasie. Czy koncertował już we Włoszech, a może w Wenecji? Marzyła, że spacerują tutaj razem wąskimi uliczkami, a w najstarszej z pięknym, nastrojowym wnętrzem Caffè Florian pod arkadami, delektują się jedząc lody i prawdziwe, włoskie tiramisu. Może poszliby też do

teatru La Fenice... Z Jacquesem wszystko byłoby inaczej. Wyobrażała go sobie ponownie na scenie, słyszała jego muzykę i te wspomnienia bolały niczym dotyk niezabliźnionej dotąd rany.

Dlatego najlepszym wyjściem będzie wyjazd do Cecilie! Tak postanowiła i o powziętej decyzji nie powie nikomu, Caroline też nie! Kolejne dni z pewnością przyniosą wiele nowości. Może jeszcze namaluje jakiś obraz, którego nikt nie zobaczy, bo Charlotte Dubois opuści Europę. Wczoraj na placu zrobiła kilka szkiców, które Caroline pochwaliła, że są wspaniałe, gdy Alain patrzył dziwnie zazdrośnie.

Woda we wannie stygła, ale kąpiel doskonale wpłynęła na poprawę jej nastroju. Jeszcze parę minut... Powinna wstać, ubrać się i pójść na spotkanie z nimi, bo przecież czekają.

Nie usłyszała odgłosu otwieranych drzwi i kroków wchodzących do pokoju...

* * *

Alain Jourdan rozglądając się po pokoju i nie widząc Charlotte, podszedł do stolika pod oknem, na którym leżała jej torebka, koperta zaadresowana do Cecilie, napisany do niej list... widokówka...

- Halo Madame!

Uchylił drzwi łazienki i uśmiechnął się szeroko do siedzącej we wodzie Charlotte.

- Mon Dieu, Alain, co ty tu robisz?

- Przyszedłem po ciebie. Dostałem od Caroline wasz klucz, bo zapomniała oddać go w recepcji i jestem!

- Wyjdź, proszę, za chwilę będę gotowa.

Uśmiechnęła się leciutko, lecz on przeciwnie, zamknął za sobą drzwi łazienki i podszedł bliżej.

- Ma Cherie Charlotte, bardzo nieładnie jest mieć przed przyjaciółmi tak wielkie tajemnice - powiedział patrząc świdrującym wzrokiem, jakiego dotąd u niego nie znała. Woda w wannie była już prawdziwie zimna, ale czy można spocić się w zimnej kąpeli? Takie właśnie teraz miała wrażenie...

- Mon Cher Alain, chyba nie ładniej jest czytać cudze listy - spróbowała ratować sytuację. - Zostaw mnie proszę, porozmawiamy.

- Dlaczego mam cię zostawić, moja śliczna? Przecież chciałaś, żebym był zawsze dla ciebie, kiedy jesteś smutna, więc jestem! A ty napisałaś jakieś bzdury i chcesz uciekać do Afryki?...

Charlotte sięgnęła po ręcznik wiszący najniżej, okryła się nim i odepchnęła stojącego Alaina, chcąc wyjść z wanny.

- Cherie! Mogłaś z tym grajkiem, a ze mną nie chcesz?

Złapał ją za rękę i popchnął z powrotem do wody. Upadła uderzając ramieniem o wykafelkowany brzeg wanny i krzyknęła coś, czego nie zrozumiał. Próbowwała znów podnieść się... niezdarnie, co jej się nie udało... zatrzepotała dłońmi... i osunęła się we wodę całym ciałem.

Spróbuję utrzymać się na powierzchni tego jeziora... muszę przymknąć powieki, bo dzień jest taki piękny, a słońce świeci mi właśnie prosto w oczy... Ktoś woła... tak, to Cecilie... za chwilę, córeczko...

Alain stał jeszcze chwilę i patrzył czekając aż się wynurzy... Myślał, że chce go po prostu wystraszyć, ale nie poruszyła się. Wyłowił jej rękę, która była chłodna, śliska i upadła zaraz na dno wanny, gdy ją puścił... Trzęsącymi się z przerażenia rękami próbował wyciągnąć ją z wody, a gdy mu się już to udało, położył Charlotte na łazienkowym dywaniku i złapał za słuchawkę hotelowego telefonu:

- Pronto! Sto chiamando dal Hotel Astoria in Piazza San Marco. Nella stanza 47 a piano secondo successo un incidente! Vi prego, venite subito42!!!

Głos w telefonie jeszcze o coś pytał, ale Alain przerwał połączenie. Jeszcze raz spojrzał na niewysłany list i pocztówkę... Nawet, jeśli go zniszczę - myślał gorączkowo, to i tak nic nie zmieni... Przecież nie chciałem...

W swoim pokoju szybko spakował podróżną torbę, wymeldował się w recepcji, tłumacząc nagłym telefonem z Francji wzywającym go do powrotu. Błagając w myślach swojego boga, aby Caroline nie stanęła mu teraz na drodze, zamówił taxi, a odjeżdżając w kierunku dworca kolejowego, usłyszał sygnał nadjeżdżającego pogotowia ratunkowego... W Rzymie kupił bilet na najbliższy lot do Maroko.

„Bóg nie może być wszędzie, dlatego stworzył Anioły...”

Anna Strzelec

Już wiosna...

Poranne opowieści ptaków w ogrodzie i ich wieczorne świergolenie na dobranoc powitały naszą nową porę roku, która nadeszła niespodziewanie. Niczym wiosenna burza także i wiadomość, która postawiła nas na nogi i radośnie umiliła czas Wielkanocy i cały następny tydzień. Zaczęłam przygotowania związane z powrotem Iwony i dziewczynek, Jeremi kontynuował swoje zajęcia na uczelni, a Jacques poleciał na kilka dni do San Francisco, obiecując wrócić na czas przybycia Iwony.

Pewnego wieczoru, zaraz po świętach Patrycja wywołała mnie na skype. Patrzyłyśmy na siebie z porozumiewawczymi uśmiechami, bo u niej, w sąsiednim pokoju Iwona rozmawiała z Jacquesem i moja przyjaciółka dawała mi o tym znać na migi, a ja jej, by zamknęła drzwi, to pogadamy.

- Gratuluję - powiedziała wreszcie, pokazując mi uniesiony w górę kciuk.

- Dziękuję! Od kiedy wiesz?

Musiałam o to zapytać z zazdrośnej ciekawości, czy nie była pierwszą i przede mną, która dowiedziała się, że ponownie zostanę babcią.

- Od wczoraj. Wszystko OK, tylko trochę było jej niedobrze. Myślałam, że to wpływ podróży, zmiany klimatu... Szczerze mówiąc podejrzewałam... ale jest dorosła i wie, co robi.

- Ależ my wszyscy bardzo się cieszymy - prawie krzyknęłam, zdziwiona, bo Patrycja powiedziała tak, jakby ciąża Iwony mogła być uznana za fakt co najmniej dziwny i niepożądany.

- A on?

- Jest zachwycony!

- To super, cieszę się razem z wami. Wybieramy się właśnie do miasta, dziewczynki są już gotowe. Mają w planie ostatnie zakupy, bo pojutrze odlatują. Mam nadzieję, że będą miło wspominać pobyt u nas - kończyła krótką rozmowę ze mną i odniosłam wrażenie, że skontaktowała się dziś tylko dlatego, by dowiedzieć się, czy ja wiem o stanie Iwony. Może też mi trochę zazdrościła, bo miała tylko jednego wnuka? Dziecinada.

- Z pewnością skontaktujemy się z wami jeszcze przed ich odlotem, dobrze?

- Oczywiście, pa, pa! - powiedziała i pomachała mi dłonią posyłając całusa.

Zamknęłam komputer i obróciłam się do Sally, która siedząc na kanapie cichutko zaskomlała i powiodłam wzrokiem w stronę obiektu jej zainteresowania. W drzwiach pokoju stała Steffi. Wyglądała, jak ozdoba zdjęta z bożonarodzeniowej choinki, chociaż ten czas dawno już mieliśmy za sobą. Roześmiałam się serdecznie.

- Cześć! Zapomniałaś się przebrać?

Steffi odpowiedziała uśmiechem i usiadła obok mojego psa. Sally, która po raz pierwszy dostała takiego „zaszczytu”, posunęła się na sam koniec kanapy.

- Co ci się stało, że wróciłaś?

Cieszyłam się bardzo widząc ją znów w dobrej formie i prawie podskakiwałam z ciekawości, czemu zawdzięczam wizytę mojej siostry z zaświatów.

- Dziwne pytanie stawiasz. Zakończyłam moją misję w Europie i wróciłam. Otrzymałam nowe zadanie... - powiedziała i wygładziła błękitny woal zarzucony na ramionach.

Włosy miała jasne, bardziej platynowe niż poprzednio. Jaśniała spokojem i radością, której opisać nie zdołam. Pomyślałam, że może tak właśnie wyglądał w biblii Anioł Zwiastowania, ale zaraz zbeształam w duszy samą siebie, za herezję, jaka przysłała mi do głowy.

- Mów, błagam. Wprawdzie domyślałam się troszkę celu jej przybycia, ale chciałam przecież usłyszeć tę wiadomość od niej.

- Bądź cierpliwa - Steffi przekazywała mi prawie szeptem swoje posłanie. - Ten rok będzie wypełniony po brzegi niespodziewanymi zdarzeniami... mieszaniną szczęścia i łez... a ja dostałam misję, która mnie niezmiernie ucieszyła... Powierzono mi opiekę nad twoją córką i jej maleństwem...

Rozbeczałam się, a Sally spojrzała na mnie ze zdziwieniem, po czym zeskoczyła z kanapy i nic nie rozumiejąc z naszego dialogu, poszła do kuchni. A właściwie, kto to może wiedzieć, czy tak zupełnie nic? Jessie wszystko rozumiała i jeśli w zaświatach spotkamy się kiedyś wszyscy, razem z naszymi ukochanymi czworonogami, to opowieści nie będzie końca. Wierzę w to.

Chciałam jeszcze o coś Steffi zapytać, ale ona patrząc na mnie z czułością, uśmiechnęła się i wstając powiedziała:

- Idę, muszę się tutaj na nowo „zaaklimatyzować”.

I jakby zgadując moje dalsze myśli, dodała: - Nie mogę ci nic więcej powiedzieć, życie przyniesie wam przeróżne niespodzianki.

- Boziu drogi, mam nadzieję, że nie bliźniaki - i sięgnęłam do biurka po chusteczkę, a gdy się odwróciłam już jej nie było...

Nie zauważyłam, że podczas naszej rozmowy zapadł zmierzch. Otworzyłam tarasowe drzwi i usłyszałam pogwizdywanie kardynała z czerwonym brzuszkiem, który chwalił tę cudowną porę roku, gdy po zimowym śnie natura zaczyna odradzać się i zakwitać. Powietrze znów pachniało waniliowo i potwierdzało, że moja siostra była tu naprawdę.

*„Jedyne, co można zrobić dla dzieci,
to wychować je;
nie można przeżyć za nie życia.”
Elizabeth Taylor*

Nic dwa razy się nie zdarza?

Kwiecień stał się dla nas miesiącem powrotów. Jako pierwszy, wczoraj zjawił się Manfred. Allisson odwiedziła mnie przed południem, gdy odpoczywał jeszcze po podróży. Oprócz wspólnie zjedzonego z nami wielkanocnego śniadania, odwiedzała mnie rzadziej. Trudno było zgadnąć jaki był tego powód, a nie chcieliśmy z Jeremim też narzucać się z naszym towarzystwem. Nawet Felix, kot Racheli częściej przebywał w tamtym domu, ale nie mogłam mieć o to pretensji, bo był tak samo kotem Allisson, jak spadkiem po mojej cioci.

Przyszła uśmiechnięta i z tacą orzechowych, jeszcze ciepłych makaroników, prawdopodobnie upieczonych na powitanie Manfreda, a ja zaproponowałam kawę, a gdy była gotowa, rozsiadłyśmy się w pokoju. Miałam nadzieję, że dowiem się, dlaczego przez ostatnie kilkanaście dni wołała samotność, lecz Allisson częstując mnie ciastkiem, zaskoczyła stwierdzeniem:

- Niesamowita nowość! I wcale nie pochwaliliście się!

Uśmiechnęłam się też uprzejmie i chwając pyszny makaronik, dodałam: - masz na myśli Iwonę?

Twarz Allisson przybrała dziwny wyraz i pokręciła przecząco głową. Patrzyła podejrzliwie, a mnie zrobiło się jakoś nieswojo, bo ledwo rozpoczęta rozmowa przybrała dziwny obrót.

- Nie Iwonę, mamę Rachel mam na myśli... - powiedziała patrząc dalej badawczo, a mnie kamień spadł z serca i ucieszyłam się, że temat będzie nareszcie omówiony i jasny dla wszystkich.

- Mama odwiedziła cię, jak wspaniale!

Allisson potaknęła, lecz bez uśmiechu.

- Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś, że takie objawienia zdarzają się w waszej rodzinie?

Reakcja i indagowanie mnie przez Allisson było co najmniej dziwne, ale zrozumiałwszy, że spotkanie z matką wywarło na niej ogromne wrażenie, powiedziałam

spokojnie:

- Moja droga, gdy Rachel odwiedziła mnie pierwszy i jak dotąd jedyny raz, byłam podobnie, jak ty zaskoczona. Poza tym przy pożegnaniu, powiedziała mi, że wpadnie do ciebie... Nie upoważniła mnie ani słowem, abym mogła tego rodzaju wiadomości przekazywać innym członkom rodziny.

Teraz Allisson uśmiechnęła się i poprosiła o następną filiżankę kawy. Zanościło się na dłuższą pogawędkę i miałam nadzieję, że nikt nam w niej nie przeszkodzi.

- Widziałaś mamę?

- Za pierwszym razem nie, tylko ją słyszałam i chociaż nie jestem bojaźliwa, przyznam, że zrobiło mi się niesamowicie. Pierwszą myślą było, że ktoś chce mnie jakimś sfigowanym nagraniem przestraszyć. Chyba krzyknęłam, ale ona zaraz mnie uspokoiła. Powiedziała, że wraca od ciebie i chciała u mnie zobaczyć, jak się czuję. Popłakałam się i czułam, jak mnie głaszcze po włosach... To było również niesamowitym uczuciem... bo poznawałam jej dotyk i pachniała perfumem, który kiedyś, dawno temu kupiliśmy podczas pobytu w Meksyku. Gdy Manfred wyjechał, przychodziła kilka razy wieczorem gdy wróciłam z pracy... I wtedy mogłam ją widzieć.

Allisson opowiadała i obie miałyśmy łzy w oczach.

- Dlatego też nie odwiedzałaś mnie?

- Tak, czekałam na nią, kiedy znów się zjawi...

Teraz przyszła mi do głowy myśl o możliwości dowiedzenia się, czemu Rachel i Steffi to robią? Co znaczą ich odwiedziny i misje, które otrzymują do wypełnienia na ziemi?

- Mogę zapytać... dużo rozmawiałyście ze sobą?

Allisson pokiwała potakująco głową: - tak, sporo. Ona martwi się o mój związek z Manfredem. Nie jest pewna, czy to dobry wybór.

Przypomniałam sobie ubiegłoroczną rozmowę ze Steffi. To ona przecież wskazała Manfreda, jako odpowiedniego mężczyznę dla Allisson. Czyżby się myliła? Jest prawdą oczywistą, że ludzie zmieniają się, gdyż absorbuje nas praca, dom, codzienność, atakuje rutyna... Niepielęgnowane uczucie blednie, powszednieje, niby kochamy, ale nasz zachwyt tą drugą osobą słabnie... Jak podsycać płomień miłości, by jego światelko było widoczne nawet w ciemnościach nocy? Allisson i Manfred nie mają dzieci, żyją tylko dla siebie, finansowo doskonale, więc komu powinno być lepiej, jak nie im, we dwoje? A jednak Rachel widzi jaśniej...

- No cóż, - powiedziałam - każda matka martwi się o swoje dziecko, nawet i ta, z zaświatów. Powinnaś przemyśleć jej uwagi. A tak nawiasem mówiąc; pytałaś, dlaczego

przychodzi?

Zamyślona Allisson znów kiwnęła potakująco głową:

- Odpowiedziała dziwnie, że w poczekalni czeka parę spraw do załatwienia... Czyżby tak zwany Czyściec był tą poczekalnią? A po wykonaniu nadanych misji i zadań może pofrunąć coraz wyżej, do Nieba?

Przyznam, że słuchając ostatnich słów Allisson zrobiło mi się trochę nieswojo. Siedzieliśmy obok siebie na kanapie, więc objęłam ją mówiąc:

- Wiesz, odnoszę wrażenie, że wkroczyliśmy w temat zbyt trudny dla nas do zgłębienia. Zostawmy go i cieszymy się każdą Ich wizytą, dopóki mogą nam o czymś donieść lub poradzić, bo wszystko wskazuje na to, że właśnie w tym celu są między nami.

- Dlaczego używasz liczby mnogiej? - zapytała Allisson.

- Myślę, że mogę ci teraz już powiedzieć, choć nikt inny o tym nie wie, a Jeremi trochę się domyśla. To stara, rodzinna historia związana z moją siostrą, Steffi.

- I ona też?

Uśmiechnęłam się: - tak, i już od dawna.

Drzwi wejściowe trochę trzasnęły, a Sally z radosnym szczekaniem zerwała się ze swojego legowiska na znak, że Jeremi wrócił z pracy. Przegadałyśmy z Allisson dużo czasu, ale ta rozmowa była nam obu bardzo potrzebna. Oni przywitali się, ja pożegnałam mojego gościa i pobiegłam do kuchni podgrzewać obiad, który został nam od wczoraj.

- Masz załzawione oczy, Cherie? - zapytał Jeremi przytulając mnie, trzymającą pęczek pietruszki w dłoni i zabierającą się do krojenia. Odłożyłam ją i obróciłam się do niego:

- Nic strasznego, odrobina wspomnień i wzruszenia. Od jutra zapanuje tutaj wszędzie radość! Odbieramy z lotniska nasze dziewczyny!!!

* * *

Jest taki piękny wiersz, do którego ktoś napisał muzykę i utwór stał się poezją śpiewaną, o tym, że „nic dwa razy się nie zdarza”⁴³. Treść wiersza jest prawdziwa i ogromnie wzruszająca, ale nam, w Port Jefferson zdarza się dziś dzień wspaniały, i podobny do tego, który przeżyliśmy przed kilkoma miesiącami.

Za godzinę przylatuje z Berlina samolot z Iwoną i jej dziewczynkami. Jak przekazała mi dziś rano Patrycja, rozstanie z Gdańskiem było trochę nasączone wilgocią, i to nie tylko ze względu na padający tam deszcz... Rozważana możliwość zaadoptowania i transportowania za ocean białego kotka, mieszkającego na działce, z którym dziewczynki bardzo się zaprzyjaźniły, zakończyła się solenną obietnicą Patrycji: będzie dbać o kotka, jak o własne

dziecko! A jeśli następnym razem ktoś do nas w odwiedzinach przyjedzie, to z pewnością i z kotem w koszyku.

Jechaliśmy więc z Jeremim w stronę City Nowego Jorku i lotniska J.F.Kennedy, na którym miały wylądować nasze trzy dziewczyny. A może cztery? Czy Iwona zna już płęć dziecka? W dzisiejszych czasach tak wiele badań stało się możliwych... Wczoraj wrócił Jacques z San Francisco oznajmiając nam, że udało mu się wziąć cały tydzień urlopu, by pomieszkać trochę dłużej z nami. Było to elegancko powiedziane, bo przecież nie „nas” tak naprawdę miał na myśli. Wyglądał lepiej niż ostatnim razem z okazji Wielkiej Nocy. Prawdopodobnie stres, który męczył go - ustąpił, a wiadomość o ojcostwie - uszczęśliwiła. Przed południem udał się do pobliskiej kwiaciarni i przywiózł trzy bukiety białych róż. Wzruszyliśmy się oboje, Jeremi i ja, ale Jacques trzymał się dzielnie. Dwa z nich postawił w living roomie, trzeci zaniósł do pokoju, który zajmowały przed wyjazdem dziewczyny. Czekaliśmy wszystkich ogromne przeżycie związane z ich powrotem. O takich wydarzeniach czyta się w powieściach, wieczorami przy kominku, ale gdy dzieje się naprawdę, serce bije radośnie niczym perkusja najlepszej klasy.

Na świetlnej tablicy zobaczyliśmy informację, że samolot z Berlina wylądował, a po paru minutach podróżni zaczęli ukazywać się w wyjściowym tunelu. Jeremi stał spokojnie, ale ja prawie podskakiwałam wyciągając szyję, chcąc wśród obcych dojrzeć znajome buzie.

- Są! - zawołał Jeremi. Jemu też udzieliło się moje podniecenie.

- Jak one ślicznie wyglądają - szepnęłam i ruszyłam do przodu, aby je powitać, a Jeremi, podobnie jak w ubiegłym roku, gdy przyjechały do nas po raz pierwszy, odegrał rolę sprawnego bagażowego.

- Babciu, babi, Remi - wołały dziewczynki na wyścigi, rzucając nam się na szyję. Iwona stała obok wzruszona, z pytającym spojrzeniem... Uściskałam ją zaraz i spędzając jej troskę z oczu, powiedziałam: - jest, jest, czeka na ciebie w domu, bo nie zmieścilibyśmy się przecież w aucie. Jeremi uściskał ją i szepnął do ucha: - gratuluję wam - a ona roześmiała się serdecznie.

Jak to po przylocie bywa, dzięki pomocy Jeremiego walizki znów znalazły się na wózku i po zapakowaniu się w piątkę do samochodu ruszyliśmy w kierunku Port Jefferson.

Iwona połączyła się z Jacquesem: - Jesteśmy... oui, oui, w komplecie... uśmiechała się do słów Jacquesa. Myślę, że za godzinę... à bientôt!

I rozpoczęła się na wyścigi radosna paplanina moich wnuczek: - Babciu! Coś mamy dla ciebie! Przywiozłyśmy od cioci Patrycji książkę z przepisami „kulturalnymi” na wszystkie

okazje - zaczęła Marika.

- Kulinarnymi! - poprawiła Marysia. - Poczekaj, ja powiem, bo ty znów coś przekręcisz. Babciu, teraz w Polsce jest taka „kuchenna moda” na dwóch facetów-kucharzy. Jeden chyba pochodzi z Francji, nie wiem dokładnie, ale nazywa się Pascal, a ten drugi to z Polski, Karol Okrasa. Razem wydali taką świetną kucharską książkę z przepisami i obrazkami. Tam są też francuskie potrawy i ciocia Patrycja dała nam dla Was w prezencie. Marysia opowiedziała jednym tchem, a Marika dodała:

- Babciu, dla ciebie też coś kupiliśmy, ale...

- Mamo, ona zaraz wypaple! Cicho bądź, zaraz będziemy w domu, to babci damy.

- Bardzo się cieszę i wszyscy uzbroimy się w cierpliwość, bo nie byłoby przecież niespodzianki, prawda? Jaki miałyście lot?

- Wszystko było w porządku, spały, jadły i oglądały film - powiedziała Iwona.

- A ty, jak się czułaś?

- Dzięki, całkiem dobrze.

Pomyślałam teraz, że my dwie nie zamieniłyśmy na temat jej trzeciego macierzyństwa ani słowa. Tak jakoś wyszło, bo albo o rozmowę na skypie rywalizowały dziewczynki, albo ich po prostu nie było, gdy dzwoniłam. Miałam nadzieję, że znajdziemy na to czas. Czego jeszcze nie wiedziałam? No właśnie, jak zareagowały jej córki na tę nowinę w rodzinie. Czyżby jeszcze nie wiedziały?

- Mamo, mogę jeszcze coś babci powiedzieć? - zapytała Marysia.

Pomyślałam - a jednak? Ciekawe co? - I spojrzałam z uśmiechem na Jeremiego prowadzącego auto. Zrobił śmieszny minę do mnie i czekaliśmy na następne rewelacje Marysi.

- Mama kupiła mi skrzypce!

Przebiła tym nasze oczekiwania. Obróciłam się z przedniego siedzenia do nich: - To jest prawdziwa niespodzianka. Nie wiedziałam, że chcesz uczyć się gry na skrzypcach?

- Tak, postanowiłam w styczniu. Już w San Francisco rozmawiałam na ten temat z Jacquesem - odpowiedziała, a oczy jej jaśniały radością. - Zobaczycie jakie są śliczne!

- Z przyjemnością zobaczymy twoje skrzypce, a później będziemy słuchać koncertów.

- Oh, babciu taka jestem podekscytowana. Muszę zapytać Jacquesa jak to się zaczyna...

Pomyślałam, że w tym roku niespodzianka goni niespodziankę i próbowałam uspokoić Marysię, że żaden początek nie jest łatwy, ale przy dobrych wskazówkach Jacquesa i nauce w jej muzycznej szkole z pewnością da sobie radę i osiągnie sukcesy. Marysia miała już pewne

podstawy uczęszczając do klasy fortepianu, lecz teraz, gdy objawiły się inne zainteresowania, trzeba będzie zmienić profil jej nauczania.

Wjechaliśmy do Port Jefferson i z daleka ujrzeliśmy nasz dom, a przed nim prawie pocztówkowy widok. Na progu stał Jacques, obok niego Sally i na końcu siedział Felix.

- Hurra! - krzyknęły dziewczynki - nareszcie w domu.

Sally zaszczeła radośnie, Jacques podszedł do wysiadającej Iwony i wziął ją w ramiona, a Felix obserwował bacznie całe wydarzenie. A my? No cóż, zaczęliśmy transportować bagaże do przedpokoju, ale przyznać muszę, że Marysia z Mariką dzielnie nam w tym pomagały.

*„A kiedy two-ja miłość jest przyjęta
i otwierają się dla ciebie ra-miona - wówczas proś Bo-ga,
nie-chaj oca-li tę miłość od zep-su-cia,
bo niepo-koję się o ser-ca po brze-gi szczęściem wypełnione.”*

Antoine de Saint-Exupéry

Powrót

Dni powrotu do domu, gdzie czeka ciepło i serdeczność, są zawsze wspaniałe. Siedziałam obok Jeremiego i słuchałam opowiadań dzieci. Yvonne, którą Jacques siedzący na kanapie trzymał za rękę, jakby nie wierzył, że ona już naprawdę jest obok niego i on, syn Jeremiego i ich Malutkie niewiadome żyjące w niej...wszyscy byli naszymi dziećmi. Myślę, że czuliśmy się wtedy jakby ogarnięci taką świąteczną radością, którą chcielibyśmy zatrzymać w domu jak najdłużej, razem z zapachem róż dla Iwony od Jacquesa i aromatem kawy, którą popijaliśmy.

Upominki zostały też wręczone; Jeremi oglądał kulinarną książkę, a ja przymierzyłam kolczyki, pawie z dwukolorowego bursztynu. Cóż można piękniejszego przywieźć na pamiątkę z Gdańska, jak nie bursztynowe wyroby, prawda?

Marysia niecierpliwie rzucała co chwilkę w stronę matki pytające spojrzenia i gdy ta skinęła potakująco głową, pobiegła do drugiego pokoju, gdzie jeszcze stały ich bagaże. Po chwili przysła z triumfującą minką i stanęła przed Jacquesem.

- Zobacz, mam! - powiedziała i podała mu swoje nowiutkie skrzypce i smyczek, a my spontanicznie zaklaskaliśmy w ręce. Cóż to takiego? To tylko skrzypce mojej wnuczki, mniejsze niż dla dorosłego artysty, a ja wzruszyłam się niesamowicie. Miałam wrażenie, że jeszcze jeden etap zaczyna się w naszym życiu.

Jacques wziął z namaszczeniem instrument, przeczytał nazwę firmy, która instrument wyprodukowała i pochwalił wybór.

- „Stagg Music” to belgijska firma produkująca szeroki asortyment instrumentów i akcesoriów muzycznych, właśnie dla początkujących artystów, rozpoczynających swoją muzyczną drogę - powiedział do uszczęśliwionej Marysi.

Spróbował kilka dźwięków, dotykając smyczkiem strun, które zainaugurowały swoje przeznaczenie, powiedział, że instrument musi być nastrojony, a Marika roześmiała się:

- Dla Jacquesa to małe piwo!

- Marika! - upomniała ją Iwona - skąd takie porównanie?

- Wujek Tomek od cioci Patrycji mówił, gdy kupiliśmy skrzypce, że dla Jacquesa przygotowanie skrzypiec dla Marysi, „to małe piwo”.

I jak tu się nie roześmiać z naszej małej mądrali? Na jutro zaplanowaliśmy odwiedzinę Allisson z Manfredem, a teraz wypadało nam zjeść „małe co nieco” i uszykować się do snu.

* * *

Po wieczornej kąpieli zadowolona Marika znów mogła przytulić swojego Kubusia Puchatka, którego zapomniała zabrać w daleką podróż, a Marysia oddała się marzeniom.

- Mamusiu, wiesz jak wygląda człowiek absolutnie szczęśliwy? - zapytała siedzącej obok nich Iwony.

- Musiałabym się zastanowić... a ty wiesz?

Pokiwała z uśmiechem głową: - właśnie tak, jak ja...

- I ja też - dodała Marika.

- A więc jest nas czworo - powiedziała zagadkowo Iwona.

- Doliczyłaś jeszcze twojego Jacquesa? - Marysia aż usiadła na tapczanie.

- Tak, myślę, że możemy go przyjąć do Klubu Absolutnie Szczęśliwych Ludzi, a dlaczego, wyjaśnię wam jutro.

- Jakież nowe tournée? Marysia z lubością wypowiedziała słowo uważając, że zawiera ono tajemnicę, którą ona z pewnością kiedyś odkryje.

- Jutro, dobrze? - uśmiechnęła się Iwona, - a teraz proszę, śpijcie, - dobranoc!

* * *

Następnego ranka spotkaliśmy się wszyscy w kuchni przy porannym śniadaniu i omówiliśmy plan dnia.

- Myślę, że dziewczynki mogłyby dziś jeszcze zostać w domu, a jutro pójść do szkoły. Zaopiekujesz się nimi mamó? - zapytała Iwona. - Wybieramy się z Jacquesem do City, po drodze podwieziemy Jeremiego na Uni do Stony Brook.

- Ależ oczywiście - zgodziłam się trochę niepewnie, bo w dalszym ciągu nie wiedziałam, czy moje wnuczki są już wtajemniczone w fakt powiększenia rodziny, czy też nie. Niespodziewanie z pomocą przysłała mi Marysia:

- Mamó, a co z naszym Klubem Absolutnie Szczęśliwych Ludzi? Obiecałaś dziś powiedzieć!

- No właśnie - przytaknęła jedząca czekoladowego croissanta Marika i aż podskoczyła z wrażenia.

- Wiecie co - powiedziała Iwona, - proponuję abyśmy skład naszej grupy omówili po południu, dobrze? A teraz tylko o coś was zapytam. Iwona spojrzała na Jacquesa, potem na mnie i Jeremiego, uśmiechnęła się i zapytała:

- Jak myślicie, czy chcielibyście mieć rodzeństwo?

Zobaczyłam ogromne zaskoczenie w oczach Marysi, a niebieskie oczki Mariki stały się jeszcze większe.

- To znaczy, co - zająknęła się Marika, - jakiś chłopak, albo dziewczyna?

- Marika, nie wytrzymam z tobą, - Marysia głośno westchnęła, brat albo siostra.

- Duże czy małe? - nie rezygnowała Marika.

- Malutkie, baby - zakończyła dociekanie córeczek Iwona.

- Ale po co nam - Marika wzruszyła ramionami i zwracając się do mnie spytała: - jest jeszcze kakao?

Wstałam, żeby jej podać, a Marysia stwierdziła z uśmiechem: - Już rozumiem mamó. Jeśli się zgodzimy, to doliczysz je do naszego klubu, tak?

- Coś w tym rodzaju, ale dokończymy rozmowę po naszym powrocie z miasta, dobrze? Iwona wstała i wyciągnęła rękę do Jacquesa: - Idziemy, mon Cher? Jeremi?

Jeremi ubawiony przebiegiem rozmowy, uściskał mnie: - do popołudnia Leni, baw się dobrze!

I zostałam sama z nierozwiązaną szaradą dotyczącą rodzeństwa moich wnuczek.

Myślałam, że zaczną męczyć i drażnić zaczęty przez Iwonę temat, a jednak nie. Poszłyśmy na górę do pokoju wyjmować z ich walizek rzeczy i układać je w szafie, a one opowiadały mi wrażenia z pobytu w Polsce i odwiedzin taty w więzieniu.

- Jakoś się zmienił, wiesz babciu... taki dziwny, przytył i popłakał się - mówiła Marysia, wyjmując książki z plecaczka i zmieniała temat:

- Zobacz, kupiłam sobie za moje kieszonkowe kilka książek do czytania. Nie mogę przecież czytać tylko po angielsku, prawda? Pomyślałam ponownie, że jej dziecięca logika jest zadziwiająca.

- Pokaż mi, jakie?

Marysia wybrała literaturę, która potrafi zachwycić nie tylko czytelników w jej wieku, ale i niektórego dorosłego: „Tajemniczy ogród” i „Małą księżniczkę”, „Dzieci z Bullerbyn”- Astrid Lindgren, i „Pollyannę”.

- A wiesz, że autorka „Dzieci z Bullerbyn”, napisała także książkę o przygodach Pipi

Langstrumpf?

- Tak? Nie wiedziałam - zaciekawiała się moja wnuczka.

- Oglądałyśmy taki film, babciu - przypomniała sobie Marika,

- Miała takie śmieszne rude warkoczyki i białego konia w czarne kropki. A wiesz babciu, że o Pollyannie są napisane jeszcze następne części? Kupię sobie następnym razem - postanowiła Marysia ustawiając książki na regale.

- Oczywiście, bardzo cieszę się, że lubisz czytać i z pewnością, spodobała ci się wszystkie, które kupiłaś.

- Ja też będę, tylko się dobrze nauczę - obiecała Marika.

- Wiecie co, możemy przecież poczytać sobie na dobranoc, co wy na to? - zaproponowałam.

- To znaczy ja z babcią? - zauważyłam uśmiech i aprobatę w oczach Marysi.

- Bardzo chętnie, wieczorem! A teraz, jeśli mamy skończone układanie, to proponowałabym, żebyście ubrały się i wzięły Sally na spacer, a ja zajmę się przygotowaniem obiadu, dobrze? Tylko nie oddalajcie się zbyt daleko.

- A gdy wrócimy, coś jeszcze babci opowiemy! - krzyknęły będąc już przy drzwiach i ciągnąc psa za sobą. Odniosłam wrażenie, że obie podczas pobytu w Polsce bardzo wydorosłały.

Przygotowywałam makaronową zapiekankę ze szpinakiem, pieczarkami i żółtym serem prawie automatycznie, bo pochłonęły mnie myśli o zmianie jaka nastąpi w naszej rodzinie i okropnie byłam ciekawa nowych wiadomości. Jacques z Iwoną pojechali do lekarza, a my ucieszyliśmy się, że postanowiła zaraz po powrocie zostać pacjentką w Stony Brook i zrobić konieczne badania. A kiedy ja znajdę czas, aby porozmawiać nareszcie z moją córką?

Spacer moich wnuczek nie trwał długo, gdyż niespodziewanie spadły pierwsze krople deszczu. Właśnie wkładałam zapiekankę do piekarnika, gdy cała trójka przybiegła z powrotem do domu.

- Jesteście głodne czy poczekacie na obiad?

- Poczekamy. Może mandarynkę - zaproponowała Marika?

- Mogę obrać - zaofiarowała pomoc Marysia.

- Cieszę się, ale najpierw umyjecie ręce.

Jaką magię ma w sobie kuchnia? Od najdawniejszych lat lubiłam w niej pogaduszki... najpierw z Patrycją, z Iwoną jeśli znalazła na to czas, a teraz z jej dziewczynkami. Pachnie przytulnie, herbatą lub kawą, przygotowywanym obiadem, czasem pieczonym ciastem... teraz

mandarynkami, które obieramy razem, bo Marika stwierdziła, że jedna i tak dla nas nie wystarczy.

- O czym chciałyście mi opowiedzieć? - nawiązałam do obiecaniej rozmowy.

- Ach, babciu! Byłyśmy jeszcze w gdańskim ZOO - zawołała Marika - wiesz, jakie duże?

Nie wiedziałam i zdążyłam wyjechać do Nowego Jorku, zanim zwiedziłam ogród zoologiczny, o którym chciały mi opowiedzieć moje wnuczki.

- Babciu, to jest największe ZOO w Polsce i bardzo piękne! Ma dużo zieleni i zwierzęta chodzą sobie wolno na wyznaczonych im miejscach. Na tablicy informacyjnej przeczytałyśmy z mamą, że w ZOO żyje 190 gatunków zwierząt - informowała mnie Marysia.

- Takie śliczne pingwiny chodziły po trawie i coś do siebie jakby gadały, a potem poszły się do stawku pokąpać - dodała Marika.

- Najbardziej lubię żyrafy, babciu. One są takie sympatyczne, a tygrys wzbudza podziw i szacunek.

- Czemu nawet szacunek, Marysiu?

- Wielki, piękny kot i do tego futro w takich kolorach! - powiedziała zachwycona.

- A ja widziałam papugę podobną do Charliego i dużo innych ptaszków.

Wszystko wskazywało na to, że Marika wołała mniejsze okazy zwierząt i ptaki, co zaraz potwierdziła:

- Wężę były, duże, kolorowe, ale ja się ich boję, brrr.

Też nie lubię płazów i gadów - pomyślałam. Dokończyłyśmy jeść owoce i zastanawiałam się właśnie, jakie zajęcie wymyślić moim wnuczkom, gdy milcząca przez chwilę Marysia powiedziała:

- Wiesz babciu, po zwiedzeniu całego ZOO, myślałam o tych zwierzętach i zrobiło mi się ich żal, bo one są przecież uwięzione. Fajnie było je widzieć, ale na wolności czułyby się o wiele lepiej. Dlaczego właściwie zakładane są ogrody zoologiczne?

Szczerze mówiąc, połowicznie przyznawałam Marysi rację, ale widziałam, że to nie wszystko jeszcze, co miała mi do powiedzenia więc zaciekawiona jej wywodem czekałam na ciąg dalszy.

- Babciu, po co więzić zwierzęta, gdy teraz jest tyle innych możliwości ich podziwiania: są filmy na video i w telewizji programy o zwierzętach. A ktoś, kto ma więcej pieniędzy, to może pojechać do Afryki lub do innego kraju i zobaczyć je live.

Marysia zakończyła swój wykład i obie dziewczynki patrzyły na mnie wyczekująco.

- Moja kochana, częściowo przyznaję ci rację i zaraz wyjaśnię wam dlaczego. Są

gatunki zwierząt, którym w przyrodzie na wolności zagraża wymarcie. Do nich należy też tygrys, którym się przed chwilą zachwyciłaś, a winni są niestety ludzie, którzy na nie polują, bo zwierzęta mają piękne futro. Także lamparty i pumy.

- Jakie to smutne - westchnęła Marysia.

- Są jeszcze inne zagrożone przez środowisko, na przykład hipopotamy nilowe. Żyją w afrykańskiej rzece, która nazywa się Nil, a ona jest coraz bardziej zanieczyszczona. Słonie są zabijane przez handlarzy kością słoniową, z której zbudowane są ich kły.

- Babciu, po co im te kości?! - zapytała Marika.

- Z kości słoniowej wyrabiane są ozdobne przedmioty i biżuteria.

- Nigdy sobie nic takiego nie kupię! - przyrzekła Marysia.

- Ja też nie! - zapewniła Marika.

- Bardzo słusznie, moje kochane. Jeszcze wam powiem, że takich zwierząt, które są zagrożone wyginięciem jest dużo więcej i dlatego ogrody zoologiczne są potrzebne.

- A wiesz babciu, że ja nie lubię chodzić do cyrku?

Moja starsza wnuczka ponownie zaskoczyła mnie swoim potencjałem inteligencji. Ciekawe, co z tym cyrkiem? Marika też spojrzała na siostrę ze zdziwieniem...

- Czemuż to? - zapytałam sprzątając mandarynkowe skórki i wyłączając piekarnik. Zapiekanka była gotowa.

- To znaczy trochę lubię, lecz wtedy, gdy są akrobacje, żonglerka, magia i jakieś inne śmieszne występy, ale bez zwierząt! - wytłumaczyła nam. - Bo one są do występów specjalnie trenowane, może bite i muszą siedzieć w tych cyrkowych wozach! Okropność, babciu...

- Nie martw się Marysiu, tego rodzaju rozrywek jest coraz mniej na świecie - pocieszyłam ją, przytulając do siebie.

Nie dokończyłyśmy naszych rozważań, bo odgłos otwieranych wejściowych drzwi i szczekanie Sally wskazywały na powrót z miasta oczekiwanych przeze mnie dorosłych dzieci.

Z wyrazu ich twarzy mogłam poznać, że przynoszą same dobre wieści.

- Ależ tu apetycznie pachnie, zapiekanka? Umieram z głodu!

Iwona usiadła przy stole i obrzuciła dziewczynki uśmiechniętym spojrzeniem. - Byłyście grzeczne?

- Czemu mam? A jeśli tak, to masz dla nas jakąś nagrodę?

Marysia szykowała talerze, Marika sztuce, a Jacques nalewał do szklanek sok dla wszystkich.

- Jeśli nagrodą może być wiadomość, to mam. Najpierw jednak pozwólcie mi zjeść

obiad.

- Ojej! - Dołączyłam moje „ojej” do okrzyku dziewczynek, nakładając wszystkim porcje zapiekanki i siadłam do stołu.

Jacques patrzył na szczęśliwą Iwonę pochłaniającą obiad i uśmiechał się przewidując, że wiadomość ta długo tajemnicą i tak nie zostanie. Oczywiście miał rację, bo Iwona zaspokoiwszy pierwszy głód, zwróciła się do dziewczynek:

- Pamiętacie naszą poranną rozmowę o Klubie Absolutnie Szczęśliwych Ludzi?

- No pewnie? Jakież nowości? - Marysia patrzyła na matkę badawczo - zakładamy?

- Myślę, że tak...

Jak ona obwieści im przyście na świat rodzeństwa? Wszyscy patrzyliśmy na Iwonę z uwagą.

- A więc: Jacques i ja zakładamy Klub Absolutnie Szczęśliwych Ludzi i przyjmujemy do niego absolutnie szczęśliwą od wczoraj Mademoiselle Marie... Mademoiselle Marika... - w tym momencie zaklaskaliśmy w ręce - Madame Leonia, Monsieur Jeremi... oraz mamy jeszcze jedno wolne miejsce, które oznaczymy Serduszkciem Oczekiwania, bo zajmie je pod koniec września malutki chłopczyk albo dziewczynka.

- Ale tylko jedno nowe dziecko, czy dwa? - zapytała Marika.

- Jedno, jedno - roześmiała się Iwona.

- A gdzie ono teraz jest? - Marika chciała być dokładnie poinformowana.

Iwona pogładziła swój t-short na wysokości brzucha:

- Tutaj, jeszcze malutkie. Byliśmy dziś na badaniu w klinice. Z naszym Serduszkciem Oczekiwania jest wszystko w porządku, a następnym razem, gdy trochę podrośnie, możecie pójść razem ze mną, to zobaczycie na monitorze takiego urządzenia jak ono wygląda.

O dziwo, zapanowała cisza i jedliśmy nasze, trochę już wystygłe zapiekanki... Pierwsza skończyła Marysia. Odstawiła talerz do zmywarki, a potem podeszła do matki i objęła ją.

- Właściwie, to... cieszę się. Może należeć do naszego klubu - i pocałowała ją. Na taką reakcję siostry, Marika zerwała się ze swojego miejsca i objąwszy Iwonę z drugiej strony, zawołała: - ja przecież też, ja też!

Ścisnęły ją tak obie, Iwona piszczała, że ją zaraz uduszą i wołała Jacquesa na ratunek. Wszyscy byliśmy zadowoleni, a zwłaszcza my - dorośli ze spontanicznej reakcji dziewczynek.

* * *

- To cóż, jakie mamy plany na resztę dnia? - mówiąc to Jacques popatrzył pytająco na Iwonę, a ona zwróciła się do dziewczynki:

- Myślę, że wy, moje kochane pójdziecie przygotować się na jutrzejsze pójście do szkoły, bo jeden dzień aklimatyzacji zupełnie nam wystarczy, prawda?

Odpowiedziały jej uśmiechy i pokiwania głowami, które o wielkiej euforii wcale nie świadczyły.

- No to maszerujcie na górę. Ja chciałabym trochę odpocząć, a ty, mamo?

- Myślę, że pojedę do Stony odebrać Jeremiego z Uni i zrobimy razem trochę zakupów - odpowiedziałam patrząc na zegarek - za godzinę Jeremi powinien kończyć pracę i z pewnością ucieszy się, że przyjechałam po niego.

Role zostały rozdane. Jacquesa nikt nie zapytał, jakby z góry wiadomo było, że odpoczynek w towarzystwie Iwony też mu się należy.

* * *

Marysia usiadła na tapczanie w ich pokoju i skinęła ręką na siostrę, szukającą czegoś w swojej komódce.

- Chodź, siadaj, musimy pogadać.

Marika zamknęła szufladę i usiadła obok niej.

- I co o tym myślisz? - zapytała starsza.

Marika wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się: - fajny pomysł z tym klubem.

- O rety, mam na myśli to baby!

- A co mam myśleć, będzie i już, ciekawa jestem jakie...

Marysia położyła się na tapczanie, a siostra zaraz obok niej.

- Mama będzie coraz grubsza...

- No tak, jak mama Claudii z mojej klasy. Już ma siostrę!

- Jestem tylko ciekawa... - Marika zwróciła się w stronę siostry - skąd ono się tam bierze, w brzuchu? Ty wiesz?

- Całkiem dokładnie, to nie wiem. Podobno trzeba się całować i przytulać... no i kochać. Claudia mówiła.

- Ale jak kochać?

- Ojej, Marika, nie wiesz jak to jest, gdy się kogoś kocha? Całym sercem, a on jest najważniejszy dla ciebie i nikt inny.

- Myślisz, że Jacques jest taki dla mamy?

- Pewnie, że tak. Widziałam ich, gdy się przytulali... w San Francisco.

- To dobrze - westchnęła Marika, - żeby tylko nie było tak, jak z naszym tatą...

- Nie martw się mała! - starsza pogłaskała ją po włosach - chodź, zobaczymy w planie co nam potrzebne na jutro. Zadzwońię do Claudii i z-a-a-n-o-n-s-u-j-ę, że już jesteśmy z powrotem.

„(...) Tyle razy starała się zrozumieć sens swojego życia. Śledziła zdarzenia i własne myśli, starając się odnaleźć łączącą je całość. Miała marzenia i plany, przymierzała się do nich zawsze jak do nowej sukni, pytając swojego odbicia w zwierciadle. Aż nagle gdy poczuła, że nie ma nic, zrozumiała, że ma wszystko. (...)”

Beata Pawlikowska „Agnes w Wenecji”

Ostatni wernisaż

Zadowolona z poobiedniej, rodzinnej dyskusji dotyczącej dyplomatycznego poinformowania swoich córeczek przez Iwonę o powiększeniu się naszej rodziny, zbliżałam się do Stony Brook. Jeremi czekał już na mnie przed budynkiem Uni. Jego Peugeot w dalszym ciągu przebywał w warsztacie samochodowym i musieliśmy sobie jakoś radzić, być może już niedługo. Jeremi witając się ze mną i usiadłszy obok mnie, powiedział jakby zgadując moje myśli:

- Dzwoniłem do nich, jutro po południu będzie do odbioru.

- Świetnie - ucieszyłam się - dokąd jedziemy?

- Chciałbym do jakiegoś zacisznego miejsca, musimy porozmawiać.

Zanim ruszyliśmy, spojrzałam na niego badawczo, ale on nie uśmiechnął się do mnie, jak zwykle na powitanie.

- Proponuję Robinson's Tea Room⁴⁴ w centrum, ok?

Skinął potakująco głową, a moja ciekawość zmieszana z niepokojem wzrastała z minuty na minutę.

Tak, to było przyjemne wnętrze, delikatnie klimatyzowane i urządzone w stylu kolonialnym. Do wybranego gatunku herbaty mogliśmy oczywiście zamówić małą przystawkę, ale Jeremi nie chciał nic jeść. Zdziwiona zobaczyłam, że wyjmując z laptopowej torby gazetę i rozkłada na zaznaczonej stronie. To była nicejska, którą Jeremi lubił od czasu do czasu kupować, by jak mówił - śledzić i być na bieżąco z życiem swojej prowincji. Nowy Jork nie był jego krajem i pewnie nigdy nie będzie.

- Cóż tam nowego - zapytałam z uśmiechem, biorąc do ręki „LA PROVANCE”.

Jeremi wskazał mi zaznaczoną długopisem wiadomość:

J'ai la grande tristesse d'annoncer le décès de ma mère, la célèbre peintre Madame Charlotte DUBOIS, survenu le 30 Mai à l'hôtel ASTORIA à VENISE, suite a une crise

cardiaque pendant ses vacances. Ses funérailles auront lieu à NICE le 10 JUIN à 17 heures au cimetière municipal.

Du 20 au 25 juin une vente aux enchères des images de madame Charlotte DUBOIS,(le bénéfice de la vente sera reversé à la mission des soeurs de la Pallottine au CAMEROUN). Elle aura lieu dans le couloir du musée des beaux arts 33 avenue des Baumettes de 10 heures a 12 heures à NICE. Cecilie Dubois.45

- Jeremi, znałeś tę osobę?

- Nie, ale Jacques znał ją dobrze... bardzo dobrze...

Przeczytałam jeszcze raz nekrolog madame Charlotte Dubois i pomyślałam, że w dalszym ciągu nie rozumiem, czemu miałabym się przejmować jej śmiercią, ale jeśli Jeremi wie dużo więcej, z pewnością zaraz mi opowie jakaż to tajemnica kryje się w zaistniałym fakcie i dlaczego potrzebne nam było ustronne miejsce do rozmowy.

- Jeśli powinnam coś wiedzieć, to mów, proszę.

Obok wydrukowanego ogłoszenia, na małym zdjęciu widziałam ładną twarz kobiety, będącej może w moim wieku...

- Była przez krótki czas, intensywnie związana z Jacquesem. NICE-MATIN podaje to samo.

- O tym, że była związana z Jacquesem?

- Non, pardon, podają wiadomość, że umarła. Jestem trochę zbulwersowany i nie wiem, co począć.

- A powiesz mi w końcu co ich łączyło? - zniecierpliwiłam się.

- Bien sûr, pardon46.

Jeremi, gdy był zdenerwowany zaczynał mówić po francusku.

- Pamiętasz nasz przedwielkanocny nastrój, gdy Jacques przyjechał z San Francisco?

- Tak. Odniosłam wrażenie, że coś wisiało na włosku. Byliście na spacerze i wróciłeś delikatnie mówiąc - zdruzgotany.

- Tak. Jacques bardzo żałował, tego co zaistniało między nimi, a ja przyrzekłam zachować jego przeżycia w tajemnicy.

- Dlaczego więc mówisz mi o tym teraz?

Ogarniała mnie powoli złość na nich, bo sprawa dotyczyła także mojej córki, a Jeremi ukrył ten fakt przede mną.

- Leni, bardzo mi przykro. Nie mogłem ci powiedzieć, bo mój syn sam chciał zdecydować, czy Yvonne dowie się o jego zdradzie. Tamta znajomość była krótka i została zerwana, zanim wyjechał koncertować na Majorkę. Jeszcze raz ci powtarzam, że bardzo

żałował swojego zapomnienia, ale wierz mi, to zdarzenie ma głębsze podłoże i nie chciałbym o tym mówić. Obiecałem... Teraz zastanawiam się, czy Jacques powinien wiedzieć, że ona nie żyje? Niepokoi mnie aukcja jej obrazów... obawiam się, że ktoś z Nicei będzie próbował nawiązać z nim kontakt... a jeśli tak się stanie, spokój tych trojga zostanie zburzony. Mam na myśli także twoją córkę, która spodziewa się dziecka. Pomóż mi Leni, poradź, co powinniśmy zrobić?

Jeremi patrzył zatroskany, a moja złość powoli mijała. Przypomniały mi się obawy Iwony, po powrocie z San Francisco, a przed jej wyjazdem do Polski. Powiedziała wtedy o Jacquesie, że chyba trudno będzie go kochać... Czy coś przewidywała? Ach, w tym artystycznym świecie tak wiele się dzieje: wzloty i upadki karier, miłosne afery, uzależnienia, morderstwa i samobójstwa... Charlotte Dubois nie targnęła się na swoje życie, odeszła na zawał serca... widocznie tak miało być. Westchnęłam głęboko na zakończenie moich cichych rozważań i zwróciłam się do Jeremiego:

- Myślę, że nie należy wracać do tematu i rozmawiać z Jacquesem, o tym, co się stało. Jeden rozdział jego życia został zakończony, a tym bardziej, jeśli mówisz o głębszych podłożach i obiecanej mu dyskrecji. Ale... jeśli chodzi o aukcję jej dzieł i nasz spokój, wydaje mi się, że powinieneś skontaktować się z osobą za to odpowiedzialną i prowadzącą licytację.

- W jakim celu?

- Jeremi! Ktoś, kto umieścił to ogłoszenie jest z pewnością doskonale zorientowany w kolejach życia Madame Dubois. Tekst inseraty wskazuje, że Cecilie Dubois jest jej córką to wypadałoby złożyć wyrazy współczucia, a przy okazji zastrzec, że nie życzymy sobie żadnego kontaktu z ewentualnymi spadkobiercami Madame Dubois. W Musée des Beaux arts powinni coś wiedzieć, bo w końcu u nich ma odbyć się licytacja. I zanotuj sobie proszę, nazwisko i numer telefonu osoby, z którą jest możliwy kontakt. Tak na wszelki wypadek, dobrze?

Widziałam, że w zaistniałej sytuacji Jeremi czuł się bezradny, a teraz, gdy powiedziałam spokojnie co o tym myślę, odniosłam wrażenie, że kamień spadł mu z serca. Mam nadzieję, że nie potoczył się pod moje nogi, ale wspólnie rozwiążemy problem, który nam zaczął dokuczać. Jeremi ujął moją rękę, pocałował i dalej trzymając w swoich dłoniach, powiedział:

- Merci ma Cherie, wiedziałem, że znajdziesz konkretne rozwiązanie. Jutro zadzwonię do Nicei, porozmawiam z kimś kompetentnym i zrelacjonuję ci wszystko.

Uśmiechnęłam się, ale czułam, że nasz spokój jest pozorny. Dla Jeremiego temat, który wydawał się być już zamkniętym i przez fakt przyszłego ojcostwa Jacquesa -

rozgrzeszonym, ponownie odezwał się smutnym dźwiękiem. A ja czułam niesmak i rozczarowanie. Lubiłam Jacquesa, a manipulowanie uczuciami i jego zdrada, o której się dowiedziałam była bolesna, gdyż dotyczyła mojej córki. Radosne oczekiwanie na jeszcze jedno Serduszko w Klubie Absolutnie Szczęśliwych Ludzi zostało zakłócone. Siedzieliśmy w milczeniu, Jeremi nalał z czajniczka do mojej filiżanki resztę herbaty. Wypiłam i poklepałam go po ręce:

- Co się stało, już się nie odstanie. Jacques jest świadomy wszystkiego, co się zdarzyło i być może przyjście dziecka na świat scementuje jego związek z Iwoną, bo o jej uczucie do niego jestem spokojna. A teraz chodź, zrobimy zakupy, a po powrocie do domu nie zapomnimy o uśmiechach do wszystkich, n'est-ce pas?47

Wstaliśmy od stolika, a Jeremi objął mnie i przytulił.

- Jesteś najukochańsza, wiesz?

- Jeśli tak uważasz?

Uczucie rozczarowania nie minęło, ale poczułam się dumna z samej siebie, że udało mi się Jeremiego trochę uspokoić. Do końca dnia nie zapomniałam o uśmiechu, a moje myśli od czasu do czasu kierowałam ku dobrym Aniołom, aby dalej miały nas w swojej opiece.

Cecilie

Siedziała w mieszkaniu matki i trzymała w dłoniach list, który nie został wysłany... W ciągu ostatnich dni, po przybyciu z Kamerunu do Nicei czytała go kilkakrotnie, bo był jedynym i ostatnim znakiem życia od Charlotte.

Ze wzruszeniem ściskającym gardło przyjęła wiadomość, że matka w ostatnich chwilach swojego życia myślała o niej i, że najbliższy czas planowała zupełnie inaczej...

Moja kochana Cecilie! Swoim długim listem sprawiłaś mi olbrzymią radość! Bardzo Ci dziękuję! Przyznam, że jego fragmenty trochę mnie uspokoiły, ale niezależnie od tego zrodził się w mojej głowie pewien pomysł. Ten jednak wyjawię Ci pod koniec listu.

Dlaczego los zrzędził inaczej i nie było im dane spotkać się już nigdy więcej?...

Oczywiście wierzę w to, o czym pisałaś, ale bardzo też tęsknię za Tobą! Po powrocie z Wenecji zorientuję się, jaka jest możliwość przyjazdu do Was. Może uda mi się sprzedać kilka moich obrazów, to zysk z nich przekazemy na Waszą misję, dobrze? Mam też trochę oszczędności, które mogą służyć Waszej sprawie i mieszkańcom Kamerunu.

Tragiczne wiadomości przyjmuje się najpierw z niedowierzaniem. Mówi się, że spadają na nas, jak grom z jasnego nieba, bo stamtąd przecież najmniej się ich spodziewamy... Zalewają falą smutku, przygniatają rozpaczą z którą sami musimy sobie poradzić... Obrzędy pogrzebowe... rozmowy z obcymi żądnymi sensacji, przyjmowanie kondolencji od osób zupełnie jej nieznanym, ale którzy współczuli, bo lubili Charlotte. Kilka ostatnich dni minęło Cecilii jak w złym śnie. Przygotowywała treść inseraty do regionalnej gazety, uzgadniała wynajęcie pomieszczenia i termin przeprowadzenia aukcji obrazów matki, realizując jej pomysł i spełniając tym samym ostatnią wolę, wymienioną w liście. Załamana wydarzeniem Caroline jak tylko mogła służyła pomocą. Wszystko zostało przygotowane i od jutra Cecilie będzie sprzedawać akwarelowe inspiracje i marzenia swojej matki. Myśl ta napełniała ją żalem, bo kojarzyła się z pozbawianiem pamiątek z jej dzieciństwa. Przeglądając dawne prace malowane przez Charlotte i patrząc na daty ich wykonania, Cecilie przypominała sobie okoliczności i dni gdy matka je malowała: wakacje z ojcem na wybrzeżu w Saint Tropez, kwiaty w ich dawnym ogrodzie... jej pies, który już nie żył... Kilka obrazów Cecilie postanowiła zostawić oraz wszystkie inne pamiątki i umeblowanie mieszkania. Jak postąpi po powrocie z Kamerunu - nie wiedziała. Było jeszcze zbyt wcześnie, aby zdecydować o dalszym życiu... Złożyła list matki do torebki i obróciła głowę w stronę stojącej przy oknie Caroline.

- Może napiłybyśmy się kawy?

- Chętnie, zaraz zaparzę.

- Dziękuję.

Jak pogodzić się z realiami minionych dni. Słońce za oknem, wspaniały czerwiec, na Lazurowym Wybrzeżu radosne tłumy turystów, a w jej sercu tak mrocznie i żalobnie...

- Jeśli chciałabyś pójść do swojego butiku, to idź. Jestem ci bardzo wdzięczna za okazaną pomoc, ale mogę przecież zostać sama.

Caroline przyniosła kubki z kawą i usiadła naprzeciw Cecilie. W dalszym ciągu trudno było jej uwierzyć w tragedię, jaka dotknęła ich wszystkich. Gdyby zamiast Alaina sama poszła wtedy do hotelu... Co zdarzyło się naprawdę i gdzie podział się Jourdan? Charlotte - jak bardzo ciebie brakuje...

- Po południu pójde, a ty? Co będziesz robić?

- Nie wiem, może pójde na cmentarz odwiedzić mamę i zobaczyć jak się tam kwiaty mają... ale najpierw muszę ci coś powiedzieć. Wczoraj, w muzeum odbyłam dziwną, telefoniczną rozmowę. Już z rana mówiono mi, że jestem przez kogoś poszukiwana i po południu pewien mężczyzna zadzwonił ponownie. Czy mówi ci coś nazwisko Morelly?

Caroline kiwnęła potakująco głową i poczuła jak ogarnia ją złość.

- Mówi! Jacques Morelly?

- Nie, przedstawił się jako Jeremi Morelly.

- To widocznie ktoś z rodziny. Czego chciał?

Cecilie zauważyła oznaki zdenerwowania Caroline i powiedziała uspokajająco:

- Ja wiem od mamy o jej związku z Jacquesem. Opowiedziała mi zaraz po ich rozstaniu. Bardzo to przeżyła.

- Tak, była na granicy depresji, wyciągałam ją z tego lecz i tak nas opuściła... Głos Caroline załamał się. Po chwili zapytała gwałtownie: - czego chciał od ciebie ten Morelly?

- Powiedział, że jest ojcem Jacquesa i złożył mi kondolencje. Następnie tłumaczył, że wydarzenie to rzuciło także cień na spokój jego rodziny i „z prawdziwą przykrością musi prosić o zaniechanie jakichkolwiek kontaktów z Jacquesem”...

- No wiesz! - Caroline zezłościła się teraz naprawdę. - Co oni sobie tam wyobrażają? A może powinnaś mu na pamiątkę jakiś obraz wysłać?

- Ciii... nie złość się. Nasza rozmowa była ciepła i serdeczna. Powiedział na koniec, że jego prośba ma głębokie podłoże i, że będzie mi bardzo wdzięczny za zrozumienie.

Przez dłuższą chwilę siedziały obie zamyślane poczym Caroline westchnęła i wstała: - Pojadę do sklepu, zabrać cię?

- Tak. Jeszcze moment... ten portret, który postawiłaś za szafą, to on?

- Tak, to Jacques Morelly.

- Znałaś go?

- Nie, słuchaliśmy tylko nagrań.

- Co z nim zrobimy?

- Nie wiem jeszcze, ale zasługuje na to, by znalazł się za szafą, albo na strychu, niech go kurz pokryje i pajęczyny oplotą! - krzyknęła ze złością Caroline.

- Jeśli wrócę, wybiorę się kiedyś na jego koncert. Chętnie przekonam się, czy był wart takiej szalonej miłości - powiedziała Cecilie i po raz pierwszy od kilkunastu dni uśmiechnęła się leciutko.

*Jeszcze jeden dzień...
a po nim długa, długa ciemność...*

Lato w Port Jefferson...

Rok szkolny Marysi i Mariki dobiegał końca. Wszyscy zgodnie układaliśmy wakacyjne plany, zastanawiając się jak spędzić razem czas, by nikomu nawzajem w drogę nie wchodzić, a mimo to razem wyjechać i odpocząć. Jacques planował dwa tygodnie urlopu i zapraszał nas do siebie. Jego dobrzy znajomi, którzy postanowili wojażować po Europie mogli nam udostępnić swoje lokum na zachodnim wybrzeżu. Oczywiście znów powstał problem opieki nad zwierzętami, ale postanowiliśmy Sally wziąć z sobą, a Felixa i Chomzo zdeponować na ten czas u Allisson, która chciała wyjechać z Manfredem po naszym powrocie. Dokąd, jeszcze nie bardzo wiedzieli, ale Allisson twierdziła, że w ich związku ważna jest spontaniczność i zanim wrócimy, oni na pewno już sobie jakiś wakacyjny kierunek obiorą, a przedtem zwierzętami bardzo chętnie się zaopiekują.

Iwona w szóstym miesiącu ciąży czuła się znakomicie, więc od kilku dni żyliśmy w wakacyjnych nastrojach, a dziewczynki w swoim pokoju, pod hasłem robienia porządku, szykowały już co trzeba i nie trzeba do zabrania w podróż.

Było późne, czerwcowe popołudnie. Od kilku dni mieliśmy cudowną pogodę. Ptaki śpiewały nam o zachodzie wśród tui, okalających płot od sąsiedzkiej strony i kwitły róże, które posadziłam razem z Jeremim na wiosnę. Lawenda gęsto nasadzona pod oknami naszej sypialni bardzo wyrosła i już zaczęły pokazywać się pierwsze pączki. Cóż to będzie za raj, gdy nareszcie pachnąco nam zakwitnie! Często wyobrażałam sobie lawendowe, prowansalskie pola... tak bardzo, że niedawno przyśnił mi się wiejski dom i ogród z oliwkowymi drzewami, a za nim lawendowa przestrzeń sięgająca aż po horyzont. Gdy opowiedziałam Jeremiu mój sen, uśmiechnął się i stwierdził, że w Antibes pola co prawda nie mamy, ale wizja domu i ogrodu prawie się zgadza.

Wyjazd do Prowansji planowaliśmy na koniec lata, przed nadejściem jesieni. Jeremi nie wspominał, ale ja zapamiętałam jego opowieść o Japończykach, którzy wierzą w małżeńskie szczęście, jeśli związek zawarty będzie wśród kwitnącej lawendy?⁴⁸ Sugestia, że jej zapach pozytywnie pobudza wszystkie ludzkie zmysły, też się zgadza, bo oboje przepadamy za jej zapachem, który nastraja nas bardzo romantycznie. Tylko termin przyjscia na świat dziecka Iwony i Jacquesa nasze plany krzyżuje, bo wszystko wskazuje na to, że termin uroczystości trzeba będzie troszkę przelożyć, bo przecież nie udamy się do Prowansji

tylko we dwoje.

Summa summarum czekamy na niespodziankę, bo Jacques z Iwoną postanowili uzbroić się w cierpliwość i nie chcą znać płci dzieciątka... Mam swoje ciche przypuszczenia, ale nic nie powiem, bo wyśmieją się ze mnie, jeśli nie będę mieć racji.

Tak rozmyślając, usiadłam w living roomie przy komputerze z postanowieniem sklecenia felietonu o bezpiecznych wakacjach z dziećmi i jeszcze dziś przemailowania go do mojej redakcji. Ledwo zaczęłam pisać, gdy Jeremi stanął za mną i objął za szyję:

- Myślałem, że dzisiejszy wieczór spędzę w domu, ale muszę jeszcze raz pojechać do Stony Brook. Agata dzwoniła przed chwilą i jeśli to możliwe, chciałaby kilka spraw uzgodnić ze mną przed urlopem, i prosiła, żebym na godzinkę wpadł do instytutu.

- Jutro nie możecie? - mruknęłam, bo marzył mi się po kolacji wieczór na tarasie przy świecach i czerwonym winie. Jeremi roześmiał się:

- Cherie, od jutra mam już przecież urlop!

Ach, byłam już zupełnie rozkojarzona. Obróciłam się więc do niego i uściskałam przepraszająco.

- Ok, jedź, a gdzie jest reszta?

- Dziewczynki u siebie, a Iwona pojechała do Allisson, do firmy. Powiedziała, że nie zabawi tam długo. - I z tymi słowami wyszedł.

Zająłam się więc moim felietonem, ale nie upłynęło kilkanaście minut, gdy usłyszałam zbiegające po schodach kroki moich wnuczek i wołanie Mariki:

- Babciu, słyszałaś dzwonek i melodyjkę? Jadą z lodami!

Taki był zwyczaj w Port Jefferson, który cieszył moje wnuczki. Kolorowy, nieduży pojazd wypełniony mrożonymi potrawami, owocami i lodowymi deserami jeździł ulicami miasteczka z rozpoznawalnym z daleka wesołym sygnałem, obwieszczając, że lody przyjechały prawie pod sam dom.

- Możemy wyjść kupić? Babciu, poproszę pieniążki! Jakie wziąć, ile? Szybko, bo odjedzie!

Podskakiwały obie, jakby się paliło. Wyjęłam 20 dolarów.

- Jakie kupić?

- Wybierzcie, jakie chcecie - machnęłam ręką, a one wybiegły przed nasz domek.

Gdybym wtedy wstała i poszła za nimi, może zapobiegłabym nieszczęściu, które czało się za rogiem?

- Marika!

Usłyszałam po chwili krzyk starszej wnuczki i pisk opon hamującego samochodu.

Jeszcze ktoś coś wołał, czego już nie rozumiałam, bo rzuciłam się do drzwi i przewracając po drodze krzesło wybiegłam na zewnątrz.

Auta z jednej i drugiej strony tarasowały ulicę, Iwona tuliła Marikę, a obok nich stała kredowo blada Marysia. Pomyślałam: - Boże, dobrze, że nic się nie stało, ale zbiegowisko... ach, Marice leci krew z nosa... zaraz zatamujemy... czemu oni wszyscy tak stoją?

I wtedy między wesołym autem z malunkami kolorowych deserów, a innym, większym samochodem, które nie wiadomo skąd wzięło się na naszej cichej uliczce, zauważyłam leżącego na jezdni Jeremiego, a nad nim pochyloną Allisson...

Od strony bulwaru słysząc było sygnały nadjeżdżających aut pogotowia i policji.

Miałam nogi jak z waty, gdy uklęknęłam przy nim. Cała byłam jak kukła ulepiona z waty i szmat, gdy pochylałam się, powtarzając: - Jeremi, o Boże, nie, Jeremi, nie... bełkotałam pytając, czy mnie słyszy, ale on nic nie odpowiadał, więc zaczęłam nad nim szlochać i gładzić go po twarzy, aż obok mnie znalazł się lekarz i polecono mi wstać. Mężczyzn było trzech, jeden rozkładał już nosze, zasłonili mi sobą Jeremiego, więc zaczęłam krzyczeć, że mają mi go nie zabierać! Allisson objęła mnie i odprowadziła na chodnik, gdzie stała Iwona z dziewczynkami.

Widziałam Jeremiego leżącego na noszach, przykrytego kocem i nieruchomego, gdy jeden z mężczyzn podszedł do nas i powiedział, że jest nieprzytomny i zabierają go do Mount Sinai Hospital 49Zauważyłam, że Manfred udziela jednemu z policjantów wyjaśnień, a zebrane auta powoli opuszczają naszą uliczkę, tylko samochód Jeremiego stał samotnie z boku i nie wiadomo dlaczego błyskał światłami.

Pomyślałam, co za cholerny sen mi się wczoraj śnił, jaka to tragiczna bzdura. Obróciłam się w stronę naszego domu i zemdlałam.

* * *

- Mamo, mamusiu!

Z trudnością otworzyłam oczy. Przy łóżku stała Iwona, a na głowie czułam ciężar, który przyprawiał mnie prawie o mdłości. To woreczek z lodem, który miał chłodzić, a i bez niego miałam dreszcze. Powoli wracała mi świadomość... Wszystko, co się zdarzyło nie było sennym majaczeniem!

- Gdzie on jest?

- Zabrali go do kliniki na Manhattanie, robią badania. Właśnie wracam stamtąd, jeszcze nie ma wyników.

Podniosłam się czując nagle przyływ energii i powiedziałam, że chcę do niego

jechać.

- Jeśli czujesz się na siłach, zawiozę cię. To bardzo dobra klinika... Ale najpierw zrobię kawę. Zjesz coś?

Pokręciłam przecząco głową. Sama kawa dobrze mi zrobi. Nie wolno się mazgaić. Muszę się dowiedzieć, co naprawdę się wydarzyło? Skąd wziął się Jeremi, skoro pojechał do Stony Brook? Co robił ten drugi, cholerny samochód wjeżdżając pod prąd w naszą ulicę?

Czułam teraz pot spływający mi po czole, gdy w myślach odtwarzałam obrazy sprzed kilku godzin.

- Zawróciłam go z drogi... usłyszałam cichy, znajomy głos - wiedziałam, że tutaj będzie bardziej potrzebny, a poza tym zapomniał zabrać komórki.

Rachel Thompson siedziała na brzegu sofy i patrzyła na mnie zmartwionym wzrokiem.

- Ciociu!

Wyglądała, jak jedna z postaci na obrazach Grottgera, zjawa w odcieniu popiołu, które malował i moje dreszcze powróciły.

- Dlaczego? - wyjąkałam.

- Myślę, że dobrze zrobiłam. Jedź do niego.

Chciałam pytać i pewnie zaczęłabym nawet krzyczeć, ale widząc, że Iwona wchodzi do pokoju niosąc kawę, niemym wzrokiem odprowadzałam Rachel, która rozpląwała się, wsiąkając w naszą wzorzystą tapetę na ścianie.

- Mówiłaś coś, mamó? - Iwona postawiła dwie filiżanki kawy na stoliku, usiadła na tym samym miejscu, co przed chwilą Rachel Thompson i objęła mnie. Pokręciłam przecząco głową. Chryste, przecież moja córka przeżywa ten cios tak samo jak ja...

Dlaczego nikt z Nich mnie nie ostrzegł? Gdzie była Steffi?

- Pij kawę i pojedziemy.

- A dziewczynki?

- Zabrała je Allisson do siebie. Obie czują się już dobrze.

- A ty?

- Nie martw się, też trochę poleżałam.

Moja dzielna córka. Nie robi mi wyrzutów, a przecież mogłaby, tylko przytula i pociesza. Sama powinnam je mieć i jakże trudno będzie mi teraz im wszystkim spojrzeć w oczy. Poczucie winy nadpływa i ogarnia mnie gorącą falą. Co będzie dalej?

- Chodź, pojedziemy. Może dowiemy się, co stwierdzili.

* * *

Lekarze, gdy spotykają się z członkami rodziny, by poinformować ich o stanie zdrowia pacjenta, mogą być chwalebnyimi Aniołami Radości lub Aniołami Śmierci - myślałam widząc starszego, szpakowatego jak Jeremi lekarza, który podszedł nas, siedzących na korytarzu w oczekiwaniu na konsultację z nim.

W takim momencie jesteśmy wypełnieni nadzieją, czy przerażeniem, bo przewidujemy najgorsze? Czułam tylko wielki niepokój przed tym, co usłyszę... Znow ogarniało mnie na przemian uczucie zimna i gorąca. I chciałam jak najszybciej zobaczyć mężczyznę, którego kochałam nad życie.

Lekarz zaprosił nas do swojego gabinetu...

Patrycja

Nie chce mi się pisać maila do Patrycji. Nie chcę czekać aż się pojawi na skype. Wolę zadzwonić. Niech kosztuje ile chce, ale muszę usłyszeć kojący głos mojej przyjaciółki.

- Zostaw mnie tutaj, proszę. Usiądę w parku i porozmawiam z Patrycją - powiedziałam do Iwony po wyjściu z kliniki.

- Jeśli czujesz taką potrzebę... - nie możemy się pocieszyć, mówiąc: wszystko będzie dobrze, ale trzymaj się, mamus!

- Ty też...

Odjechała autem Jeremiego do domu, a ja wybrałam ławeczkę stojącą między dwoma okazałymi cisami. Wybrałam tę samotną na rozmowę z Patrycją... usiadłam i rozplakałam się.

- Ty płaczesz, na miłość boską, co się stało?

Głos jej dobiegł do mnie tak wyraźnie, jakby siedziała obok.

Opowiadając wycierałam łzy, moje słowa płynęły gwałtownie między dwoma kontynentami, a ona pozwoliła mi na wyzalenie się i oskarżenie samej siebie.

- Rozmawiałaś z lekarzem?

- Właśnie wyszliśmy z Iwoną od jednego z nich. Jeremi jest nieprzytomny... Zrobili mu wkłucie podobojczykowe, założyli kroplówkę, będą jeszcze dziś robić tomografię głowy...

- Widziałaś się z nim?

- Tak - znów zaszlochałam. - leży okablowany, nie odzywa się.

- Jeśli nieprzytomny, to się nie odzywa - powiedziała powoli, a ja miałam wrażenie, że obie jesteśmy tak przejęte zaistniałą sytuacją, że zaraz zaczniemy mówić głupstwa.

- Cholera - powiedziała - jak dobrze, że nie znamy naszej przyszłości, inaczej balibyśmy się obudzić i zacząć dzień.

Przez chwilę zbierała myśli, pełna zaskoczenia, jakie jej dziś sprawiłam.

- Nie płacz kochana, nie płacz.. tak, wiem, że to jest teraz cholernie trudne... Zrobiamu kolejne badania i będziemy wiedzieć więcej. Stało się... musimy to jakoś znieść...

Patrycja mówiła w liczbie mnogiej, tym samym łączyła się ze mną w zmartwieniu. Poczulałam wdzięczność i jak bardzo ją kocham. Czy ona wiedziała o Steffi i Rachel Thompson? Zgadując moją ostatnią myśl, zapytała:

- Skąd się nagle wziął Jeremi na waszej ulicy, jeśli wyjechał do Stony Brook?

- Ciocia Thompson go zawróciła...

Patrycja z pewnością pomyślała, że zaczynam mówić od rzeczy, jakbym to ja miała wypadek, ale zachowując resztki przytomności zaczynam wplatać nieprawdopodobne szczegóły wypadku.

- Leni, mówiłaś, że Rachel zmarła po świętach Bożego Narodzenia...

- Pati... ona mnie odwiedza, już drugi raz... u swojej córki Allisson też bywa. Wiem... to jest mało prawdopodobne w tej sytuacji. Zaraz uznasz mnie za wariatkę i poradzisz, abym sama poddała się badaniom, ale...

- Leni! - Patrycja przerwała mi gwałtownie - jeśli chcesz mnie teraz przekonywać o wizytach z zaświatów, to zaraz ci powiem, że wiem, słyszałam i wierzę. To jest możliwe. Bardziej niż inne, ekstremalne i niewiarygodne wydarzenia.

Odetchnęłam z ulgą. - Pati, najlepiej będzie, jeśli po powrocie do domu napiszę ci o tych spotkaniach, dobrze? A teraz wrócę na oddział do Jeremiego, zobaczyć jak się sprawy toczą.

- Ok. Wiesz, myślę, że los co jakiś czas testuje naszą wytrzymałość, a ty musisz się trzymać! Za siebie i Jeremiego!

Pocmokałyśmy do słuchawek postanawiając wziąć się w garść i powlokłam się alejkami szpitalnego parku w kierunku czwartego oddziału, na którym przebywał od kilku godzin Jeremi.

Jutro, z całą rodziną mieliśmy odlecieć do Jacquesa, na zachodnie wybrzeże Kalifornii, aby spędzić tam radosne wakacje...

Wieczorna diagnoza...

Wywołuję ponownie Patrycję, żeby jej powiedzieć, że zbadali dokładnie Jeremiego: tomografia głowy, rezonans magnetyczny i pobrali mu płyn mózgowo - rdzeniowy...

- Matko Święta - mówi ona - i co?

- Jest rozległy obrzęk lewej półkuli mózgowej, widoczny krwihak, który chcą dziś w nocy operować - mówię tonem, jakbym nadawała wiadomości prasowe. Nie poznaję sama siebie, jestem kawałkiem lodu zamrożonym rozpaczą, wszystkie obawy trzęsą mną teraz jak wiatr liśćmi na cienkich gałązkach. Niech mnie już nikt o nic nie pyta!

- Pati, przepraszam, wracam do szpitala, będę czekać - i zęby mi szcękają, chociaż na dworze zapada powoli ciepły zmrok.

- Trzymaj się - woła - bo co może mi więcej powiedzieć i dodaje - pomodłę się za was i... kup sobie kawę!

To wcale nie jest śmieszne, ale wracam na korytarz oddziału, przynoszę kawę z automatu i próbuję się nią rozgrzać gdy na dworze letni wieczór. Drzwi gabinetu lekarskiego otwierają się i wychodzi doktor Xavier. Zatrzymuje się przede mną, a ja niczym uczennica szybko wstaję i patrzę na niego z niepewną nadzieją:

- Madame Morelly, zrobimy wszystko co będzie w naszej mocy... ale to potrwa, proszę jechać do domu - i odchodzi. Dr Xavier jest Francuzem i ogólnie szanowanym w tej klinice neurologiem. „Madame Morelly” kupuje drugą, podwójną kawę, siada na krześle niedaleko wejścia do sali operacyjnej i czeka...

„Ptaków tyle, zieleni tyle, lato zaczekaj chwilę”

Konstanty Ildefons Gałczyński

Czy naprawdę chciałabym, żeby jeszcze nie odeszło? Od kilkunastu dni mamy upalną pogodę nasyconą wilgocią, jaka zdarza się tutaj każdego lata. To męczące dla wszystkich mieszkańców Long Island, a szczególnie dla pacjentów takich, jak Jeremi.

Mimo łagodnej klimatyzacji widzę kropelki potu na jego czole, które osuszam starannie. Jestem w klinice każdego dnia, pozwolono mi pozostawać przy nim i wszyscy czekamy na poprawę jego stanu zdrowia. Jak dotąd - bezowocnie. Może gdyby pogoda się zmieniła i zrobiłoby się chłodniej? Jaka jestem naiwna! Czyż jej zmiana może go obudzić? Pomagam przy porannej i wieczornej toalecie Jeremiego... Serce mi się kraje, gdy dotykam jego ciepłe, ale prawie bezwładne ciało. Przewracamy z pielęgniarką na bok, obmywamy, plecy mu kremuję czymś, co ma zapobiec odleżynom. Właściwie, to wołałabym, aby żadna

obca kobieta go nie dotykała... Nie jestem żoną Jeremiego, a jednak pozwolono mi przy nim być. Czy będę kiedykolwiek jeszcze żoną?

Wczoraj dr Xavier powiedział, że mam z nim rozmawiać, bo ostatnie badania wykazały, że z pewnością słyszy, więc mówię do niego, opowiadam, chwale jego dzielność, pytam czy pamięta, że uratował Marikę, wyciągając ją prawie spod nagle nadjeżdżającego auta, gdy z Marysią biegły kupić lody, a z drugiej strony, ulicą wracały z miasta Allisson z Iwoną...

Powiedziała, że nie może mieć do mnie żalu, ale ja mam okropny do siebie samej! Gdybym wtedy wyszła razem z dziewczynkami kupować lody... Takie było przeznaczenie - powiedziała, znak, który ma nas czegoś nauczyć.

Właśnie. Czego? Doceniać życie ludzkie? Miłość, do której, jeśli już jest, przyzwyczajamy się jak do własnej szczoteczki do zębów? A przecież wystarczy jedna chwila, by znaleźć się na zgliszczach własnego życia...

Dlaczego Jeremi??? A gdyby go tam nie było?

Mam żal... jeśli nie siebie samą, to kogo oskarżyć za to, co się stało? Najchętniej tego, który na moje zarzuty i tak nie odpowie... Boga czy szatana?

Jutro przyjdzie Jacques trochę przy nim pobyć, może razem z Iwoną. Panujący upał daje się mojej córce bardzo we znaki, a z klimatyzacją w jej stanie też nie można przesadzać. Zostało jeszcze półtora miesiąca do przyjścia na świat ich dziecka.

Trzymam Jeremiego dłoń i przytulam do mojej twarzy. Muszę mu powiedzieć, że za chwilę zostanie sam, bo pojedę do domu trochę odpocząć.

- Kochany... - pochylałam się nad nim, dotykam ustami wilgotnego czoła, wierząc, że mnie słyszy i rozumie co do niego mówię. - Remi... jadę zaraz do domu, ale jutro, raniutko wrócę do ciebie. Słyszysz? A ty odpocznij, wyśpij się...

Boże mój, jakie głupstwa opowiadam. Przecież on od miesiąca nic innego nie robi! Gdyby słyszał, powinien teraz mrugnąć powiekami, choć kącikami ust uśmiechnąć się słysząc moją paplaninę.

Żadnej reakcji. Więc usprawiedliwiam się teraz, że już idę, mówię, że zaraz przyjdzie siostra Manuela, jeszcze raz go całuję i wychodzę. W ostatnich dniach już nawet płakać nie umiem.

Między jawą a snem... Leonia

W nocy budzę się i wyciągam rękę w stronę gdzie śpi Jeremi. Dziwię się ciszy i pustce... Jego poduszka jest gładka i chłodna... Powoli wraca świadomość, ale dalej nie wierzę, więc zapalam nocną lampkę na moim stoliku... Sally, która śpi na dywaniku przy łóżku podnosi głowę i patrzy zdziwiona. Gaszę lampkę i leżąc na wznak z zamkniętymi oczami oglądam film zapisany przed rokiem, zaledwie rokiem w mojej pamięci: Jeremi z Antibes i ja... leżymy na polanie nad zatoką, niedaleko farmy Thatch Meadow. Opowiada mi o swojej Prowansji... pachną zioła w jego starym domu i jemy kawałki złocistego melona... We wrześniu - mówi - pamiętasz - we wrześniu najpiękniej kwitnie lawenda... Oczywiście, że pamiętam - odpowiadam mu i otwieram oczy. Jest ciemność, tylko smuga światła ulicznej latarni wydostaje się między szczelinami żaluzji...

* * *

Dzisiaj nad ranem przyszła do naszej sypialni Marika i po cichu wsunęła mi się pod kołdrę. Przytuliłam ją z wdzięcznością i zarazem troską:

- Nie możesz już spać?
- Obudziłam się babciu i tak sobie pomyślałam...
- O czym kochanie?
- Czy mogłybyśmy pójść do szpitala odwiedzić Jeremiego? Bo ty tam też będziesz już od rana, tak?

- Oczywiście Mariko, jeśli chcecie, tylko najlepiej byłoby dopiero około południa. Mama was przywiezie, dobrze?

Moja wnuczka powiedziała z cicha: - tak myślałam, że pozwolisz - przytuliła się do mnie i po chwili słyszałam jej równy oddech. Pocałowałam jej jasne włosy leżące obok mojej głowy i znów poczułam znajomy ucisk w gardle, który przypominał mi tamto, tragiczne popołudnie ilekroć o nim pomyślałam...

- Nie pograżaj się sama wymówkami - powiedziała mi Patrycja podczas naszej ostatniej, skypowej rozmowy.

- Co ty mówisz? Mam się przyzwyczać?
- Nie, musisz nauczyć się z tym żyć.

Nie udawało mi się, bo wspomnienia wracały jak bumerang i mimo upływu czasu wcale nie było nam wszystkim lżej.

* * *

Z rana Iwona miała termin do swojego, prowadzącego ciężę lekarza, a po południu przywiozła dziewczynki do szpitala. Nigdy dotąd nie odwiedzały żadnego chorego w szpitalu, przynajmniej ja sobie takiej okoliczności nie przypominam. Teraz widząc ich zaskoczone i zmartwione miny, prawie pożałowałam mojej decyzji. W swoim krótkim życiu miały wystarczająco dużo przeżyć i to wielorakich, łącznie z odwiedzinami w więzieniu własnego taty. Prawdopodobnie Iwona odniosła podobne wrażenie, mówiąc mi na ucho, że kilkanaście minut wizyty będzie aż nadto i wyszła.

Nie wiem też kto podsunął dziewczynkom temat dialogu, jaki się za chwilę między nami potoczył, ale coś mi wskazywało na działanie Patrycji i wzruszenie stało się dla mnie jeszcze głębsze. Dziewczynki podeszły bliżej łóżka Jeremiego i przyglądały się aparaturze, do której był podłączony, jej cichym odgłosom, kabelkom i przewodom... jego głowie z opatrunkiem zamiast włosów...

- Czy on słyszy? Babciu, czy on słyszy? - zapytała głośno Marysia.

- Mam nadzieję, że tak.

Marika trąciła Marysię zapatrzoną w nieruchomego Jeremiego.

- Pamiętasz ten pacierz, który mówiłyśmy w domu?

Siedziałam po drugiej stronie łóżka Jeremiego i nie wiem dlaczego w tym momencie zaczęłam liczyć na cud. Prawdopodobnie pomyślałam, że Bóg szybciej wysłucha modlitwy dzieci niż dorosłych.

- Chcę zmówić paciorek - powtórzyła Marika - pamiętasz go?

- Tak, ale nie będę tu klękać - zaprotestowała starsza - będę stać i patrzeć czy on słyszy, bo powinien nam dać jakiś znak.

Gdy spać się kładę, modlę się do Pana, niech Aniołowie strzegą mnie do rana...

gdy spać się kładę modlę się do Boga jeśli w nocy umrę niech do niego wiedzie mnie moja droga...

- Nie, Marika. Wcale ta modlitwa tutaj nie pasuje - mruknęła cicho Marysia - on przecież nie może umrzeć. Podeszła bliżej do Jeremiego i pochylając się nad nim, zawołała:

- Jeremi, hej wujku, wracaj do nas! Słyszysz? To ja, Marysia! I Marika też ze mną jest!

- Wujku! Mieliśmy jechać na wakacje, obudź się! - Marika zawołała jeszcze głośniejsze... Ale cud się nie zdarzył.

Wstałam, objęłam je obie za ramiona i rozplakałyśmy się cichutko, a potem

pocieszyłam je, jak umiałam. Czasem kłamstwo jest stosowniejszym wytłumaczeniem danej chwili, niż prawda. Bo cóż było prawdą w tym momencie?

- Nie płaczemy, musimy być dzielne. On jeszcze nie jest na tyle silny, aby do nas wrócić. Pamiętajcie, gdy byłyście chore, mówiłam wam, że najlepszy jest sen, wtedy człowiek odpoczywa i zdrowieje.

- Ale, to dzieciom babciu mówiłaś... Marysia popatrzyła niedowierzająco.

- Tak, kochanie, a Jeremi śpi jak dziecko... powiedziała patrząc na niego i całą siłą woli powstrzymywała się, by nie uderzyć w płacz, który poruszyłby niebiosą.

Drzwi uchylły się cichutko i weszła Iwona.

- Nic nowego mam, NIC - podkreśliła dobitnie Marysia. Iwona objęła mnie: - Ty pewnie jeszcze zostaniesz mamą, tak? Zabiorę je do domu i wybierzemy się na zakupy. Przecież szkoła się niedługo zacznie... Uściskałyśmy się.

- Wrócę jak zawsze, wieczorem.

Usiadłam przy nim. Wzięłam jego dłoń kochaną i przytuliłam do mojego policzka.

- Jeremi, daję ci ciepło, całą moją miłość... błagam cię, wróć do mnie... nie jestem gotowa na twoje odejście i nigdy nie będę. Mon amour, nikt z nas nie jest gotowy...

„A jeśli pewnego dnia będę musiał odejść? - spytał Krzys, ściskając Misiową łapkę. - Co wtedy?

- Nic wielkiego. - zapewnił go Puchatek. - Posiedzę tu sobie i na Ciebie poczekam. Kiedy się kogoś kocha, to ten drugi ktoś nigdy nie znika”.

Alan Alexander Milne

Między jawą a snem - Jeremi

Dźwięki, które dobiegały do niego dziś z oddali przypominały mu dzieciństwo... W Antibes dwa razy w ciągu dnia słycać było bicie dzwonu. Gdy dochodziło południe, stary Francesco, który od lat zamiast w paryskim Notre Dames, wprawiał w ruch wahadłowy mały dzwon na wieży ich prowansalskiego kościółka. Chłopcy wbiegali tam po schodkach, podglądali go trącając się łokciami i chichocząc gdyż sylwetka dzwonnika - niskiego wzrostu i okrągła wyglądała zabawnie na końcu grubego sznura i wydawać się mogło, iż za chwilę pohuśta się razem z nim w przestrzeni. Wieczorem pomagała mu jego żona Adele, która jak dla kontrastu była wysoka, chuda i czarnowłosa. O zachodzie słońca, gdy ruch w miasteczku cichł, głos dzwonu rozptywał się dźwięcznie odbijając między domami i docierając do wzgórza, by powrócić echem na wieżę św. Martina. Jeremi miał wrażenie, że wibracja dźwięków wypełnia jego głowę po brzegi i próbuje rozedrzeć mu ją na dwie części. Ucicha, to znów wraca, by jedną półkulę mózgu pomasować delikatnie i uspokajająco łagodnymi tonami, podczas gdy druga część paliła niczym rozgrzane żelazo. Próbował dociec skąd bierze się ten ból i przyszło mu na myśl żelazko i jego gorąca końcówka, którą próbował wyprasować kant spodni. Pobrudził je kiedyś w stawie, gdzie rosły różowe wodne lilie... Widział je, piękne i unoszące się jak żagielki na wodzie... Czemu tam wszedł? Na moment przypomnienia ból ucichł... One miały być dla Sophie. Nogawki umoczyły się, ale wychodząc na brzeg dzierżył dumnie w dłoniach kilka nenufarów. W domu matka załamała ręce na widok jego spodni, po czym przeprała szybko w rękach, osuszyła, a on zawstydzony dał jej kwiaty i postanawiając wyręczyć zabrał się za prasowanie spodni... I wtedy stało się. Właśnie ten ból wydawał się być tak okropny... Ale dlaczego bolała go głowa i kim była Sophie?... Nie pamiętał.

Próbował otworzyć oczy, ale powieki były tak ciężkie, że same opadały jak... skrzydła motyla. One też siadały, rozkładały skrzydła i zamykały... Co za niedorzeczne porównanie - myślał. Leni napisała kiedyś wiersz o motylu, taką odę do nocnego motyla. Nie mógł sobie

przypomnieć ani słowa z tego wiersza, ale imię: Leni... Kim była Leni? Czemu i dla kogo pisała wiersze?

W dalszym ciągu nie mógł otworzyć oczu, ale czuł przy sobie czyjąś obecność. Z pewnością nie był tutaj sam... Ból powoli ustępował i szept, w który zaczął się wsłuchiwać, zdawał mu się być znajomy.

- Wracaj do domu synku... wszystko tam czeka na ciebie - mówiła kobieca postać stojąca obok szpitalnego łóżka. Czuł płynące od niej ciepło i znajomy zapach ogarniający go dookoła... Całą siłą woli, próbował odgadnąć tę woń i timbre głosu, który nakłaniał go do powrotu. W pamięci majaczył mu obraz rozstaju dróg... widział kapliczkę z figurą Marii stojącej przy niewysokim drzewie i całe morze w liliowym kolorze, którego kwiaty kołysane łagodnym wiatrem szeptały: wracaj, wracaj... Wydawało mu się, że powinien zapytać, co to wszystko znaczy i z uśmiechem podziękować za niewątpliwie wyczerpującą odpowiedź, bo już wystarczyło mu tych dziwnych niespodzianek, których nazwać zupełnie nie umiał, ale poczuł się niesamowicie wyczerpany. Zmęczony niczym długą podróżą, której cel był nieodgadniony.

Słońce świeciło amarantem zachodu... jakiś ptak zaćwierkał? Niczego więcej nie chciał... jeszcze tylko ten szept:

- Odpocznij synku, a gdy będziesz zdrow - wracaj...

*„Jest takie miejsce na świecie, gdzie miłość pachnie lawendą, a ptaki o świecie głosząc
zwycięstwo nad śmiercią, wiją gniazda pod dachem fasady domu, który pachnie
dzieciństwem...”*

Anna Strzelec

Wierzyłam w to i w myślach często powtarzałam niczym nasze credo. Przez kuchenne okno zaglądało słońce, zapowiadał się kolejny upalny dzień. Cały dom ogarniała cisza, byłam sama, a przy moich kolanach Sally zebrała o psią przekąskę. Felix z powodu mojej częstej nieobecności w domu, wyprowadził się na dobre do Allisson. Iwona po drodze do pracy, odwiozła dziewczynki na wakacyjne zajęcia do szkoły. Jacques zdecydował, że pojedzie do Jeremiego, by spędzić z nim trochę czasu, gdyż na jutrzejszy dzień miał zarezerwowany lot do San Francisco. Kilka dni będziemy sobie radzić same... Siedziałam sama w kuchni popijając kawę, gdy z rozmyślań o nadchodzącym popołudniu wyrwał mnie dźwięk telefonu.

- Jeśli ja do ciebie nie zadzwonię, to ty już zupełnie o mnie zapominasz - rozpoczęła poranną pogawędkę Jane.

Jej głos ucieszył mnie i jednocześnie zawstydził, bo przez wypadek Jeremiego, kontakt z moją pierwszą towarzyszką doli i niedoli na amerykańskiej ziemi brzydko zaniedbałam. Cóż miałam na swoje usprawiedliwienie? Jane słuchała i nie miała mi niczego za złe, poza ciekawością jaki jest stan Morelowego. Opowiadałam więc, starając się powstrzymać emocje, które towarzyszyły mi od miesiąca i odbierałam w głosie Jane podobne wzruszenie.

- A lekarze nie zdecydują się na próbę wybudzania go? - zapytała po wysłuchaniu mnie.

- Dr Xavier i dr Philippe wspominali, że spróbujemy najprawdopodobniej w tym tygodniu, ale wiążącego terminu jeszcze nie podali.

- Wiesz, co ja myślę Leni... - Jane przerwała na chwilę - jeśli stan zdrowia Jeremiego poprawi się na tyle, że byłby zdolny do podróży, to powinniście lecieć do Prowansji. Zabierz go stąd i zobaczysz, że tam przyjdzie szybciej do siebie... pejzaże dzieciństwa mają w sobie magię, przekonasz się.

- Zgadujesz moje myśli, ale boję się cokolwiek planować, dopóki on nie wyjdzie z tego cholernego snu - powiedziałam.

- Jasne, jasne, rozumiem. Nagle roześmiała się i zaczęła szybko mówić, a ja słuchałam zaskoczona: - Słuchaj, gdy ci powiedzą, że zrobią próbę obudzenia go, to bądź oczywiście przy tym!

- Chciałabym - mruknęłam, nie pojmując co wprowadziło ją w dość dziwny nastrój, a ona mówiła ciepło dalej: - a przedtem idź do fryzjera i zrób sobie fajny makijaż! Tyle czasu się przecież nie widzieliście!

- Jane!

- Leni - ona też starała się nie płakać - to będzie tak, jakbyś przyszła na randkę...

Wieczorem zadzwonił do mnie dr Xavier z wiadomością, że konsylium lekarskie podjęło decyzję: jutro rozpoczną proces wybudzania Jeremiego i jeśli chcę, mogę być przy tym, ale nie prędzej niż w południe.

„To co jest przyczyną twoich najgłębszych cierpień, jest zarazem źródłem twoich największych radości.”

Antoine de Saint-Exupéry

Między jawą a snem - Leonia

- Babciu, czy ty wrócisz dzisiaj z wujkiem do domu?

Siedziałam z dziewczynkami przy śniadaniu i logika myślenia Mariki znów dała znać o sobie. Nie tylko ta dzisiejsza, bo sposoby dedukcji i dzielenia się z nami ich wnioskami znane były w rodzinie od dawna. Wczoraj, zamiast pójść na górę do sypialni, siedziały na schodkach i podsłuchały moją rozmowę z Iwoną i Jacquesem o planowanych na dziś próbach wybudzania Jeremiego w szpitalu.

- Nie, moja kochana, dziś nam się to z pewnością jeszcze nie uda - odpowiedziałam, po raz któryś już stwierdzając, że moje wnuczki potrafią być nie tylko nieustannym źródłem radości, ale i niestrudżonym sprzymierzeńcem moich przeżyć. Marysia pokiwała ze zrozumieniem głową.

- Jasne, nie da rady. Ale kiedy się zbudzi to będzie bardzo wyspany. Cieszysz się babciu, że już go budzą, prawda?

- Bardzo - uśmiechnęłam się - opowiem wam po powrocie ze szpitala, a teraz zjedzcie do końca wasze naleśniczki i odprowadzę was do miss Kimberly na zajęcia.

Podczas wakacji, trzy razy w tygodniu dziewczynki chętnie chodziły do klubu „My Holidays”, który mieścił się na sąsiedniej ulicy. Zajęcia z rękodzieła, muzykowanie, korzystanie z basenu bardzo im odpowiadały. Gdy stanęłyśmy przed wejściem do klubu, Marika powiedziała:

- Babciu, a pamiętasz bajkę o Śnieżce, którą księżę obudził całusem... tak sobie myślę, czy nie mogłoby wam pomóc...

- Myślisz, że w drugą stronę może zadziałać? - uśmiechnęłam się - spróbuję... Do zobaczenia, bądźcie grzeczne, mama odbierze was po południu!

Udawałam pozorny spokój... Ale jeśli dzisiejsze próby nie przyniosą spodziewanego rezultatu?

Wracałam z Sally, którą wzięłyśmy na przechadzkę i zdecydowałam się na zrobienie małej, spacerowej rundy w stronę Marine. Dzień był piękny, a nasz dom pusty. Jacques

poleciał na kilka dni do San Francisco. Allisson i Manfred korzystając z naszej obecności w Port Jefferson postanowili spędzić kilkanaście dni urlopu i udali się do Meksyku, na Cancún. Nie byli naszą bliską rodziną i nie mogliśmy wymagać, by z powodu wypadku Jeremiego rezygnowali z wakacji. Gdy Iwona, cała szczęśliwa po powrocie z Polski, dzieliła się z nimi wiadomością o dziecku, które miało przyjść na świat, odniosłam wrażenie, że Allisson przyjęła ją z odcieniem zazdrości, a Manfred gratulując mojej córce, dodał „szczęściara”...

Przed wyjazdem Allisson podkreślała uroki półwyspu Jukatan, gdzie Cancún swą atrakcyjnością może konkurować z Acapulco i jest jedynym miastem w Meksyku, w którym woda z kranu jest wodą pitną, obsługa hoteli mówi płynnie po angielsku, a szerokie plaże natura obdarzyła pięknym piaskiem. Między zdaniem dało się słyszeć nadzieję na spędzenie wspaniałych dni z Manfredem, które może zostanie uwiecznione oczekiwaniem macierzyństwa? Tak mi się wydawało i życzyłam im również serdecznie.

Nieobecność Allisson sprawiała, że Iwona miała więcej pracy w Farmacji Elm Heath. Nie skarżyła się jednak na złe samopoczucie, wiedziałam, że w ostatnich dniach bardziej przejmuję się Jeremiego i moim losem...

Wróciłam do domu, dałam pić Sally i weszłam pod prysznic. Na dworze znów było gorąco i parno. Przy takiej pogodzie na Long Island otrzymuje się nawilżanie ciała bez wizyty w gabinecie kosmetycznym. Miałam wrażenie, że powinnam zmyć z siebie teraz nie tylko pot, lecz wszystkie moje obawy i lęki przed spotkaniem z Jeremim. Patrząc po chwili w lustro, uśmiechałam się do siebie wspominając dobre rady Jane. Nie poszłam do fryzjera, zrobiłam tylko staranny makijaż dopełniony zapachem „Aury” Swarovskiego made in France... Ten zapach nie będzie Jeremiu obcy...

* * *

- Bonjour Madame Morelly - dr Xavier zaprosił mnie do swojego gabinetu.

Usiadłam i nie zaprotestowałam, gdy znów nazwał mnie żoną. Może przyniesie mi to szczęście? Wiedział, że obaj, on i jego pacjent pochodzą z Prowansji i używanie ojczystego języka w rozmowie ze mną, prawdopodobnie sprawiało mu przyjemność.

- Od dwóch dni zmniejszyliśmy podawanie środków farmakologicznych. Uznaliśmy, że czas, który upłynął od dnia wypadku pani męża i operacji, której przebieg uznaliśmy za pomyślny jest wystarczający na, że tak powiem rehabilitację tych rejonów mózgu. Komunikacja na obszarze odpowiedzialnym za słuch była już od pewnego czasu aktywna, dlatego prosiłem panią o mówienie do niego i prowokowanie w ten sposób możliwych reakcji. Dotychczas nam się to nie udało, ale jak wykazały wczorajsze badania, ciśnienie

śródczaszkowe jest stabilne więc można powoli rozpocząć proces wybudzania... może to jednak potrwać kilka dni, ale jeśli działają ośrodki słuchowe, powinien też zadziałać wzrok...

Wysłuchana w wykład dr. Xaviera myślałam, jak niesamowicie precyzyjnie skonstruowany jest ludzki mózg i, że nic nie potrafi go zastąpić, nic, nawet najnowocześniejszy dysk twardy komputera. W mojej głowie też tętniło z przejęcia i miałam spocone ręce.

- Możemy iść do niego? - Dr Xavier wstał, a moje serce zaczęło walić niczym perkusja. Ta myśl o sercu, jak o instrumencie perkusyjnym nawiedzała mnie w momentach szczególnego wzruszenia... Gdy przed rokiem, Jeremi chcąc się ze mną spotkać przyszedł na oddział rehabilitacyjny⁵⁰, bo brałam tam ostatni zabieg naświetlania kręgów szyjnych... moje serce grało perkusyjnie i radośnie. Teraz... niczym na alarm i chyba wszyscy je zaraz usłyszą gdy wejdem z doktorem do pokoju Jeremiego...

* * *

Siostra Manuela stała przy łóżku Jeremiego i podłączała nowy pojemnik z kroplówką. Choć dotąd nie zamieniła z nim ani słowa, lubiła swojego pacjenta. Nocami, przy świetle małej lampy starała się nie usnąć, w oczekiwaniu na jakąkolwiek reakcję z jego strony. Teraz poprawiła mu poduszkę i pogładziła Jeremiego po policzku... – pobudka - pomyślała - zaraz będziesz miał odwiedziny i ze zdziwieniem zauważyła drżenie jego powiek... Nareszcie!

- Doktorze! - Nie zdążyła jednak niczego dalej przekazać, bo jak na wezwanie weszliśmy do pokoju i stanęliśmy przy łóżku Jeremiego.

- Coś nowego? - Dr Xavier spojrzał na nią z uśmiechem, a ona znana z sympatycznego poczucia humoru, powiedziała poufnym tonem: - chyba chciał do mnie mrugnąć...

- Madame Morelly, teraz pani przejmuje rolę, do dzieła!

Usiadłam na brzegu łóżka. Chciałam być jak najbliżej.

- Jeremi, popatrz na mnie... Wzięłam jego dłoń i lekko potrząsnęłam: - bonjour mon amour!

Przyszedł dr Philippe i wszyscy czekaliśmy w napięciu.

- Jeremi, otwórz oczy... to ja - powtórzyłam.

Nie reagował... I wtedy postanowiłam spróbować rady Mariki. Pochyliłam się i pocałowałam go. Przez chwilę nic się nie działo... Pomyślałam o Marice, o jej wierze w życie piękne jak w bajce i w magię pocałunku, które z naszą codziennością niestety nie wiele miało wspólnego, gdy... jego powieki powoli podniosły się. Spojrzał na mnie, nad nim pochyloną i

wyraźnie dał znak oczami, że mnie poznaje.

- No to zrobiliśmy krok do przodu - stwierdził dr Philippe - powodzenia, proszę działać, siostra Manuela zostaje, a my idziemy dalej, see you!

Trzymałam w dalszym ciągu jego dłoń, gładziłam i prosiłam o następny znak: - Kochany, słyszysz mnie? Popatrz znów, uściśnij mi palce... albo spróbuj się uśmiechnąć...

Teraz wiem, że cuda zdarzają się i to nie tylko w bajkach. Za drugim razem spojrzenie Jeremiego było wyraziste, kącki ust drżały i próbowały unieść się, ale z jego prawego oka, po policzku potoczyła się łza... Pochyliłam się, scałowałam ją i obejmując jego ramiona, zapewniałam: - nie płacz, Kochany, nie płacz... wyjdziemy z tego, już dobrze i będzie jeszcze lepiej... Patrzył na mnie i byłam pewna, że mnie rozumie. Jego szczupłe palce uściśniły moją dłoń, jakby chcąc przelać do mnie całe ciepło jego radości. Dzięki ci Chryste... Siedziałam obok niego i patrzyliśmy na siebie, jakby z wrażenia brakło nam słów... aż Jeremi westchnął głęboko i zamknął oczy. Jakby na znak, że pierwsza wizyta w jego pół realnym świecie dobiegła końca. Siostra Manuela, która siedząc przy stoliku obserwowała nas bacznie, wstała i podeszła bliżej:

- Madame, myślę, że wystarczy mu wrażeń, powinien teraz odpocząć.

- Mam sobie pójść? - zapytałam zdziwiona.

- Proszę wrócić pod wieczór, na wszystko potrzeba czasu - a gdyby dziwnym zrzędzeniem losu coś powiedział, to z pewnością pani przekażę - uśmiechnęła się prawie figlarnie.

* * *

From: leni@comcast.net

To: patrycjatom@wp.pl

Moja droga Pati, pomailuję dziś do Ciebie, dobrze? Różnica czasu między nami stała się troszkę niewygodna, by skypowo rozmawiać o wszystkich radościach i obawach z jakimi ostatnio żyjemy. Z pewnością czekasz na wiadomości o stanie zdrowia Jeremiego i jakie postępy robi mój ukochany. Najważniejsze, że od dwóch dni mamy z nim kontakt, przede wszystkim wzrokowy, co mnie ogromnie cieszy. Jest też dotyk i uśmiech... możesz sobie wyobrazić jak nas to wszystkich wzrusza. Mówię do niego, widzę, że mnie słyszy, rozumie i czekam z utęsknieniem, kiedy powie choć słowo. Siostra Manuela, która pełni dyżury na zmianę z siostrą Dorothy żartuje, że zanotuje wszystko, co Jeremi powie, gdy już się nareszcie odezwie, być może podczas mojej nieobecności. Najważniejsze, że jest poprawa i mam nadzieję, że dr Xavier wyrazi zgodę na nasz wyjazd do Antibes. Oczywiście wtedy, gdy

tylko stan zdrowia Jeremiego na to pozwoli.

Iwona czuje się dobrze, zostały jej jeszcze ostatnie pięć tygodni do przyjścia dziecka na świat. Pewnie zdziwisz się, że planuję wyjazd w czasie, gdy ona, jak to się w kraju mówiło jest „na ostatnich nogach”? Otóż Jacques podjął decyzję i chce przenieść się do nowojorskiej Filharmonii. Oboje z Iwoną doszli do wniosku, że przy zaistniałej sytuacji w naszej rodzinie dalsze krążenie między San Francisco, a Nowym Jorkiem byłoby bez sensu. Przyznam, że ulżyło mi trochę na sercu, bo już byłam w kropce. Wiadomo, że rekonwalescencja Jeremiego jeszcze potrwa, a dzieciątko też będzie miało swoje prawa.

Jak to się dziwnie w życiu plecie, prawda? Wszystko, albo prawie wszystko, co dotychczas mieliśmy wspólnego zostało zasnute mgłą lub przysypane niczym piaskową burzą. Czy musimy z Jeremim na nowo budować nasz świat? Możesz sobie wyobrazić, że oprócz radości z jego „powrotu” jestem pełna niepokoju... Na ile pamięć Jeremiego będzie sprawna i twórcza?

Cierpliwość, oczekiwanie i wiara... Oto, co mi pozostało i uczucie, którego nie zdążyliśmy sobie prawnie przyrzec.

Nie wymówił jeszcze mojego imienia... i czekam na tę chwilę, jak na pierścionek z brylantem... Alegoria, Paty, przecież wiesz, że klejnotów nigdy nie pragnęłam lecz prawdziwej miłości, którą los wystawił na próbę...

Tyle na dziś moja Droga. Pogodę mamy nadal piękną i bardzo brakuje mi wieczorów spędzanych razem z Jeremim na tarasie... Muszę wyprowadzić Sally na przechadzkę, a potem wrócę do szpitala. Co u Was? Czy udała się rodzinna wyprawa w góry? Całuję, Leni.

”...tajemnicy każdego człowieka istnieje wewnętrzny krajobraz: niekniętymi równinami, z wąwozami milczenia, niedostępnymi górami, z ukrytymi ogrodami.”

Antoine de Saint-Exupéry

Każdy z nas posiada swoje wewnętrzne krajobrazy, które pozostaną tajemnicą. Czy Jeremi opowie mi kiedyś o swoim czasie milczenia, w którym jego umysł wędrował po nieznanych obszarach wyobraźni? Jeremi nie przepadał za wędrówkami ani wspinaczkami po górach. Nasze były plaże i ogrody...

Idę do niego... To przecież Jeremi zapewniał mnie, że marzenia spełniają się, tylko trzeba marzyć na miarę czasu i przestrzeni zamiast bujać w obłokach, bo upadek z nich jest najczęściej bolesny. Boże drogi, czy chcieliśmy od życia zbyt wiele? Zbyt doskonały był nasz związek, zbyt piękne lawendowe sny?

* * *

- Hello, bonjour! - mówię wesoło wchodząc do pokoju Jeremiego. Siostra Dorothy wstaje od stolika, przy którym siedziała czytając książkę, podchodzi do mnie i mówi prawie szeptem: - we have a surprise⁵¹.

Patrzę na nią mile zaskoczona, a za chwilę moje kolana uginają się ze wzruszenia, bo Jeremi unosi powoli głowę z poduszki i uśmiecha się do mnie, prawie jak dawniej. Pokój nie jest duży, ale ja biegnę do niego...

- Kochanie moje! - Obejmuję go, a on mówi prawie całkiem wyraźnie: - Leni, nareszcie jesteś...

I jak tu nie płakać? Nie powinnam, wiem, że nie powinnam, ale jego szare oczy błyszczą i dłonie obejmują moją twarz jak dawniej. Całujemy się, a nasza radość jest słona...

- Był niespokojny, kiedy pani przyjdzie. Po południu, po kolejnej kroplówce obudził się, a potem zaczął pytać czemu pani nie ma. Przyzwyczał się - mówi siostra Dorothy - aż się sama zdziwiłam. Doktor Xavier chciałby z panią rozmawiać, jest wieczorem na dyżurze,

pójdę powiedzieć, że pani przyszła.

Gdy zamykają się za nią drzwi, siadam obok Jeremiego na brzegu łóżka i patrzymy na siebie, jakbyśmy się wieki nie widzieli. Głaszczę go po głowie, z której zdjęto już opatrunek, a włosy zaczynają powoli swoje odrastanie. On znów uśmiecha się i pyta:

- Długo spałem?

- Tak, podczas bardzo dalekiej podróży - odpowiadam.

- Ale ty byłaś ze mną?

- Tak, tylko w nocy zastępowała mnie siostra Manuela.

Jeremi stroi jakby obrażoną minę i mówi: - jak mogłaś...

Jeśli on próbuje już żartować, to wszystko wskazuje na powolny powrót z naszej dalekiej podróży... i to wcale nie jest kolejnym, złym snem.

* * *

Mimo moich pozytywnych rozważań, z duszą na ramieniu weszłam do gabinetu dr. Xaviera, a on poprosił bym usiadła.

- Madame Morelly, mój zespół i ja bardzo cieszymy się z postępów pani męża. Od jutra zaczynamy przechodzić na normalny, oczywiście dietetyczny sposób odżywiania, będziemy sprawdzać zdolność poruszania się i wprowadzimy rehabilitacyjne masaże mięśni.

Mimo, że informował mnie o tym, o czym najbardziej chciałam usłyszeć i tak siedziałam prawie jak zaczarowana.

Przez uchylone okno słyhać było, że pocieszająca przez meteorologów zapowiedź deszczu postanowiła spełnić się właśnie dzisiejszego wieczoru. Jego krople padały na parapet, na liście platanu, którego gałęzie przez szybę okna zaglądały do gabinetu lekarskiego. Myślałam, jaką wspaniałą ulgą jest dla zmęczonej upałem roślinności tak długo oczekiwany deszcz i odbierałam jego krople jakby i dla mnie specjalnie zesłane niczym orzeźwiające słowa dr. Xaviera... Zmywały powoli smutek ostatnich tygodni i moja dusza miała ochotę zatańczyć z radości, zaśpiewać rzewną, dziękczynną melodię za wszystko, co zdarzyło się dziś niespodzianie, choć było przecież tak bardzo oczekiwane.

- Madame Morelly... jeśli według naszych przewidywań stan zdrowia pani męża będzie się dalej poprawiać, wówczas pod koniec przyszłego tygodnia może on opuścić nasz szpital - kończył dr Xavier swoje orzeczenie.

Prawie podskoczyłam z wrażenia. Nadszedł czas, aby go zapytać... teraz musiałam być pewna! Lekarz powinien wiedzieć i pozwolić nam, albo wystawić nasze oczekiwanie na dalszą próbę czasu i cierpliwości.

- Bardzo się cieszę, Monsieur Xavier i dziękuję, ale... Kiedy Jeremi mógłby odbyć podróż drogą lotniczą?

Zapytałam i przeraziłam się, bo doktor unosząc krzaczaste brwi, spojrział na mnie z niejakim zdziwieniem. Wyglądałam się, to jasne, że się wygłupiłam, ale każdemu może się zdarzyć, a jeśli zapyta skąd taki pomysł, to zaraz go jeszcze bardziej zaskoczę i możemy sobie nawet o zaświatach porozmawiać! Ale nie doceniłam go, choć powinnam, bo on był też Francuzem...

- Ma pani na myśli przelot mojego pacjenta do Europy?

- Oui, Monsieur Xavier... - mój głos zadrżał jak na egzaminie.

Profesor trzymał w dłoniach kartę pacjenta, Jeremiego Morelly, urodzonego 30 września w Antibes, francuskiej La Provance. obejrzał jeszcze raz wszystkie dokonane w niej wpisy... i postanowił...

Za moje godziny spędzone przy łóżku Jeremiego, za pielęgniarską pomoc i okazywaną miłość - dać mi zaliczenie!

- Madame Morelly - licząc od powrotu do domu, nie wcześniej niż za dwa tygodnie i po wykonaniu u nas ostatecznych i gruntownych badań.

Moje podniecenie w tym momencie było usprawiedliwione, ale czy moje zachowanie, to nie wiem. Zresztą przyznam się tylko Patrycji, bo gdy on skończył obliczanie dni i tygodni, ja zerwałam się z krzesła i rzuciłam się mu na szyję. Dr Xavier pocałował mnie w policzek i zapytał: - à Antibes?

- Oui, naturelle - kiwnęłam głową wycierając łzy.

- Très bien - pochwalił mnie - je vous souhaite un bon voyage et pour Jeremi unprompt rétablissement.⁵² I poszliśmy razem do pokoju Jeremiego.

Miałam wrażenie, że idę mu zanieść decyzję lekarza jak nagrodę za jego odwagę i dzielność. I wszystko, co za chwilę powiem będzie prezentem za wytrwanie... za jego niezmierną wolę dalszego życia w rodzinie i dla miłości.

Innego zakończenia nikt z nas przecież nawet nie próbował sobie wyobrazić.

* * *

I znów stoimy na początku drogi, lecz nie są to rozstaje dane nam przez los do wyboru. Malowałaś mi ją słowem, kolorem i zapachem... nie wiedząc, że we mnie znajdziesz odbicie, bo teraz jestem lustrem naszego drugiego lata...

- Mówiłem ci o Veronique?

- Tak. A kto to jest?

- Sprawdzasz mnie?

- Nie znam jej, dlatego pytam - odpowiadam uśmiechem, a on zamyśla się, jakby starał się przypomnieć... a może udaje tylko, bo za chwilę odpowiada mi: - Veronique, to atrakcyjna córka przyjaciółki mojej mamany, która prowadzi od lat nasz dom w Antibes.

Parskam śmiechem: - atrakcyjna? Zdrowiejesz mon ami w galopującym tempie.

- Musimy ją zawiadomić o naszym przyjeździe. Z wrażenia postawi cały dom na głowie.

Jeszcze jedno wspaniałe, słoneczne, niedzielne popołudnie w naszym życiu. Iwona i Jacques z dziewczynkami pojechali do city, a my siedzimy na tarasowej ławce obok siebie i przytulamy się, rozmawiając i żartując. W ubiegłym tygodniu Jeremi przeszedł ostateczne badania w szpitalu. Z kartoteką zawierającą opis wypadku, leczenia i terazniejszymi, pozytywnymi wynikami, mogę pomyśleć o rezerwacji naszego lotu i pakowaniu kilku bagaży. Jeszcze boję się... nie tylko marzyć, lecz nawet planować naszych dni w Antibes. Najpierw go tam zabiorę...

- Pamiętasz list, który mi napisałeś z podróży, przed powrotem do domu na Boże Narodzenie?

Z mojej strony jest to test jego pamięci, bo w tamtym liście było wiele... bardzo wiele napisane, ale ja miałam w tym momencie tylko jedno na myśli. Jeremi spojrzał na mnie pytająco, lecz z uśmiechem: - dostanę słowo pomocnicze?

- Oui, château.⁵³ Obiecałeś mi, że...

- Ależ pamiętam, Leni! Aigunes nad jeziorem Sainte Croix, Château de Chanteraine w zakolu rzeki Verdon... Jakbym mógł zapomnieć! Do nich też musimy napisać, gdy tylko wrócimy do domu!

Dom był więc TAM! Jeremi nigdy nie zżył się ze Stony Brook, aby to miasteczko nazwać DOMEM. W jego marzeniach zawsze było Antibes i miało też stać się naszym. Siedział teraz ze zmarszczonym czołem, widziałam, że myśli o czymś intensywnie, ale czekałam, gdy sam powie mi co go gnębi.

- Zapomniałem, no zapomniałem - i klepnął dłonią w swoje kolano - jak oni się nazywali?

- Kto?

- Ci znajomi moich rodziców! Ten pensjonat w zamku prowadził ostatnio ich syn z synową - popatrzył na mnie smutno.

- Nie martw się, wszystko jest do sprawdzenia. Z pewnością jest w domu korespondencja z dawnych lat, a w internecie też znajdziemy, gdy tylko przyjedziemy do

Antibes - powiedziałam pocieszająco. - Może jesteś głodny?

Popatrzył na mnie z uśmiechem: - co proponujesz?

- Coś dobrego, co z pewnością poprawi ci nastrój. Mianowicie: - c z e k o l a d o w y o
m l e t!

- Jakaś nowa recepta?

- Tak, poleciła mi ją Jane i specjalnie dla ciebie!

Roześmialiśmy się i poszłam do kuchni, zostawiając go z Sally, która widocznie też się za Jeremim stęskniła, bo nie opuszczała go prawie ani na krok. Teraz też leżała u jego stóp, na tarasie.

Wszystkie składniki miałam w domu:

2 jajka, 2 łyżki mąki, 3 łyżki MixFix - rozpuszczalnego kakao, 500g waniliowego homogenizowanego serka i czarne borówki, oczywiście amerykańskie. Wiedziałam, że Jeremi je lubi, a ponieważ przypuszczałam, że reszta rodziny wróci niedługo z city, postanowiłam zrobić podwójną porcję.

Jeremi nie usiadł długo sam. Przyszedł do kuchni, stanął za mną i objął w pól:

- Przywiodły mnie do ciebie te pyszne zapachy - i pocałował w szyję. Wracamy do siebie, tak pięknie wracamy do naszej codzienności, ciepłej i serdecznej - pomyślałam, ale pogroziłam mu łopatką do odwracania omletu.

- Pozwolisz, że dokończę? - śmiałam się - oni zaraz wrócą. Może wymieszałbyś borówki z twarożkiem?

- Bardzo chętnie, madame Morelly.

Nakryliśmy do stołu w kuchni i rozpoczęliśmy z radością degustowanie czekoladowych placuszków, gdy weszły dziewczynki z Iwoną i Jacquesem.

- To mi się podoba - zawołała Marysia. - A dla nas też są?

- Ależ oczywiście! Już podaję.

Iwona usiadła razem z jej „Serduszką oczekiwania” trochę ociężałe przy stole i poinformowała wszystkich obecnych:

- Zarezerwowałam wam bilety lotnicze. Nowy Jork - Nicea, na 15 września.

Zaniemówiłam. Jeremi z wrażenia upuścił widelec na podłogę, potem klasnął w ręce, zawołał „brawo” i roześmiał się jak chłopiec, który otrzymał długo oczekiwany prezent. Patrząc na moją córkę milczałam zdumiona, a ona powiedziała:

- Mamo, nadszedł czas, abyście pomyśleli o sobie i zaczęli realizować swoje marzenia, a przestaniesz się nareszcie martwić o nas wszystkich.

- 15 września? Przecież to już za dziesięć dni!

- Tak, wzięłam najbliższy termin, jaki był jeszcze wolny.

- Jaką linią? - zapytał Jeremi.

- Air France. Oni oferują największą liczbę lotów bez międzylądowań z Nowego Jorku do Nicei. Cote D'Azur Airport.

Oboje z Jacquesem uśmiechali się teraz szelmowsko, popatrując na siebie, to znów na nas, a mnie wydawało się, że śnię. Tym razem cudownie i z Happy Endem. Nie po raz pierwszy Iwona brała życie w swoje ręce, a tym razem przyspieszyła bieg moich i Jeremiego wydarzeń. Patrząc na nich, pomyślałam, że zrobiła to specjalnie, aby moment powtórnego macierzyństwa móc przeżyć tylko z Jacquesem i dziewczynkami, a my powinniśmy zająć się już naszym szczęściem. Z jej strony był to doskonały pomysł, bo zamieszania i zmartwień ostatnich miesięcy mieliśmy wszyscy serdecznie dosyć. Zaczęliśmy się ścisnąć, całować i planować nasze pożegnanie ze wszystkimi, których tutaj, w Stony Brook i NY pokochaliśmy i zawarliśmy niezapomniane przyjaźnie. Zdecydowaliśmy, że urządzimy je na Thatch Meadow Farm⁵⁴. Tam, gdzie wszystko się między nami zaczęło...

Moje podniecenie nie minęło, gdy wieczorem leżałam w naszej sypialni obok Jeremiego, a on był niespodziewanie spokojny. Trzymając moją rękę, powiedział: „nareszcie”. Po chwili: „jutro napiszemy do Veronique”, zgasił nocną lampkę i przytulił się do mnie. Tyle się dziś zdarzyło, tyle zostało powiedziane... chciałam jeszcze coś szepnąć na dobranoc, ale usłyszałam jego równy oddech i spłynęło na mnie niesamowite ukojenie. Taka fala szczęścia, jakiej dawno nie zaznałam. Bezpieczeństwo i nadzieja, że nasze plany możemy urzeczywistnić. NARESZCIE.

* * *

Wstałam wcześnie, gdy cały dom pogrążony był jeszcze w ciszy i tylko ptaki witając dzień, opowiadały wzajemnie swoje sny. Jeremi spał głęboko, a ja patrzyłam na niego z radością. Dzięki ci Boże, że go nam zwróciłeś, będę ci za to do zgonnie wdzięczna. Sally wyszła za mną po cichu i wyszliśmy razem do ogródka. Jakie będą nasze poranki w Antibes? Jak ona zniesie długi lot? Matko moja, zapomniałam zapytać Iwony o rezerwację dla psa!!! Zapytam natychmiast, gdy tylko się obudzą. Wiewiórka siedzi na drzewie i patrzy na mnie ciekawskimi oczkami... Czy w Antibes przyjdą do nas wiewiórki? Najchętniej zabrałabym tę ze sobą... Karmiliśmy przez całą zimę, ją i zaprzyjaźnionego króliczka...

Wzruszenie ścisnęło mi gardło. Nieuniknione są rozstania... pożegnania, a wszystko dlatego, aby powitać coś nowego w naszym życiu... Mam nadzieję, że Antibes nie rozczaruje nas. Napiszę zaraz o naszym przyjeździe do tej, która z pewnością zna chociaż część

rodzinnej historii Jeremiego...

Cherie Veronique!

Ici Leonia et Jeremi Morelly! Chciałam sama napisać list, ale jak mi się uda, nie wiedziałam, bo mój francuski nie jest jeszcze perfektny, ale najważniejsza przecież była wiadomość, że przyjeżdżamy! Miałam nadzieję, że polubi mnie, jako nowego członka rodziny.

*(...) a więc jesteśmy, tylko i aż jesteśmy w tej ciszy nocy jak dwa drobne liście pełni trwogi,
że kiedyś upadną (...)*

Adam Kuchta „W śnie jesieni zaplątani”

Postscriptum naszego lata...

Boże, dziękuję Ci za firanki moje, nie smutkiem pobladłe lecz szczęściem barwione...
za marzenia - nie łzami żalu otulone i plany tak bardzo realne, lawendą pachnącą...

Zakochałam się w Antibes, w naszych dniach i nocach. W porannym pianiu
kolorowego koguta, który dumnie obwieszcza nam początek każdego dnia. Zakochałam się w
twoim rodzinnym domu i ogrodzie, gdzie matka zrywała jabłka w sadzie i w prowansalskich
ziołach, które rosną sobie niesfornie tu i tam. W krzewach róż i wysokich lawendach, które
pachną szczęściem. Ileż to lat mają ciągle jeszcze płodne jabłonie i grusze, z których zwisają
owoce, jakby cierpliwie czekały na czyjś powrót?

Siedzę w ogrodzie pod jedną z nich, a pszczoły uwijają się brzęcząc, próbują
skorzystać z ich dojrzałej już słodyczy. Piszę ostatnie strony mojej książki, opowieści o życiu,
które zaczynałam z tobą, Jeremi...

Mon Ami... życie napisało nam scenariusz, który przyjęliśmy z pokorą. Znieśliśmy
razem zmartwienie, obdarzając się wzajemnie wiarą, i radością, a najważniejsze w nas były
zaufanie i miłość. Wczoraj powiedziałeś mi, że mnie podziwiasz i szanujesz, a co ja mogłam
odpowiedzieć? Przecież czuję podobnie, a to szczęście czasem aż boli, bo chyba nie wolno
być człowiekowi tak bardzo szczęśliwym... Jeśli jednak postaramy się? Chcę dalej wierzyć i
nie być banalną w moich zapewnieniach, że z tobą i na zawsze.

Veronique posprzątała i udekorowała świątecznie nasz dom. W kuchni pachnie
prowansalskimi potrawami i ciastem, bo to już jutro... Nasze, lawendowe JUTRO!

Teraz, czekając na Jeremiego, który pojechał zamienić kilka słów z ojcem L'abbé
przed jutrzejszym dniem, napiszę do Patrycji, aby naszej przyjacielskiej tradycji stało się
zadość...

From: leni@comcast.net

To: patrycjat@wp.pl

Kochana moja, przyznac muszę, że moje dzisiejsze kilkanaście zdań do Ciebie wypełni się radością i wzruszeniem, bo inaczej przecież być nie może. Znow muszę Cię przeprosić, lecz wiem, że Ty zrozumiesz i wybaczysz milczenie. Już miesiąc minął od dnia, gdy po około ośmiu godzinach spędzonych w powietrzu, wylądowaliśmy szczęśliwie w Nicei. Bałam się o niego, bo mogły wystąpić jakieś sensacje typu ból głowy, czy inne, ale nie zdarzyło się nic, na co by się uskarżał. Gorzej z naszą Sally, która była dogłędana co jakiś czas przez jedną z osób, odpowiedzialnych za bezpieczeństwo przewożonych zwierząt na pokładzie samolotu. Podobno psina trochę zwracała i piszczała. W końcu oszołomiona, ale zadowolona znalazła się powtórnie na ziemi.

Jesteśmy w Antibes, w rodzinnym domu Jeremiego. Nie jestem w stanie opisać Ci, z jakim przejęciem i wzruszeniem na twarzy Jeremi przekroczył jego progi... Dom pełen wspomnień i tajemnic jego dzieciństwa i młodości. Powitała nas Veronique, córka przyjaciółki jego matki, która zamieszkując tutaj przez ostatnie kilka lat, opiekowała się domem i ogrodem. Jeremi odwiedził ją krótko, po śmierci żony Jacqueline⁵⁵ - chyba pamiętasz, bo pisałam Ci o tym. Później zdarzyło się tak wiele i spotęgowało ładunek emocjonalny z jakim przyjął swój powrót do domu. A ja, wybacz, bo napiszę infantylnie - zakochałam się w Antibes i we wszystkim, co związane z naszą prowansalską codziennością. Pati, o życiu mieszkańców, ich zwyczajach i naszym ogrodzie napiszę Ci innym razem, dobrze? To, co dziś jest wstępem do wiadomości o wspaniałym wydarzeniu! Domyślasz się? Tak, tak! Trzy tygodnie temu, trochę wcześniej, niż było to zaplanowane Iwona urodziła syna!!! Nasze rodzinne szczęście nie zna granic! Malutki otrzymał imię Jean-Antoine. Jak mówiły mi dziewczynki na skypie, jest zdrowy, śliczny i podobny do swojego taty, Jacquesa. Zostałam więc po raz trzeci babcią, a mój Jeremi - dziadkiem. W ten ogrom szczęścia wpisanego nam pod koniec lata, które niedługo zbierze się do odejścia, trudno jest momentami uwierzyć, prawda? Obawiam się, że tą radosną wiadomością muszę zakończyć zaraz moje pisanie do Ciebie, bo właśnie z miasteczka wrócił Jeremi i zbliża się czas podwieczorku. Wyobraź sobie, że mój rekonwalescent jeździ na rowerze do miasteczka, twierdząc, że takie wypadki wpływają doskonale na jego samopoczucie. Nie zapominając oczywiście o naszych wspólnych spacerach promenadą, w stronę wybrzeża.

Widzę, że Veronique nakrywa już stolik w ogrodzie i pójdę jej pomóc, a przed wieczorem jedziemy z Jeremim do Nicei, aby odebrać z lotniska nasze duże i małe dzieciaki!

Tak, dobrze czytasz, oni wszyscy dzisiaj przylatują do nas! Czasami życie daje tyle prezentów, że braknie nam słów wdzięczności i zaczynamy się zastanawiać, czym sobie na nie zasłużyliśmy... Jaka jest tego przyczyna? Nie będę analizować przeszłości, bo On - nasz

Stwórca wie najlepiej.

Całujemy, Leonia z Jeremim.

Od Autorki

Zakończyłam opowiadać Wam historię pewnej rodziny, którą przekazałam w trzech odsłonach. Wszyscy lubimy happy endy w książkach i filmach, prawda? A przecież mogło zdarzyć się inaczej... Nie chciałam jednak Was zasmucać, bo wiem, że pokochaliście moich bohaterów, podobnie jak ja, od pierwszego momentu spotkania się z nimi.

Lawendową uroczystość Leonii i Jeremiego, na którą tak bardzo czekaliście pozostawiam Waszej wyobraźni. Wiemy wszyscy, że z pewnością odbyła się wzruszająco i cudownie. Są momenty, gdy słowa Autora byłyby zbędne i może zakłóciłyby Waszą imaginację? Dodam tylko, że tego samego dnia, w urokliwej Cathedrale St.Sauveur⁵⁶ w Aix-en Provence⁵⁷ został ochrzczony również ich wnuczek, Jean-Antoine.

Ażeby magii, o której czytaliście stało się zadość, muszę Wam coś zdradzić... Podczas obu ceremonii, niedaleko ołtarza przystanęła kobieca postać: bardzo radosna, błękitna i powiewna... Dotrzymała obietnicy danej Leni i... wróciła jako Anioł Stróż małego chłopczyka.

Nie płozmy ich szczęścia... Mam nadzieję, że będą żyć długo i szczęśliwie.

Anna Strzelec

Podziękowania

Aleksandrze Urbańczyk za redakcję, korektę i serdeczną współpracę,

+Zuzannie Herbaux i Sylvii Ulanowskiej za sympatyczne konsultacje dotyczące języka francuskiego,

s. Judycie ze Zgromadzenia Sióstr Pallotynek, przebywających na misji w Kamerunie za udostępnienie mi swoich wspomnień,

Ewie Klejewskiej za propozycje utworów muzycznych dla Jacquesa Morelly'ego,

a także:

moim dzieciom, wnukom, realnym i wirtualnym przyjaciołom,realnym i wirtualnym przyjaciołom, wszystkim czytelnikom za sympatyczne oczekiwanie zakończenia mojej nowojorsko-prowansalskiej sagi.

Anna Strzelec

Przypisy

- 1 Prędsionek sali (franc.)
 - 2 Jabłeczny cud (niem.)
 - 3 Coś podobnego do taśmy (niem.)
 - 4 Mój Boże (franc.)
 - 5 Dlaczego? (franc.)
 - 6 Jeśli wolno mi zapytać (niem.)
 - 7 Śmieszny jesteś, żadnych pytań więcej (niem.)
 - 8 Róża dla pana (franc.)
 - 9 Bardzo dziękuję (franc.)
 - 10 To wspaniałe (franc.)
 - 11 Zgoda (franc.)
 - 12 Proszę (franc.)
 - 13 Dziękuję, z przyjemnością (franc.)
 - 14 Wczoraj (ang.)
 - 15 Mała kawiarnia u Andrzeja (franc.)
 - 16 Naprzeciw (franc.)
 - 17 Bardzo interesujące (franc.)
 - 18 Facet, typ (franc.)
 - 19 Biedronka (franc.)
 - 20 Bardzo pracowite (franc.)
 - 21 Prędsionek (franc.)
 - 22 Posłuchaj mnie (franc.)
 - 23 Do zobaczenia (franc.)
 - 24 Posłuchaj (franc.)
 - 25 Muzeum Sztuk Pięknych (franc.)
 - 26 W prędsionku (franc.)
 - 27 Zgoda? (franc.)
 - 28 Jak przychodzi miłość?
- Ukradkiem...
- Przynosi coś?
- Zapach smak dotyk wiersze bicie serca, zachwycenie...

Odchodzi?

Czasem zostaje...

A jeśli?

Wtedy... noc tęsknotę rozwiesza jak granatową sukienkę z plamami poblądłych od smutku -

gwiazd /Anna Strzelec/ tłum. Zuzanna Herbaux/

29 bilet jest dla pani zarezerwowany (franc.)

30 Do widzenia Paryżu (franc.)

31 pierwsze śniadanie (franc.)

32 Panie panowie, jesteśmy w Nicei (franc.)

33 do następnego razu (franc.)

34 Ni mniej ni więcej, akurat (franc.)

35 Mała kawa u Andrzeja (franc.)

36 Jesteś szalona (franc.)

37 Nie (franc.)

38 Przepraszam (franc.)

39 Wspaniale (franc.)

40 Mój kochany (franc.)

41 Przepraszam (franc.)

42 Halo, w hotelu Astoria przy placu św. Marka zdarzył się wypadek, pokój 47, drugie piętro, proszę przyjechać natychmiast (it.)

43 Autorka nawiązuje do wiersza Wisławy Szymborskiej.

44 Herbaciarnia Robinsona (ang.)

45 Z ogromnym smutkiem donoszę o śmierci mojej matki, słynnej malarki Charlotte Dubois, która zmarła po ataku serca 30 maja podczas wakacji w hotelu Astoria w Wenecji. Jej pogrzeb odbędzie się w Nicei 10 czerwca o godz. 17,00 na cmentarzu komunalnym.

Od 20 do 25 czerwca prowadzona będzie aukcja obrazów Pani Charlotte Dubois (zysk ze sprzedaży zostanie przekazany na misję Sióstr Pallotynek w Kamerunie). Aukcja odbędzie się w Nicei w sali Muzeum Sztuk Pięknych przy Alei Baumettes 33 w godzinach 10,00 - 12,00 Cecylia Dubois.

46 Naturalnie, przepraszam (franc.)

47 Nieprawdaż? (franc.)

48 Anna Strzelec, „Wiza do Nowego Jorku”, rozdz. Anioł z Antibes.

49 Szpital kliniczny na Manhattanie.

50 Anna Strzelec - Wiza do Nowego Jorku

51 Mamy niespodziankę (ang.)

52 Bardzo dobrze. Życzę wam szczęśliwej podróży i Jeremiemu szybkiego powrotu do zdrowia. (franc.)

53 Zamek (franc.)

54 Anna Strzelec, „Wiza do Nowego Jorku”

55 Anna Strzelec, „Okno z widokiem na Prowansję”

56 Katedra św. Zbawiciela

57 Miasteczko położone niedaleko Antibes











Anna Strzelec pisarka, poetka i publicystka,
z wykształcenia - artysta plastyk.

Wieloletni pobyt w Niemczech dostarczył autorce inspiracji do napisania pierwszej książki pt. *Tylko nie życz mi spełnienia marzeń*, która została przyjęta z dużym zainteresowaniem ze strony recenzentów i czytelników.

W krótkim czasie, w ślad za nią ukazał się dalszy ciąg opisanego życia polskich emigrantów: *Druga pora życia czyli jak zabija się miłość*. (2009-2010)

Pobyt w NY stał się inspiracją do napisania następnych książek. *Wiza do Nowego Jorku i Okno z widokiem na Prowansję*. To opowieści o uczuciach, podróżach i rozstaniach, namiętności, przesłaniach z zaświatów, zdradzie i wybaczeniu, a przede wszystkim o niewyczerpanej nadziei. (2011-2012)

Czytelnikom, którzy pokochali: Jeremiego - ichtiologa z Prowansji, Leonię - pisarkę, córkę Iwonę i jej dwie, pełne szalonych pomysłów córeczki oraz kilku nowych, niemniej kreatywnych bohaterów - Autorka prezentuje trzecią część sagi, pt. *Akwarele i lawendy*.

Jak potoczyły się ich dalsze losy? Czy Maria Dąbrowska miała rację, pisząc: Ani różnica poglądów ani różnica wieku, nic w ogóle nie może być powodem zerwania wielkiej miłości. Nic, prócz jej braku. A czy miłość może być silniejsza od śmierci? O tym przekonacie się, czytając ostatnią część nowojorsko-prowansalskiej sagi.

Anna Strzelec jest także autorką felietonów, recenzji oraz czterech tomików wierszy: *Miłość niejedno ma imię, Cóż wiemy o miłości*, współautorką trzeciego: *Gdziekolwiek jesteś... dialogi liryczne*, oraz ostatniego: *Jeszcze raz w podróż...* Dwa ostatnie zostały wydane w krakowskim wydawnictwie *Miniatura*, w latach 2013/2014.

Leni po raz kolejny układa sobie życie od nowa. Decyduje się nie wracać do Polski, ale zaprasza do siebie córkę, nad życiem której gromadzą się ciemne chmury. Leni jak nikt inny potrafi roztoczyć nad bliskimi opiekę i stworzyć niepowtarzalną atmosferę domowego ogniska. W swojej kuchni, gdzie króluje zapach ciasta i kakao, gotowa jest wesprzeć każdego mądrą radą i służyć pomocą. Czy jej wysiłki zostaną docenione, a przewrotny los nie spleta kolejnego figla? Czy Iwona i jej córki odnajdą szczęście w nowym otoczeniu? Kim jest tajemnicza wielbicielka, która po każdym koncercie wręcza Jacques'owi czerwoną różę? Czym są w życiu człowieka podróże zawodową niedogodnością, radosną turystyką, symboliczną wędrówką dla wypełnienia misji, a może poszukiwaniem równowagi, spokoju ducha i próbą rozliczenia z przeszłością? Wielbiciele książek „Wiza do Nowego Jorku” i „Okno z widokiem na Prowansję” nie będą zawiedzeni. W „Akwarelach i lawendach” autorka ponownie funduje swoim bohaterom i czytelnikom solidną dawkę emocji.

Aleksandra Urbańczyk, <http://ksiazkioli.blogspot.com>